

Margit Sandemo

TRUDNO MÓWIĆ „NIE”

Saga o Królestwie Światła 03

Z norweskiego przełożyła

IWONA ZIMNICKA

POL-NORDICA

Otwock 1997

Elena jest najbardziej nieśmiałą i niepewną siebie przedstawicielką najmłodszego pokolenia w Królestwie Światła. Przekonana, że ze względu na niedostatki urody nikt się nią nie zainteresuje, jeśli nie będzie we wszystkim uległa, z radością przyjmuje umizgi nieznanego Johna.

Ale w Królestwie Światła nie wszystko jest idyllą. W mieście nieprzystosowanych grasuje morderca kobiet...

W dzieciństwie czytałam baśń zatytułowaną „Dziewczyna, która nie potrafiła powiedzieć «nie»„. Nie wiem, czy była to jedna z mniej znanych baśni ludowych, czy też niedawno napisana opowieść. Nie pamiętam treści; w pamięci utkwił mi jedynie frapujący tytuł.

Potrafi pobudzić wyobraźnię, prawda?

Poza tym sama wiem wszystko na temat bycia dobrą w niemądry sposób. Dopiero niedawno, skończywszy lat siedemdziesiąt, nauczyłam się mówić „nie”. I na ogół wypowiadam to słowo żalonym piskiem, dręczona wyrzutami sumienia.

Margit Sandemo

STRESZCZENIE

Do Królestwa Światła dotarli już wszyscy ci, których historię kolejno postaramy się przedstawić.

Głównymi bohaterami opowieści będą przedstawiciele młodszego pokolenia. Pojawić się mogą wprawdzie nowe, dotychczas nie znane postaci, lecz trzon niepoprawnej grupy przyjaciół stanowią następujące osoby:

Jori, chłopak o brązowych, kręconych włosach, który odziedziczył po ojcu łagodne spojrzenie, a po matce katastrofalny brak odpowiedzialności. Wzrostem i urodą nie dorównuje przyjaciołom, lecz te braki kompensuje szaleństwem i śmiałością.

Jaskari, grupowy siłacz, długowłosa blondyn o bardzo niebieskich oczach i mięśniach, które grożą rozerwaniem koszuli i spodni. Kocha zwierzęta.

Armas, w połowie Obcy, wysoki, inteligentny, o jedwabistych włosach i przenikliwym spojrzeniu. Obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami i wychowany znacznie surowiej niż pozostali.

Elena, o beznadziejnej, jak sama twierdzi, figurze. Spokojna i sympatyczna, lecz wewnętrznie niepewna, za wszelką cenę pragnie być taka jak wszyscy. Ma długą grzywę drobno wijących się loczków.

Berengaria, o cztery lata młodsza od pozostałych. Romantyczka o smukłych członkach, długich, ciemnych, wijących się włosach i błyszczących, ciemnych oczach. Jej charakter to wachlarz wszelkich ludzkich cnót i słabości. Bystra, wesola, skłonna do uśmiechu, ma swoje humory. Rodzice bardzo się o nią niepokoją.

Oko Nocy, młody Indianin o długich, gładkich, granatowoczarnych włosach, szlachetnym profilem i oczach ciemnych jak noc. O rok starszy od czworga opisanych na początku, Tsi-Tsungga, zwany Tsi, istota natury ze Starej Twierdzy. Niezwykle przystojny młodzieniec o szerokich ramionach, cętkowanym zielonobrunatnym ciele, szybki i zwinny, wprost tchnie zmysłowością,

Siska, mała księżniczka, zbiegła z Królestwa Ciemności. Z wyglądu podobna do Berengarii. Ma wielkie, skośne, lodowato szare oczy, pełne usta i bujne włosy, czarne, gładkie, lśniące niczym jedwab. Dystansuje się od młodego Tsi i jego pupila Czika, olbrzymiej wiewiórki.

Indra, gnuśna i powolna, obdarzona wielkim poczuciem humoru, z przesadą podkreśla swoje wygodnictwo. Ma wspaniałą cerę i elegancko wygięte brwi. W tym samym wieku co czworo pierwszych.

Miranda, jej o dwa lata młodsza siostra. Rudowłosa i piegowata. Wzięła na swe barki odpowiedzialność za cały świat, postanowiła go ulepszyć. Zagorzała obrończyni środowiska, o nieco chłopięcych ruchach, wciąż nie jest zakochana.

Alice, zwana Sassą, jedna z najmłodszych, przybyła do Królestwa Światła wraz z dziadkami. Jako dziecko uległa strasznym poparzeniom. Marco usunął jej wszystkie blizny, lecz dziewczynka wciąż pozostaje nieśmiała, nie chce pokazywać się ludziom ani z nimi rozmawiać. Ma kota o imieniu Hubert Ambrozja.

Dolgo, noszący niegdyś imię Dolg. Ponieważ dwieście pięćdziesiąt lat spędził w królestwie elfów, wciąż ma dwadzieścia trzy lata, posiada jednak niezwykłą mądrość i

doświadczenie. Nie jest stworzony do miłości fizycznej. Jego najlepszym przyjacielem jest pies Nero.

Marco, wiecznie młody, choć liczący sobie już ponad sto lat. Niezwykle potężny księżę Czarnych Sal. On także nie może poznać miłości.

Ani on, ani Dolgo nie należą do grupy młodych przyjaciół, są jednak dla nich ogromnie ważni. Marco, podobnie jak Indra, Miranda i Sassa, pochodzi z Ludzi Lodu.

Przyda się być może drzewo genealogiczne wraz z informacją o mieszkańcach nieznanego świata:

RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA

LUDZIE LODU

INNI

Heinrich Reuss von Gera, zły rycerz, który przeszedł na stronę dobra.

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie z rozmaitych epok, ponieważ dla wszystkich czas zatrzymuje się bądź cofa do wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat i umierają tylko ci, którzy tego pragną. Inni, którzy zmarli nie zaznawszy w pełni smaku życia, otrzymują tu możliwość ponownego jego przeżycia. Są tu także Obcy wraz ze Strażnikami, Lemurowie, Madragowie, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, które zdecydowały się pójść za Markiem, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty natury zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyje pewna grupa, której bohaterowie jeszcze nie spotkali i nie wiedzą nawet o jej istnieniu.

Są też nieznanne plemiona z Królestwa Ciemności oraz to, co kryje się w Górach Umarłych, źródło pełnego skargi zawodzenia. Nikt nie wie, co to jest.

1

Nawet najcudowniejsza idylla może zostać zakłócona przez elementy, nie znoszące widoku światła dziennego.

Tylko jedna osoba przeczuwała, że nie wszystko jest tak, jak być powinno.

Dolgo nie mógł zasnąć. Siedział wraz z Nerem na tarasie, wpatrując się w pogrążone w nocnej ciszy miasto, miasto jego i Marca, Saga, taką otrzymało nazwę na cześć matki Marca, Sagi z Ludzi Lodu. Nocą światło było tu takie niezwykle, przytłumione, łagodne, o odrobinę chłodniejszym odcieniu niż za dnia.

Wspaniały krzew glicynii ozdobił taras wielkimi kiśćmi kwiatów. W złocistym blasku Świętego Słońca niebieskie kwiaty wyglądały chyba najmniej korzystnie, przybrały bowiem zielonkawy odcień. Szkoda, bo kwiaty glicynii mają wszak piękną, rzadko spotykaną barwę.

Dolgo poruszył się nieswój.

- Dziś w nocy coś się stanie, Nero - przyciszonym głosem zwrócił się do psa. - Nie wiem, co, ale bardzo mi się to nie podoba. Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca w Królestwie Światła.

W ukrytym świecie, w którym przebywali już od pewnego czasu, odnaleźli ukojenie. Wszystko tutaj było takie doskonałe, przesycone spokojem, ani Dolgowi, ani Marcowi nie przydawała się ich nadzwyczajna moc. Dolgo nie wiedział, czy odczuwa z tego powodu ulgę, czy też raczej rozczarowanie. Wspaniale jest móc wypocząć, lecz na dłuższą metę może się poczuć trochę niepotrzebny.

Dwieście pięćdziesiąt lat spędzonych w dolinie elfów wydawało mu się teraz zaledwie dwoma dniami wypełnionymi zabawą. Tęsknota Dolga za rodziną nie była równie silna i bolesna jak Móriego. Cudownie jednak znów zobaczyć się z bliskimi! W dodatku w tej idealnej krainie, w tej sielance.

Niestety teraz na obrazie pojawiła się czarna plama, na razie nie potrafił jej zlokalizować ani stwierdzić, co się za nią kryje.

Dolgo, choć otoczony przyjaciółmi, czuł się zdumiewająco samotny.

Zorientował się wreszcie, dlaczego. Jego myśli powędrowały do ostatnich dni spędzonych w Norwegii, tuż przed odnalezieniem wejścia do Królestwa Światła. Leżał w swoim łóżku w domu Gabriela, akurat zasypiał, gdy nagle usłyszał westchnienie i jakiś głos:

- Nie powiem, że jest mi z tobą łatwo, Dolgu Lanjelinie.

W półmroku dojrzał na brzegu łóżka drobną kobietę o miłej powierzchowności.

- Eliveva! - ucieszył się. - Mój duch opiekuńczy! Wspaniale znów cię widzieć! Tęskniłem za tobą.

- Rzeczywiście, od naszego ostatniego spotkania upłynęło sporo czasu - przyznała.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie jest ze mną łatwo? - spytał, unosząc się na łokciu. - Nigdy nie miałem zamiaru utrudniać ci życia.

Eliveva uśmiechnęła się z lekkim smutkiem.

- Opieka nad tobą, Dolgu, zawsze sprawiała mi wiele radości, ale jak wiesz, zmierzam dalej.

- Tak, kiedy przeprowadzisz już człowieka, czyli mnie, przez ziemskie życie, przeniesiesz się do wyższego wymiaru.

- Owszem, i moja dusza tego pragnie. I chociaż bardzo cię pokochałam, Dolgu Lanjelinie, to jesteś kłopotliwy. Przedłużasz mój pobyt na ziemi!

Wstrząśnięty musiał przyznać, że Eliveva ma rację.

- Dwieście pięćdziesiąt lat w królestwie elfów - powiedział słabym głosem. - A teraz... Do Królestwa Światła, gdzie można, zdaje się, żyć w nieskończoność. Poza tym ja... Ach, mój ty świecie, wszak ja jestem nieśmiertelny!

Eliveva z dość żalną miną skinęła głową.

- Ależ tak dalej być nie może! - stwierdził wzburzony. - Musisz kontynuować z dawną wytyczoną wędrówkę przez kolejne wymiary. Ci, którzy wymyślili duchy opiekuńcze, nie brali pod uwagę, że Święte Słońce może zapewnić nieśmiertelność. To przecież straszliwie komplikuje całą sprawę. Czy nie mogę w jakiś sposób zwolnić cię z wyznaczonego ci zadania? Oswobodzić cię?

- Możesz, Lanjelinie, ty kłopotliwe dziecię sfer niebieskich - potwierdziła. - Jeśli odnajdziesz Królestwo Światła. Tam nie potrzeba duchów opiekuńczych i najwyżsi zostają zwolnieni z odpowiedzialności za ciebie. Proszę więc, postaraj się odnaleźć ukryte królestwo!

Obiecał, że uczyni, co w jego mocy.

W dniu, kiedy odnaleźli Wrota pod jednym z licznych kościołów w Oslo, Eliveva pojawiła się na chwilę.

Dolgo pamiętał ich wzruszające pożegnanie. Odbłyło się bardzo prędko, tak aby inni niczego nie zauważyli. Kilka słów wypowiedzianych szeptem, delikatne muśnięcie jej miękkiego policzka, uśmiech. Widać było, że Eliveva jest szczęśliwa, choć jednocześnie z jej błyszczących od łez oczu bił smutek. Dolgo także przestał widzieć wyraźnie, spojrzenie nagle jakoś mu się zamgliło.

Wreszcie Eliveva zniknęła. Na zawsze.

Dlatego Dolgo odczuwał teraz żal. Dlatego wśród wspaniałości Królestwa Światła czuł się samotny. Miejsce u jego boku opustoszało.

Wiedział, że te uczucia przemijają, teraz jednak wciąż cierpiał.

- Siedzisz tutaj, Dolgo? I ty nie możesz zasnąć w tej przejrzystej jak kryształ nocy, rozjaśnionej łagodnym światłem?

Przy bramie stał Gabriel. Wszyscy nowo przybyli, a także cała rodzina czarnoksiężnika wraz z przyjaciółmi, Okiem Nocy, Tsi-Tsunggą i małą Siską z Królestwa Ciemności, wprowadzili się do Sagi.

Dolgo zaprosił Gabriela na werandę. Nero przywitał go przyjaźnie, poznał już Ludzi Lodu i bardzo ich polubił. Należeli do grona osób, na których widok nie warczał, przeciwnie - merdał ogonem. Każdy pies ma zwykle duży rejestr powitań, od wściekłego ujadania do nieprzytomnego zachwytu. Gabriel został przyjęty z umiarkowaną radością.

Gospodarz przyniósł orzeźwiający napój i przez jakiś czas siedzieli gawędząc. Dolgo czuł, jak napływa spokój, Gabriel był miłym, skromnym człowiekiem, zatroskanym o swoje córki, lecz szczęśliwym, że znalazły się tutaj, z dala od niebezpieczeństw, jakie w świecie na powierzchni Ziemi czyhają na młode, nowoczesne dziewczęta.

Dolgo zwierzył mu się ze swej tęsknoty za Elivewą. Mógł się na to poważyć, wiedział, że Gabriel go zrozumie. I rzeczywiście, tak się stało.

- Ja także tęsknię - wyznał cicho. - Nigdy nie pogodzę się z utratą Gro i mego jedyne go syna. To takie dziwne, Dolgo. Gro była taka drobna, sięgała mi ledwie do ramion, a chłopiec jeszcze mniejszy, dziecko. Jak tacy maleńcy ludzie, maleńcy także we wszechświecie, mogą pozostawić po sobie tak ogromną pustkę?

Dolgo ze smutkiem skinął głową.

- Dobrze wiem, co masz na myśli. Ale nie troskaj się o swoje córki. Są wspaniałe, obie, naprawdę.

Gabriel słuchał takich słów z przyjemnością. Roześmiał się nie bez czułości w głosie.

- Szkoda, że nie słyszałeś, jak kiedyś Miranda dyskutowała z Bodil. No tak, nigdy nie spotkałeś Bodil, och, ona była taka... Ech!

- Wiem - odpowiedział Dolgo. - Ojciec mi o niej opowiadał.

Gabriel nie chciał pamiętać, jaki okazał się głupi, o mały włos nie dając się omotać tej pięknej, lecz jakże wyrachowanej pannie. Podjął, siłąc się na wesołość:

- No cóż, szkoda, że nie słyszałeś Mirandy. Dyskutowały... a raczej się kłóciły, to lepsze słowo... o to, jak kiedyś będą mieszkać, jakie będą mieć domy. Bodil wystąpiła ze wszystkimi wytartymi sloganami o luksusie i komforcie, a Miranda rozmarzonym głosem opowiadała o psach i innych zwierzakach, które z nią zamieszkają. Bodil warknęła na to, że ona do swego domu nigdy psa nie wpuści, bo to brudne stworzenia i robią tylko nieporządek. Owszem, mogłaby mieć jakiegoś eleganckiego charta, trzymałaby go na przykład w stajni. Miranda wpadła w furję. „Jeśli mój pies nie będzie mógł się swobodnie poruszać po domu, to nie chcę wcale żadnego domu!” krzyknęła ze złością. Nie powiedziała „nie chcę psa”, tylko „nie chcę domu”.

Dolgo odchylił się do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jakie to typowe dla Mirandy - zachwycił się ciepło.

- Prawda? Różnica między nimi polega na tym, że, zdaniem Bodil, świat istnieje dla niej, Miranda natomiast uważa, że to ona istnieje dla świata.

Dolgo spoważniał.

- To wielka, zasadnicza różnica.

W łagodnym ciepłe nocy przeszedł go dreszcz. Po raz kolejny w jego wnętrzu zabrzmiała przestroga: „Uważaj! Coś się stało lub stanie się wkrótce. Ktoś znajdzie się w niebezpieczeństwie. Gdzieś czai się zło, oszustwo, zdrada”.

W Królestwie Światła? To nie do pomyślenia!

Gabriel obserwował syna czarnoksiężnika ze zdziwieniem. Patrzył na niemal niesamowitą w swej piękności twarz o bladości kości słoniowej i całkiem czarnych oczach, przywodzących na myśl przedstawiane niekiedy na obrazach stworzenia z podziemnego świata. To krew Lemurów, płynąca w żyłach Dolga, dała mu takie oczy. A Lemurowie odziedziczyli je po Obcych... Wszystko to czyniło zeń czarodziejską, lecz jakże kochaną istotę. Samotną. Na miłość boską, jakież samotny jest ten chłopak, pomyślał Gabriel, zdjęty przerażeniem. Tak bardzo chciało się uczynić coś dla Dolga, ale co? Co można zrobić dla osoby obdarzonej nadludzką mocą, którą wykorzystuje wyłącznie w służbie dobra?

Jedyne, co można zaproponować temu niezwykle silnemu, a zarazem bezgranicznie samotnemu człowiekowi, to przyjaźń.

- Co z tobą, Dolgo? - cicho spytał Gabriel. - Wydajesz się taki zatroskany.

- Owszem - odparł syn czarnoksiężnika. - Coś się dzieje, Gabrielu. Coś niedobrego. I nie potrafię stwierdzić, co.

- Chodźmy z tym do Marca - zaproponował Gabriel.

Dolgo zastanowił się.

- Tak, dobry pomysł. Ale nie teraz. Zaczekamy, aż nadejdzie ranek. Całe Królestwo Światła teraz śpi.

Nie było to prawdą, bo znalazły się co najmniej dwa nocne marki.

Zabawnie było zapraszać Indrę na późnowieczorną herbatę lub inny poczęstunek. Nikt nie zajadał ciastek z taką lubością jak ona.

Elena napiekła wiele wspaniałych smakołyków, nadziewanych i oblewanych słodką, lepką masą. Siedziały teraz we dwie w jej domu, zadowolone, zwinięte na sofie, kompletnie nieświadome tego, co się dzieje w ich wspaniałym kraju. Nie wiedziały o podłości, która czaiła się już od pewnego czasu, a teraz wypłynęła na powierzchnię niczym szlam w stojącej wodzie.

- Ci, co wmawiają ludziom, którzy powinni schudnąć, że „wystarczy tylko jeść mniej i więcej się ruszać”, nie mają zielonego pojęcia, o czym mówią - stwierdziła Elena, która od niedawna zaczęła walczyć z nadwagą.

Czasami bywała stanowcza, to znów, tak jak tego wieczoru, urządzała orgie jedzenia słodczy. Człowiek wszak musi mieć od czasu do czasu jakąś przyjemność, nie można wciąż sobie wszystkiego odmawiać.

Podjęła myśl:

- Palacze, narkomani i alkoholicy mają prostszą sytuację. Mogą całkiem skończyć z używką, koniec i kropka. Czy sobie poradzą, czy nie, to już ich sprawa. Ale bez jedzenia obejść się nie można! Gdzie tu szukać miary? Ile i co należy jeść? Potrafię przez długi czas żyć o chlebie i wodzie albo jeść tyle, co wróbelek, ale to wszystko po prostu na nic. Ci chudzi szczęściarze, którzy stale człowieka dręczą, nie rozumieją tego. A tak w ogóle, to większość ludzi, mających kłopoty z wagą, lubi jeść wieczorem, nie da się temu zaprzeczyć.

- No właśnie - przyznała Indra, wciąż szczupła. Niedawno jednak, stając na wadze, przeżyła pierwszy szok. - Bez najmniejszego trudu da się nie jeść rano i przez wiele godzin w ciągu dnia, bo najzwyczajniej nie jest się głodnym.

- Tak, dopiero koło czwartej po południu głód rusza do ataku. A im bliżej wieczoru, tym bardziej smakuje wszystko, co jadalne.

- I w niczym nie pomaga słuchanie tych mędrków, którzy twierdzą, że najważniejsze jest solidne śniadanie.

- Bo tak wcale nie jest - zgodziła się z nią Elena, zmiatając okruszki ciastka ze stołu.

Dyskretnie wrzuciła je za kanapę. - Tyle razy wypróbowałam ten system.

Pochłaniałam obfite śniadanie i lunch, i czułam się od tego kwadratowa. A i tak wieczorem byłam równie głodna jak zwykle!

- Ci chudzi jak patyki, którzy mogą zjeść absolutnie wszystko bez przybierania na wadze, zawsze wiedzą najlepiej, co ci obdarzeni mniejszym szczęściem mają robić, żeby schudnąć. „Troszkę przytyłaś”, zauważają ze źle skrywaną radością, tak jakby biedaczysko sam sobie tego nie uświadamiał! „Jesz tyle, co wieprzek, poruszaj się trochę!” Łatwo tak powiedzieć, zwłaszcza komuś, kto boi się nawet powąchać jedzenie. Nie mówię z własnego doświadczenia, ale w świecie na zewnątrz znałam niejedną osobę, która okropnie cierpiała, bo nigdy nie mogła się najeść do woli, a mimo to nie chudła.

- No właśnie. Ale muszę dodać, że w kręgu naszych znajomych nie spotkałam nikogo tak nietaktownego. Można ich za to znaleźć w mieście nieprzystosowanych, często miewam tam dyżury.

- Ja też nie słyszałam o takich nieprzyjemnościach tutaj, w Królestwie Światła. Presja odchudzania należy do zewnętrznego świata. Ale ku mojej złośliwej radości pewien chłopiec wyraził się przy mnie o bardzo chudej dziewczynie: „To musi być takie uczucie, jakby się kochało z paczką gwoździ”. Fajnie, prawda?

- Pocieszające - uśmiechnęła się Elena, lekko wstrząśnięta bezpośredniością przyjaciółki. - Tęsknisz czasami za tamtym światem?

- Zwariowałaś? Tutaj mogę być sobą. Oczywiście brak mi czasami pewnych, jak to powiedzieć, elementów związanych ze środowiskiem, jak jutrzienka o poranku czy zachody słońca albo wiosenne zmiernicy o barwie indygo, ale wtedy myślę zawsze, że gdybym wróciła do tamtego świata... Ach, jakże bym tęskniła za tym!

Elena zamyślona pokiwała głową. Nigdy nie widziała świata na powierzchni Ziemi i nie bardzo potrafiła go sobie wyobrazić.

Indra zebrало się na zwierzenia. Zachichotała.

- Wiesz, że kiedy tam mieszkałam, pisałam opowiadania, wiersze i inne drobiazgi? Naprawdę, w dodatku, moim zdaniem, z całkiem niezłym rezultatem. Popełniłam jednak głupstwo i pokazałam je jeszcze komuś, koleżankom, nauczycielce. Niektóre mnie wyśmiały, profesorka się zakłopotowała i zaczęła mi tłumaczyć, że skoro w innych rzeczach jestem dobra, to dlaczego biorę się za pisanie? Inni nie pojmowali absolutnie nic

- Daj mi coś przeczytać - poprosiła Elena.

Indra zamyślona pokiwała głową,

- Zaczęłam potem fantazjować, wymyślać, że kiedyś, w nieokreślonej przyszłości, istoty z planet odległych od nas o lata świetlne przybędą na zgasłą, wymarłą Ziemię. Znajdą na niej jedynie moje bazgroły i stwierdzą: „Stworzenia zamieszkujące to ciało niebieskie wcale nie stały tak nisko. Potrafiły myśleć, przecież to jest naprawdę niezłe!” - roześmiała się. - W ten sposób i mnie czeka kiedyś uznanie.

- Tak nisko się oceniasz? - uśmiechnęła się Elena. - Nie masz żadnego powodu. Ale powiedz mi, dlaczego zdecydowałaś się przenieść do Królestwa Światła?

Indra zastanowiła się:

- Myślę, że większość ludzi stamtąd ma jakąś własną wizję idealnego świata. Utopię, marzenie o miejscu, gdzie wszystko jest dobre i piękne. Powstało już całe mnóstwo książek o takiej krainie bez zła, śmierci i innych nieprzyjemnych rzeczy. James Hilton pisał o Shangri La, Aldous Huxley odwrócił to trochę i stworzył satyrę na ten temat „Nowy wspaniały świat”. Tomasz Morus wymyślił Utopię, idealną wyspę na Oceanie Spokojnym. Można to ciągnąć w nieskończoność. Odwieczne ludzkie marzenia o idealnym świecie inspirowały także wielu poetów.

- A czy wspominano także o środkowym punkcie Ziemi?

- Och, tak! Zupełnie fantastyczne książki. Juliusz Verne stworzył „Podróż do wnętrza Ziemi”. Halley, wiesz, ten od komety... (Elena nie wiedziała, komety nie należały do jej świata), Edgar Allan Poe, Lytton pisał o vrilu, tajemniczym cudownym pierwiastku, który miał się tu znajdować, i jeszcze wielu innych plotło na ten temat, ale jeden, Emerson, był

bardziej konkretny. Opisał Norwega, Olafa Jansena, który miał odnaleźć wejście. A współcześni pisarze science-fiction prześcigają się w opowieściach o wydrążonej Ziemi. Natomiast „wszystkowiedzący”, uczeni, stanowczo odrzucają takie pomysły.

Nie przerywały pogawędki. Elena zwierzyła się Indrze, że z początku wcale nie miała ochoty przeprowadzać się z Zachodnich Łąk do Sagi, lecz zdecydowano za nią, a ona się na to zgodziła. Teraz bardzo się z tego cieszyła. Radowała się też ogromnie, że znalazła przyjaciółkę w Indrze, bo Berengaria trzymała ostatnio raczej z bliższymi jej wiekiem Siską i Sassą.

Miranda natomiast nie przyjaźniła się z nikim, chadzała własnymi ścieżkami i nie miało sensu nawet pytać, dokąd one prowadzą.

- Ludzie przestawiają mnie to tu, to tam - westchnęła Elena. - A ja im na to pozwalam, bo na coś innego brakuje mi odwagi.

- Co za głupstwa! Nie wolno ci być taką słabą!

- I tak źle myśleć o sobie? - uśmiechnęła się Elena. - Ale ja przecież nie jestem... Ojej, przepraszam, telefon dzwoni, muszę odebrać.

Telefoniował Jaskari, który studiował medycynę. Właściwie chciał pracować jako weterynarz, lecz w Królestwie Światła więcej było chorych ludzi niż zwierząt. Zawód lekarza i tak dawał dobre podstawy, gdyby później postanowił przekwalifikować się na specjalistę od zwierząt.

Elena, ledwie usłyszawszy jego głos w słuchawce tak późnym wieczorem, od razu wiedziała, że chodzi o wyjazd. Dziewczyna miała zostać pielęgniarką, wszyscy naokoło bowiem nieustannie powtarzali: „Elena jest taka miła i dobra, wprost stworzona do tego zawodu”.

Sama Elena wcale nie była przekonana o swojej dobroci. Jak inni ludzie, miała swoje sympatie i antypatie, o tych ostatnich jednak nie śmiała mówić głośno. Przez cały okres dorastania pozostawała w cieniu brylującej Berengarii i zresztą bezgranicznie ją podziwiała. Pragnęła wyglądać jak ona, mówić jak ona, błyszczeć jak ona. Trochę to trudne dla kogoś, kto nosi w sobie nieustanny lęk, że komuś się nie spodoba.

Elena zaliczała się do ludzi pragnących, by wszyscy ich lubili, i sięgających dna rozpaczki, kiedy napotykali czyjąś niechęć. Elena tak ogromnie chciała być lubiana, że niszczyła przy tym samą siebie. Trudno jej było mówić „nie”.

Dlatego też od razu pokornie się zgodziła na prośbę Jaskariego, chociaż nie cierpiała wypraw do miasta nieprzystosowanych. Razem z Jaskarim należeli do niewielkiej grupki rezerwowych porządkowych, wykorzystywanych, kiedy potrzebowano liczniejszego personelu. Istnieli co prawda Strażnicy i zespół lekarzy, oni jednak nie mogli znajdować się wszędzie jednocześnie. Przy sprawach mniejszej wagi, jak teraz, wysyłano także młodszych, wciąż jeszcze się uczących. Tym razem ich zadaniem miało być niedopuszczenie dzieci i młodzieży zbyt blisko magazynu z fajerwerkami, w którym miała miejsce eksplozja. Nic poważnego się nie stało, lecz gdyby iskra spadła na główny skład, mogłaby wyniknąć z tego prawdziwa katastrofa. Kilku pracowników doznało obrażeń, lecz nimi już się zajęto. Elena i Jaskari stanowili rezerwę.

Nikt inny niż nieprzystosowani nie wymyśliłby produkcji fajerwerków w Królestwie Światła, gdzie króluje wieczne słońce. Jego promienie nie docierały tylko do tego miasta.

Indra gestami spytała, czy może pojechać razem z nimi, Elena powtórzyła jej prośbę Jaskariemu.

- Dlaczego nie? - odpowiedział chłopak pozostający poza zasięgiem słuchu Indry. - Przyda jej się, jak się trochę ruszy z kanapy. Jori i Armas także tam będą, szkoła się wszak na Strażników.

Indra roześmiała się, kiedy Elena przekazała jej wiadomość.

- Pomyśl tylko, że kochanego Joriego uznano za godnego funkcji Strażnika! Uważa się to przecież za coś nadzwyczajnego, prawda?

- Strażnicy cieszą się ogromnym szacunkiem - potwierdziła Elena. - Ach, ci okropni nieprzystosowani, stale wynikają z nimi jakieś awantury. Jasne, że nie wszyscy pasują do Królestwa Światła, wielu pewnie tęskni za ziemskim życiem, bez względu na to, jakie ono naprawdę było. To po prostu trzeba zrozumieć. Najsmutniejszy jednakże jest fakt, że w tym mieście zgromadziło się tak wielu niesympatycznych ludzi. Widzisz, Święte Słońce nie ma wpływu na tych, w których duszy zagościło zło, a upomnienia na niewiele się zdają. W każdym razie otrzymaliśmy polecenie, by zaraz kłaść się spać, musimy być gotowe jutro rano o szóstej. Dasz radę?

- Nie wiesz nawet, na ile mnie stać... kiedy mi się zechce - zachichotała Indra.

- Świetnie. Ale nie możemy chyba pozwolić, żeby te dwa ciastka się zmarnowały?

- Och, oczywiście, że nie!

Taca z ciastkami została opróżniona.

Dotrzymały umowy i stawily się na miejscu odjazdu w wyznaczonym czasie, o szóstej. W taki oto sposób również Indra i Elena zostały wciągnięte w milczącą grozę, która zawisła nad Królestwem Światła.

2

W pojeździe przyciągnął młodą dziewczynę do siebie.

- Jesteś taka śliczna - szepnął. - Nieodparcie piękna! Upajająca!

Dziewczyna uśmiechnęła się szelmowsko.

- To już kiedyś słyszałam. Powiedz mi coś nowego!

- Dobrze - zgodził się. - Zaraz usłyszysz coś nowego.

Kochał się z nią twardo, brutalnie, niemal opętanie.

- No, no - dziwiła się dziewczyna. - Okropnie się rozpalili! Taką masz na mnie ochotę?

Bardzo mi się to podoba. Dobry jesteś, ale i ja nie najgorzej się spisuję, co?

Kiedy poczuł, że zbliża się spełnienie, udusił ją. Bezsilne przerażenie w oczach

dziewczyny sprawiło mu największą przyjemność, dało dodatkowy zastrzyk rozkoszy.

Rzucił ją potem do zapomnianej szopy na skraju miasta. Dziwka! Nie zasługuje na lepszy los. Nasze piękne miasto trzeba oczyszczać z szumowin.

Mam już cel w zasięgu ręki. Plan zarysowuje się coraz wyraźniej, wkrótce nie będzie w nim już żadnej luki. Wymaga tylko nadania mu ostatniego szlif. Moje zwycięstwo będzie absolutne. Przejmę całość, tak jak na to zasługuję,

Ależ będą mieli niespodziankę, wszyscy ci, którzy traktują mnie z góry, którzy mną gardzą, nie wiedzą, z kim mają do czynienia.

Mój plan jest po prostu bezbłędny.

Upłynęło już bardzo dużo czasu, stanowczo za dużo. Żądza już zaczynała dawać się we znaki.

Pokonywał swoim pojazdem ulice i place. Ta kobieta? Za stara. A może ta? Nie, to blondynka, nie interesowały go blondynki

Ta jest podobna. Ta!

Rozpoczął ofensywę, czarował. Dziewczyna dała się złapać na komplementy. Wprawdzie prostytutki z miasta nieprzystosowanych słyszały o konkurentkach, które zaginęły bez śladu, lecz żadna się tym nie przejmowała. Tamte pewnie wyruszyły do stolicy, chociaż nie miały tam czego szukać. Strażnicy natychmiast je stamtąd wyrzucali, odwozili do tego miasta, i nie mogło się przy tym obejść bez całej masy idiotycznych upomnień i pouczeń. Obludni głupcy! Zapewne nie zostali przez naturę wyposażeni tak jak większość mężczyzn. Zachowują się, jakby byli pozbawieni płci.

Dziewczyna z przyjemnością wsiadła do eleganckiego pojazdu. Chwilę targowała się o zapłatę, ale mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nie obchodziło go, ile to będzie kosztować. Szkoda, że nie zażądała więcej, ten tutaj najwidoczniej gotów był zapłacić, ile zechce.

Przystojny facet!

Wyjechał z miasta. Dokąd zmierzał? Raczej nie do swojego domu, pewnie czeka tam na niego żona.

Zatrzymał się. Dziewczyna między pięknymi ukwieconymi krzewami dostrzegła w oddali starą szopę. Nie знаła tych okolic.

On już zaczął ją rozbierać, bez żadnych wstępów. Taki niecierpliwy!

Nie lubiła się kochać we wnętrzu pojazdu, tak tam ciasno, niewygodnie, w ogóle niedobrze. Ale niech będzie, ten facet dobrze płaci. Bardzo dobrze. Już ona postara się go wykorzystać nie raz.

- Jesteś taka śliczna - mruknął. - Nieodparcie piękna! Upajająca!

Drobna operacja myląca przeciwnika, żeby odwrócić uwagę... Powinna się udać, wszyscy zajęci są zaginionymi kobietami. Właściwie to dziwne, dotychczas znikwały same prostytutki i nikt się szczególnie nad tym nie zastanawiał.

Ale ta uczennica przed kilkoma dniami? To coś nowego. Żadna przygód dziwka, lecz stanowczo za młoda. Rośnie powszechne oburzenie.

Świetnie! Mogę zajmować się swoim. To zresztą nasunęło mi pewną myśl.

Do czarta! Wyglądała na dziewczynę z doświadczeniem. Oczywiście, młoda, to tylko wzmaga rozkosz. Ale kto by przypuszczał, że to nie ulicznica? Zachowywała się, jakby nią była. Tak okropnie wrzeszczała, walczyła wcale nie na żarty. Jakież to cudowne uczucie, kiedy wreszcie ją zmusiłem.

Ale była tylko uczennicą!

Muszę być ostrożniejszy.

Najgorsze, że żądza znów się we mnie budzi. Odzywa się coraz częściej. A ja mam prawo do spokoju, ludzie muszą to zrozumieć, muszą wypełnić swe zadanie, wykończyć je wszystkie, dopóki nie znajdę tej jednej, tej prawdziwej. Wtedy osiągnę swój cel.

Nie podoba mi się to. On zanadto ściąga na siebie uwagę. Wkrótce przyślą tu Strażników, a tego za wszelką cenę trzeba uniknąć. On musi skończyć z tymi swoimi historiami z kobietami, zaczynają przeszkadzać zamiast kamuflować. Muszę się dowiedzieć, kto to jest, i w jakiś sposób go unieszkodliwić. Nie mam teraz czasu na głupstwa!

Wszystko już gotowe... Gdyby tylko ta przeklęta niezdara, którą przetrzymuję uwięzioną, chciała współpracować! Ale... Gdzie ja mam głowę? Przecież to wszystko da się połączyć! Coraz lepiej! Tak, nigdy nie było co do tego wątpliwości: Jestem geniuszem!

3

Noszę przecież w sobie tyle miłości, którą chciałabym komuś ofiarować, rozmyślała Elena, obserwując z powietrznej gondoli przesuwający się w dole wprost niezdalnie piękny krajobraz. Tyle tłumionych uczuć, tyle marzeń. Mogłabym oddać całą siebie, zrobić wszystko dla tego, który by mnie zechciał, uczynić jego życie łatwym i szczęśliwym, spełnić każde jego życzenie...

Cóż, nie było to dobre nastawienie, lecz Elena nie zdawała sobie z tego sprawy. Tysiące młodych dziewcząt przed nią myślało podobnie, nie wiedząc, jak niebezpieczne jest takie bezwolne poddawanie się. W mężczyźnie o słabym charakterze mogło wyzwolić to, co najgorsze.

Oczywiście, miłość oznacza dawanie, lecz nie takie, które nie jest niczym ograniczone, pozbawione wszelkiego krytycyzmu.

Elena nie tęskniła egoistycznie za kimś, kto ją pokocha, to ona gorąco pragnęła pokochać kogoś. Gdyby tylko jakiś mężczyzna zechciał ją odkryć, była gotowa poświęcić całe swoje życie owemu wspaniałemu człowiekowi. Kto miałby to być, na razie pozostawało zagadką.

Nikt z przyjaciół nie wiedział o jej hiperromantycznym usposobieniu. Elenę uważano za dobrą koleżankę, która zajmie się wszystkim, zrobi to, o co poproszą, i nigdy nie powie „nie”. Podświadomie może nawet ją wykorzystywano. Elena po prostu taka się urodziła, była wdzięczna, że może się do czegoś przydać, że coś znaczy.

Berengaria, rzecz jasna, zorientowała się, że bliska znajomość z Eleną przynosi jej korzyści, lecz przyjaźń obu dziewcząt miała głębsze podstawy. Berengaria nigdy by nie zdradziła przyjaciółki. Nawet teraz, kiedy różnica wieku, jaka je dzieliła, stawała się wyraźniejsza, i młodsza z dziewcząt wolala spędzać czas z Siską i Sassą, a Elena czuła, że więcej ma wspólnego z Indrą, nawet teraz ich przyjaźń nie przygasła. Elena i Berengaria zawsze się cieszyły, kiedy mogły się spotkać.

Ale ukochany... Ach, jakże gorąco Elena pragnęła mieć kogoś takiego!

Miasto nieprzystosowanych stanowiło brzydką plamę na idealnym obrazie Królestwa Światła. Było to jedyne miejsce, gdzie przeniesiono się jeszcze dalej w głąb Ziemi.

Mieszkańcy nie chcieli, aby ich miasto oświetlało oddzielne słońce. Twierdzili, że bardziej niż dość mają okropnego, świecącego przez całą dobę na okrągło blasku ze stolicy. A że stolica leżała bardzo daleko, panowało tutaj przytłumione światło. Nie ciemność, jak poza granicami królestwa, po prostu nie było widać słońca, Ludzie jednak z tego też nie byli zadowoleni, wybudowali więc całe miasto także pod ziemią. W ten sposób mogli różnicować swoje życie prawie tak, jak w nigdy nie zapomnianym świecie na zewnątrz. W ciągu dnia pracowali na górze w urzędach i fabrykach, nocą spali na dole.

Miasto stanowiło bezładną mieszaninę szczegółów, wywodzących się z różnych epok. Szalała nostalgia, doprowadzając do tego, że spory i kłótnie, jakie zawsze tu miały miejsce, stawały się jeszcze gwałtowniejsze. Wreszcie Strażnicy postanowili zaprowadzić jakiś ład. I tak tym, którzy trafili tu pierwsi, przydzielono dzielnicę na ziemi w pobliżu paskudnych budynków fabrycznych i biurowych, przy których tak się upierali, natomiast przybyli ostatnio mieli swoje mieszkania i miejsca pracy na podziemnych ulicach, oświetlonych latarniami i neonowymi reklamami. Ludzie, którzy nie mogli pogodzić się z życiem w Królestwie Światła, chcieli, by wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak w ich świecie na powierzchni Ziemi.

Nie dało się przecież nikogo odesłać z powrotem, dlatego Strażnicy starali się zrobić wszystko, by mieszkańcy dobrze się tu poczuli.

Może wpływ miało też słówko szepnięte przez Theresę, wspomniała ona coś o różnaitości typów ludzkich i to na pewno trafiło Strażnikom do przekonania. Zapewne wcześniej zdarzało się, że mniej szczęśliwie dobrani osobnicy, kryminaliści i im podobni, znikali. Teraz już tego nie praktykowano. Wszyscy mieli prawo do życia, również ci, na których Święte Słońce nie wywierało żadnego wpływu albo zbyt mały. Serca tych ludzi nie dawały się oczyścić, a wiązało się to oczywiście z faktem, że nie docierały do nich dobroczynne promienie Słońca. Po części dlatego, że nieprzystosowani nie byli podatni na działanie Słońca, a po części ze względu na dzielącą ich od niego odległość.

Oczywiście nie wszyscy mieszkańcy tej osady byli z gruntu źli, większość to przyzwoici ludzie, którzy po prostu niedobrze się czuli w ukrytym w głębi Ziemi kraju. Żyły tu także i dzieci, które tutaj się urodziły i dorosły, a o wspaniałym świecie na powierzchni słyszały jedynie od rodziców czy dziadków. Wiele z nich wyprowadziło się z miasta i przyłączyło do pozostałych mieszkańców Królestwa Światła. Pod wpływem oddziaływania Słońca stali się szczęśliwymi ludźmi.

Im bardziej Elena zbliżała się do miasta nieprzystosowanych, tym bardziej czuła się nieswojo.

A przecież nie odbierała złych prądów wibrujących pod powierzchnią, nowych elementów, jakie się pojawiły. Nie były one wcale takie nowe, po prostu zaczęły wychodzić na światło dzienne.

Dotarli na miejsce.

Elena przygnębiona siedziała w gondoli obok Jaskariego. Utarło się już, że oni dwoje stanowili zespół. Dziewczyna była przekonana, że tak naprawdę Jaskari nie cierpi z nią pracować, ale nie chce jej zranić, mówiąc o tym wprost. Jakaż to przykra myśl!

W tym dziwnym mieście ulice, przy których stały sklepy, zadaszono tylko po to, by w ciemności dało się zapalić latarnie. Przyjechali do dzielnicy stosunkowo niedawno

przybyłych, w oczy bił blask neonowych reklam, zewsząd też dobiegała hałaśliwa muzyka. Znajdowało się tu wszystko to, co Indra z taką radością porzuciła. Mieszkańcy upierali się także przy samochodach. Gardzili powietrznymi gondolami, bo przecież nie dawało się nimi szaleć i rozbijać po ulicach i drogach. Przedstawiciele wcześniejszych epok nie chcieli słyszeć o nowoczesnych wynalazkach Obcych i Madragów, a ci przybyli później za nic mieli konne powozy i łojowe świece swoich, poprzedników. Wszystko powinno być dokładnie tak jak za ich czasów.

Strażników zapewne niekiedy świerzbiły palce, żeby pozbyć się najbardziej kłopotliwych osobników, lecz zabraniała im tego ich kultura.

Oczywiście w mieście znajdowały się także piękne dzielnice, zwłaszcza w jego starych częściach. Elena, Indra i Jaskari spotkali Joriego i Armasa przy łukowato sklepionym mostku nad leniwie płynącą rzeką. Indra, która z zewnętrznego świata zabrała aparat fotograficzny, zaczęła robić zdjęcia przyjacielom, okazało się jednak, że nie jest mistrzem fotografowania.

- Stańcie teraz oparci o balustradę! Trochę ciasniej, o, tak! Teraz zrobię! Co znowu? Ojej, zapomniałam zdjąć pokrywkę z obiektywu. Jeszcze raz. Teraz, teraz dobrze! Nie, Eleno, ty zrób zdjęcie, ja pod względem technicznym jestem kompletnym matolkiem.

Elena wzięła aparat do ręki.

- Dobrze, stańcie teraz spokojnie. O, nie, tło diaska, właśnie przejeżdża jakiś samochód. Indro, nie rób takiej słodkiej miny, przypominasz starą pannę, która zrobiła na drutach czapkę dla pastora, a on poklepał ją po pupie. No, do trzech razy sztuka. Już! Udało mi się, tak przynajmniej myślę.

- Dzięki Bogu! - westchnął Armas. - Uśmiech miałem już taki sztywny jak premier, który ucisnął sto pięćdziesiąt dłoni i pogłaskał trzydzieścioro dzieci po głowie.

Skierowali się ku magazynowi, gdzie mieli rozpocząć dyżur. Szli przez szarobure ulice rodem z lat trzydziestych dwudziestego wieku, zastanawiając się, jak w ogóle ktoś może chcieć mieszkać w takich warunkach, skoro do wszystkich pozostałych części kraju dociera życiodajne światło.

Czas już nadszedł, rozpoczyna się realizacja planu.

Żadne z nich nie znało myśli, które ktoś snuł gdzieś w pobliżu.

- Słyszałem, że Dolgo i Marco są już w drodze tutaj - powiedział Armas. - I Gabriel.

- A co ojciec ma tu do roboty? - zdziwiła się Indra. - Dlaczego w ogóle się tu wybierają? Ale chętnie się z nim zobaczę. Z pozostałymi również.

- Ja także - przyznała Elena. - Dolgo jest taki interesujący w swej tajemniczej małomówności. Wiecie, bywają zamknięci w sobie ludzie, na których widok jednak od razu budzi się ochota, by się czegoś więcej o nich dowiedzieć, innych nazywa się nudziarzami i nie zwraca na nich uwagi.

- Dlatego, że naprawdę są nudziarzami - stwierdziła Indra.

Ulica zwężała się. Indra szła obok Joriego, wesołego Joriego, z którego oczu mimo wszystko biła jakaś niepewność. Żaden człowiek nie jest dokładnie taki, jak inni go sobie wyobrażają, pomyślała. Nikt nie jest szablonem.

Teraz ja pomyślałam szablonowo, roześmiała się sama z siebie.

Te szczeniaki nie są groźne, ale chodzą plotki, że i inni się tu wybierają. Dwaj z tych, którzy mogą sprawić wielkie kłopoty. Nie podoba mi się to. Uruchamiam swój plan i nikt mnie nie powstrzyma.

Zły umysł nie przestawał pracować.

Indra pogrążona była w filozoficznych rozważaniach. Dlaczego ludzie z tego miasta tak źle się tutaj czują? Obcy i Strażnicy robią wszystko, żeby spełnić ich życzenia, co więc nie daje im spokoju? Czy człowiek zawsze musi tęsknić za światem, w którym nigdy nie będzie mógł się znaleźć? I przecież wielu się tutaj urodziło, za czym oni tęsknią? No tak, wiem, że niektórzy wyjechali, ale...

Rozmyślenia przerwał jej głos Joriego:

- Słyszeliśmy od Eleny, że piszesz - zagadnął.

Indra stanęła jak wryta.

- Co? Czyżby to się już rozniosło?

- Bardzo się nam to spodobało. Ciekawe, mamy już przecież jednego poetę w rodzinie, Rafaela, na pewno będzie mógł ci udzielić kilku rad. A co piszesz?

Blisko, bardzo blisko wrzało zło. Zło bardzo często skrywa się pod innym imieniem, a właściwie ma ich wiele, w zależności od tego, w którą stronę skierują się ludzkie żądze.

- A, takie tam różności - Indra wykręcała się zakłopotana. Właściwie jednak z przyjemnością przyjmowała zainteresowanie Joriego. Roześmiała się. - Pamiętam, jak kiedyś w szkole mieliśmy napisać wypracowanie o śmierci i żałobie pod tytułem „Życie toczy się dalej”, ale nauczyciel tłumaczył tak mętnie, że napisałam wstrząsającą historię o duchach, które ponownie ożyły. Moim zdaniem była naprawdę świetna, ale oczywiście mnie złąjano.

- Nauczyciel nie miał poczucia humoru - Jori śmiał się do łez.

Pozostali dopytywali się, co ich tak rozbawiło, więc Indra musiała powtórzyć historyjkę.

W taki oto sposób pięcioosobowa grupka młodzieży, krztusząc się ze śmiechu, dotarła do poważnych ludzi przy miejscu wypadku. Nie było to szczególnie odpowiednie entré.

Po wybuchu już posprzątano, ale w ścianie ziała wyrwa i właśnie przy niej postawiono młodych na straży.

- Sporo tutaj drobnych łajdaków - powiedział jeden ze Strażników, których mieli zastąpić.

- Zżera ich ciekawość i palce swędzą. Zadbajcie o to, żeby nie dostali się do magazynu. Strażacy wszystko w środku sprawdzili i nie powinno już być żadnego zagrożenia, ale gdybyście usłyszeli dobiegające z wnętrza jakieś podejrzone odgłosy, to uciekajcie co sił w nogach. Biegnijcie jak najdalej i kryjcie się. Wasze zadanie polega na tym, by nikt niepowołany nie dostał się do składu.

Potwierdzili, że zrozumieli, i zajęli pozycje. Usiłowali przy tym wyglądać jak najbardziej władczo, lecz chyba nikogo nie zdołali oszukać.

Elena pomachała ręką przechodzącej akurat Rozalindzie.

- Rozalinda jest sympatyczna - wyjaśniła Indrze. - Mieszka tutaj, ponieważ akurat tak jej się podoba, ale nie jest taka jak inni mieszkańcy miasta. Istnieje zresztą między wami

pewne podobieństwo, Rozalinda także umie korzystać z życia i ze wszystkich sytuacji potrafi wybrać najdogodniejsze wyjście.

- To rzeczywiście brzmi sympatycznie - roześmiała się Indra. - Ale wydała mi się jakby troszeczkę już zniszczona.

- Może rzeczywiście zanadto ułatwia sobie życie - przyznała Elena. - Wątpię, by zadawała sobie trud codziennej kąpieli. Utrzymuje się z układania marnych okolicznościowych wierszyków. Pamiętaj, z niczego jej się nie zwierzaj, pod tym względem jest jak sito, wszystkie wiadomości z niej wyciekają.

- Powinna być dla mnie odstrasającym przykładem - stwierdziła Indra zamyślona. Żałowała, że tak impulsywnie postanowiła się do nich przyłączyć. Dyżur zapowiadał się męcząco i nieprzyjemnie, a ponadto nudno. Wprost zabójczo.

Tego ostatniego określenia Indra nie mogła trafniej dobrać.

Elena natomiast zaabsorbowana była zupełnie czymś innym. Jakiś młody człowiek przystanął na chwilę, oparty o ścianę ze wzrokiem bez wątpienia skierowanym na nią. W jego spojrzeniu dał się wyczytać podziw, chyba że Elena całkowicie zatraciła już zdolność oceny.

Poza tym wolno chyba sobie pomarzyć.

Od dawna już czuła się gotowa do miłości. Gdzie jednak znaleźć chłopaka, który by ją zechciał? Daleko jej do Berengarii, chociaż tak starała się do niej upodobnić. Wszyscy stale ją namawiali, żeby obcięła włosy, a przecież Berengaria miała dłuższe i nikt nie zwracał jej uwagi. Elena była taka dumna ze swej grzywy brunatnych, drobno kręconych loczków, lecz najwidoczniej nikt inny ich nie doceniał. Przecież poza włosami nie miała nic ładnego, była taka nudna, zwyczajna, ciężka, chociaż z całych sił starała się utrzymywać stałą wagę (z zaledwie drobnymi odchyleniami od czasu do czasu) i mieć świeżą, czystą cerę. Dyskretnie się malowała, ale... była zerem, nie dało się temu zaprzeczyć, chodzącą beznadziejnością.

A teraz ten chłopak czy mężczyzna, czy jak go określić, uśmiechnął się do niej.

Naprawdę! Uśmiechnął się z uznaniem, to na pewno dzięki jej włosom. Elena nonszalancko przerzuciła je za ramiona, starając się przy tym na niego nie patrzeć.

Spojrzenie jej jednak samo skierowało się w tamtą stronę. Odszedł! Poszedł sobie i już!

- To może być nudny dyżur - stwierdził Jaskari. - Nieciekawa, brzydka, pozbawiona życia ulica. Jak ludzie mogą chcieć mieszkać w tym mieście?

- Hm - mruknęła Elena zamyślona. - Tamten chłopak wyglądał sympatycznie.

- Który?

- Tamten, ubrany na biało.

- A, ten. Nie.

Ach, ci mężczyźni! Gdzie oni mają oczy?

4

Godziny wlokły się w ślimaczym tempie. Indra znalazła dość niewygodną ławeczkę i skracala sobie czas drzemką. Pozostali siedzieli albo stali oparci o brzydkie mury, gawędząc od niechcienia. Od czasu do czasu ktoś przechodził, ludzie na ogół z zaciekawieniem obserwowali ich z daleka, czasami zbliżali się, by zamienić kilka słów, a niektórzy, bardziej agresywni, z niechęcią wypytywali, co obcy robią w ich mieście.

„Strażnicy nie mają tu czego szukać, sami sobie ze wszystkim poradzimy”. Jeszcze inni upierali się, żeby zajrzeć do wnętrza budynku, ale wtedy młodzi nareszcie mieli zajęcie, mogli łagodnymi słowami zabronić im wejścia do środka.

Odwiedził ich też sam burmistrz, rosy, sympatyczny mężczyzna, który nawet podziękował im za pomoc.

- Niestety, w naszym mieście jest też element, który musi zbadać absolutnie wszystko - powiedział, uśmiechając się przepraszająco. - Na pewno to właśnie oni zapuścili się do magazynu i przez nieuwagę zaprószyli ogień.

Mieszkańcy miasta nieprzystosowanych palili papierosy, inaczej niż w pozostałych częściach Królestwa Światła. Może właśnie dlatego osiedlało się tutaj tak wielu nowo przybyłych?

Burmistrzowi towarzyszył szef policji, miasto bowiem stworzyło własne oddziały porządkowe; tutejsza ludność nie chciała uznawać władzy Strażników, mających większe uprawnienia niż oddziały policji. Komendant był łysym, spoconym mężczyzną ze znaczną nadwagą i czającym się zawałem serca. W rozmytych rysach dostrzec się jednak dało minioną urodę.

Trzeciego mężczyznę z grupy przedstawiono młodym ludziom jako księgowego burmistrza i miasta. Miał on w twarzy coś pociągającego, lecz jego rozbiegane oczy przywoływały na myśl lisa. Indra powiedziała później, że od tego człowieka nigdy by nie kupiła używanego samochodu. Jej przyjaciele wprawdzie nie słyszeli wcześniej takiego wyrażenia, lecz od razu je zrozumieli i w pełni się z nią zgodzili.

Burmistrz i rewizor przysiedli na pustych skrzynkach, by chwilę porozmawiać z młodymi ludźmi. Wyraźnie dało się zauważyć, że coś ich niepokoi. Szef policji nie chciał siadać, sprawiał wrażenie, że bardzo mu się gdzieś spieszy.

Czy ten miły burmistrz nie mógł sobie wybrać sympatyczniejszych współpracowników? Zastanawiała się Elena. Co prawda ten rosy mężczyzna sprawiał wrażenie w jakiś sposób zahukanego, jak gdyby ktoś miał nad nim władzę, ale to chyba niemożliwe.

Jaskari spytał go wprost o to, co robi w tym mieście, bo zdaje się całkiem tu nie pasować. (Pośrednio ubliżył tym samym dwóm towarzyszom burmistrza, ale chłopak wcale się tym nie przejmował. Ci mężczyźni nie wzbudzili w nim zaufania.)

Burmistrz uśmiechnął się lekko, nie bez smutku.

- Mieszkaliśmy przedtem w stolicy, ale moja żona źle się czuła w tak całkowicie obcym świecie i kiedy zaproponowano mi objęcie tego stanowiska, wpadła w zachwyt i przeprowadziliśmy się tutaj.

- Żałujecie tej decyzji?

- Ona nie. Ogromnie jej się tu podoba, szczególnie rada jest z zajmowanej przeze mnie pozycji, ja natomiast wolałbym jakiś skromniejszy tytuł i pracę w innym rejonie.

Kiedy przedstawiciele władz odeszli, Jori spytał:

- Zwróciliście uwagę na wiek ludzi w tym mieście? Są znacznie starsi niż w innych częściach naszego kraju. Ci trzej wyglądali na pięćdziesiąt, może nawet na sześćdziesiąt lat.

Armas pokiwał głową.

- To dlatego, że nie dopuszczają tutaj promieni Świętego Słońca. Znajduje się ono za daleko, a poza tym zabudowują ulice i wielu z nich żyje niemal cały czas pod ziemią.

- Co takiego burmistrz mówił? Ze niestety nie mogą nam pomóc? - dopytywała się Elena.

- Wspomniał coś o jakimś przestępstwie, nie dosłyszałam, bo stałam za nim.

- Ma to związek z jakimiś zaginięciami - odparł Jaskari. - Podobno odnaleźli zwłoki dziewczyny. Mówili, że to stara sprawa. Pewnie dlatego szef policji wyglądał na takiego przejętego.

- Nie zwróciłam uwagi na jego słowa - leniwym głosem powiedziała Indra. - Bo ten księgowy czy rewizor miał takie paskudne spojrzenie, miałam wrażenie, jakby pożerał mnie wzrokiem. Wstrętny, stary wieprz!

- Jakieś przestępstwo w mieście nieprzystosowanych? - mruknął Armas pod nosem. - Muszę dać znać ojcu. My młodzi nie mamy tutaj żadnej władzy, ale on powinien się o tym dowiedzieć. Coś, zdaje się, wskazywało, że zamieszany jest w to jakiś żołnierz, prawda?

- Chciałbym bliżej zbadać tę sprawę - westchnął Jori. - Zapowiada się bardzo ciekawie, ale pewnie nikt mnie nie dopuści do śledztwa.

- Możemy porozmawiać z Dolgiem i Markiem, kiedy tu przybędą - zaproponowała Elena.

- Tak, albo... Już wiem! - zawołał Jori. - Wiem, kto może się do nich podkraść i podpatrzeć, co robią. Tsi-Tsungga!

Elena przypomniała sobie owo drżące, przyprawiające ją o wstyd uczucie, chaos doznań, jaki Tsi zawsze wzbudzał w jej ciele już od dnia, kiedy uratował ją od potworów z Ciemności. Ponieważ mieszkał w dolinie elfów, od tamtej pory spotkała go zaledwie parokrotnie, i to przy bardziej oficjalnych okazjach. Grono starych przyjaciół, ucieszonych swym widokiem, trzymało się zwykle razem, nie zdarzyło się, żeby Tsi i Elena zostali sami zbyt blisko siebie.

Mimo to jednak nie przestawała śnić o nim podniecających snów. Towarzyszyło im zawsze poczucie wstydu, wyobrażała sobie, że leży w zielonym lesie, a on nagle wyłania się z cienia. Przyglądał się jej długo z góry, drżącej z podniecenia i strachu, a jego jaskrawo zielone oczy lśniły żądzą, uśmiechał się do niej, odsłaniając ostre kły. Wszystko to było takie zakazane, skandaliczne i nierealne, bo przecież on wywodził się z zupełnie innego gatunku, ale kiedy kładł się przy niej i muskał nigdy nie całowane piersi, które naprężały się pod jego dotykiem, Elena czuła, jak wzbiera w niej pożądanie. Tsi opierał się na łokciu i ręką sięgał w dół, by wtargnąć w nią członkiem, którego nigdy nie widziała, nie wiedziała nawet, czy w rzeczywistości w ogóle go ma. Przenikały ją wtedy fale rozkoszy, lecz zawsze budziła się za wcześnie, zanim jeszcze do czegokolwiek doszło. Kiedy tylko bardziej namiętnie ocierał się o jej ciało, sen się kończył.

Zawsze potem musiała sobie sama pomóc. Zaspokojenie następowało niemal natychmiast, lecz nieodmiennie zostawiało w niej jakąś pustkę. Czegoś jej brakowało. Najgorsze, że po takim śnie Tsi całymi dniami nie schodził jej z myśli, a ciało wprost bolało od pełnego tęsknoty niespełnienia.

Nawet teraz, kiedy Jori wymienił jego imię, poczuła owo cudowne napięcie bioder i ud, które wkrótce doprowadziłoby ją do orgazmu, gdyby się temu poddała. Wystarczyło więc tylko, że pomyślała o brunatnozielonej istocie przyrody.

Odpowiedziała, lecz nie stać ją było nawet na zdecydowane „nie”.

- Zastanawiam się, czy to dobry pomysł - rzekła, z trudem panując nad głosem. - Być może nie powinniśmy narażać Tsi na zetknięcie z tym miastem.

Ty tchórze, dlaczego nie powiesz, jak jest naprawdę? Dlaczego się nie przyznasz, że boisz się z nim spotkać?

- Masz rację - przyświadczył Jori ku jej niewypowiedzianej uldze. - Tutejsi ludzie nie potrafiliby go zrozumieć. Jeszcze by go ukamienowali, nie panując nad prymitywnym strachem. Ale patrzcie, idzie Heinrich Reuss! Dawno go nie widzieliśmy.

Heinrich Reuss von Gera stanowił wyjątkowy przypadek. Jako jedyny z grupy czarnoksiężnika przeniósł się do miasta nieprzystosowanych. Dla dawnego szlachcica i rycerza zakonnego przejście do kompletnie obcego, nowoczesnego świata okazało się zbyt trudne. Mieszkał teraz w najstarszej części miasta, gdzie przy wykładanych kocimi łbami ulicach wznosiły się budynki z muru pruskiego i gdzie czas zatrzymał się jakby w siedemnastym wieku. Owszem, wyglądało to czarująco, lecz jakże było niewygodne! Heinrich Reuss nie wydawał się zadowolony. Wprawdzie tak jak i inni w jego wieku w czasie gdy mieszkał we Wschodniej Łące, cokolwiek odmłodził, to jednak tkwił w nim jakiś smutek.

Nie mógł znaleźć spokoju i nikt nie potrafił mu w tym pomóc. Nie, nie chciał wcale wracać do zewnętrznego świata, tutaj mu było najlepiej, to jego dusza wciąż pozostawała strapiona. Przyjaciele sądzili, że dręczą go wspomnienia z czasów, kiedy był złym rycerzem, lub też z długich lat późniejszych: odkąd rozstał się z Zakonem i dławił go ciągły strach, że zostanie odnaleziony i ukarany. Nikt jednak tak naprawdę nie znał przyczyny jego niepokoju, być może nawet on sam.

Powitał ich z nieśmiałym uśmiechem.

- Czy to naprawdę dzieci moich przyjaciół tak już dorosły? To przecież Jori Taran! I Jaskari Villemanna! Ty musisz być Armas, półobcy! A tu mamy oczywiście Elenę Danielle! Taka jesteś duża i pulchna!

Komplementy najwidoczniej nie były jego mocną stroną. Elenę aż skrzywiło ze wstydu i przykrości.

- A to kto taki?

Armas pospiesznie przedstawił Indrę.

- Ach, tak? Nowy przybysz z powierzchni starej matki Ziemi. Witaj w podziemiu! Roześmiał się ze swego własnego dowcipu, ale w jego śmiechu dał się słyszeć wymuszony ton.

Elenie w tym momencie przyszedł do głowy świetny pomysł. Dobrze wiedziała, że Heinrich Reuss jest bardzo samotnym człowiekiem. Rozalinda także żyła sama. A może by tak połączyć tych dwoje? Oboje nieprzystosowanych do miasta nieprzystosowanych. Może zechcą się stąd wyprowadzić w miejsce, gdzie będzie im lepiej?

Doskonały pomysł! Może uda jej się spełnić dobry uczynek, musi podzielić się tą myślą z przyjaciółmi.

- Słyszałem, że Dolgo i Marco wybierają się tutaj - powiedział Heinrich. - Spotkałem Marca pierwszy raz, kiedy oficjalnie otwierano miasto Saga. Cóż to za wspaniali mężczyźni! Tacy przystojni?

- Mało powiedziane - stwierdziła Indra. - Owszem, powinni już tu być, ale na razie jeszcze ich nie widzieliśmy. Może musieli zająć się sprawą tej zmarłej dziewczyny.

- Och, tak, to okropne! - zadrżał Heinrich ze zgrozą. - Czy Marco i Dolgo mieszkają w tym samym miejscu?

- Nie całkiem. W tym samym mieście, ale Dolgo osiedlił się w pobliżu rodziców, czarnoksiężnika i jego Tiril. A Marco ma osobny, bardzo piękny dom, niemal pałac, który podarowało mu Królestwo Światła.

- Hm.

Akurat w tej chwili mijala ich powracająca Rozalinda. Teraz albo nigdy, doszła do wniosku Elena. Przywołała pełną radości życia kobietę, nieco przy kości tu i ówdzie, lecz właściwie było jej z tym bardzo do twarzy.

- Czy wy się już znacie? - spytała Elena i przedstawiła Rozalindzie Heinricha Reussa.

- Tylko z widzenia. Ale ten tytuł szlachecki naprawdę imponuje.

Rozalinda uśmiechała się promiennie, wręcz zapraszająco. Heinrich natomiast z dużo większą rezerwą.

Pierwsze koty za płoty, pomyślała Elena z dumą. Pomagania dwojgu ludziom w znalezieniu jakiegoś wyjścia z samotności nie można chyba nazwać swataniem?

Chwilę rozmawiali o ryzyku nowej eksplozji wewnątrz magazynu, kiedy nagle ukazał się zmierzający w ich stronę Opryszek we własnej osobie. Młodzi nie wiedzieli, jak on się naprawdę nazywa, nigdy wcześniej też go nie spotkali, lecz określenie „opryszek” pasowało do niego idealnie. Maszerował długimi krokami, zgniótł kwiatek, który zdołał przebić się wśród kamieni, a przy następnym kroku ciężki but posłał maleńkiego żuczka do nieba żuków. Szedł wprost na grupkę młodych i zatrzymał się dopiero, kiedy oni cofnęli się, żeby ich nie roztrącił. Heinrich i Rozalinda zniknęli w jakimś zaułku, Elena miała nadzieję, że odeszli razem.

- Czego, u wszystkich diabłów, szukacie tu, gówniarze? - zagrzmiął Opryszek. - Myślicie, że bez was sobie nie poradzimy?

Jeśli całe miasto jest takie jak ty, to na pewno nie, pomyślała Indra.

Złe, przepite spojrzenie omiotło grupkę.

- My po prostu wykonujemy rozkazy - zdobył się na odwagę Jori.

Opryszek pchnął go łokciem, aż Jori zatoczył się do tyłu.

- Spokojnie - łagodził Armas. - Chciałbyś może sam stać tu na warcie, spędzić cały dzień na tej nieciekawej ulicy?

Opryszek podszedł bliżej, lecz z nieco mniejszą już butą, Armas był bowiem od niego wyższy, a poza tym nawet dziecko by się zorientowało, że w jego żyłach płynie krew Obcych. Wysoki, ogromnie urodziwy, miał jasne lśniące włosy, skrywające mu ramiona niczym płaszcz.

- Zamknij się, przekłety szczeniaku! - warknął Opryszek, lecz już bez takiej pewności w głosie jak wówczas, gdy zwracał się do Joriego. - Już niedługo będziecie nami tak pomiatać, sami się o tym przekonacie!

- Moim zdaniem Obcy wcale wami nie pomiatają - wycedziła Indra przez zęby. - A jeśli nie masz nic inteligentniejszego do powiedzenia, to możesz już odejść. Jazda, zmiataj stąd!

Wcześniej zdążyła zauważyć, że z drugiego końca ulicy nadchodzi właśnie jej ojciec razem z Dolgiem i jakimś Strażnikiem, prawdopodobnie Ramem, dlatego zdobyła się teraz na taką odwagę. Marca jednak nie było z nimi.

- Zamknij się, smarkulo! - odwarknął Opryszek i złapawszy Joriego, najmniejszego z nich wszystkich, podniósł go do góry jak rękawiczkę.

Jaskari uderzył, doszedł do wniosku, że tutaj najwidoczniej nie poskutkują żadne inne argumenty. Włożył więc w cios całą siłę rysujących się pod koszulą mięśni Opryszek przewrócił się, Jori upadł na niego. Chłopak prędko się poderwał, napastnik wstawał wolniej, chociaż rozjuszony był już jak byk. To się źle skończy, pomyślały dziewczęta, nie brały jednak pod uwagę Armasa. Kiedy Opryszek spuściwszy głowę z wrzaskiem natarł na Jaskariego i Joriego, Armas zagroził mu drogę.

Opryszek trafił w mur. W niewidzialną tarczę unoszącą się w odległości kilku centymetrów od Armasa, osłaniającego przyjaciół.

- Odsuń się, łajdaku, bo zrobię z ciebie płaski pudding! - wrzeszczał Opryszek.

- Pudding wcale nie jest płaski - zauważyła Indra.

Armas nie ruszył się z miejsca. Jori natomiast zaśmiał się drwiąco, a rozwścieczonemu napastnikowi krew napłynęła do głowy. Albo on nas wszystkich zmasakruje, albo sam pęknie, pomyślała Elena ze strachem.

Na szczęście trzej wybrańcy już do nich dotarli. Ram zamknął ramiona Opryszka w stalowym uścisku.

- Nasza cierpliwość niedługo się skończy - oznajmił surowo Strażnik. - Jeszcze jeden podobny wyskok i dla ciebie nastąpi koniec opowieści.

A więc usłyszeli wreszcie o tym, że w istocie ludzi można stąd usunąć. No tak, nikt chyba na to bardziej nie zasługuje niż ten tutaj, doszła do wniosku Indra. Nie ma żadnej wartości dla innych.

Tak, tak, znam honorowy kodeks Ludzi Lodu, ten sam zresztą, który obowiązuje w rodzinie czarnoksiężnika i w całym Królestwie Światła. Każdy człowiek ma swoją wartość. Po prostu w tej szumowinie ludzkiej rasy trudno się jej doszukać.

Opryszek, odgrażając się pełnymi nienawiści przekleństwami, odszedł. Ulica przez jakiś czas była pusta, mieli więc chwilę, by zamienić kilka słów z nowo przybyłymi. Indra cieszyła się, widząc swego ojca takim spokojnym i szczęśliwym. Dla niego pobyt w Królestwie Światła był prawdziwym błogosławieństwem. Skierowawszy jednak spojrzenie na Dolga, poczuła beznadziejną tęsknotę, tak bardzo chciała się z nim zaprzyjaźnić. Nie szukała w nim mężczyzny, partnera, nie zależało jej wcale na jego ciele, pragnęła zdobyć jego duszę.

Jedno spojrzenie na Elenę wystarczyło, by stwierdzić, że przyjaciółka myśli podobnie. W oczach Eleny malował się smutek, może żal jej było Dolga, a może siebie.

- Niestety, chłopcy i dziewczęta, sami musicie sobie radzić na tym dyżurze - oznajmił Ram. - My powinniśmy się skupić na kolejnym zaginięciu. Teraz sprawa zaczyna wyglądać naprawdę poważnie. Zniknęła bowiem córka burmistrza, przerażająco młoda, jeszcze dziecko, ma dopiero jedenaście lat.

- Rzeczywiście wiek strasznie się obniża - przyznał Armas. - To okropne.

- Tak, w razie potrzeby zwrócimy się o pomoc do Marca, tymczasem jednak nie chcieliśmy, żeby tutaj przyjeżdżał bez absolutnej konieczności. On jest taki czysty, taki szlachetny, to miasto mogłoby go zbezczcić.

- Znam sagę Ludzi Lodu - cierpko zauważyła Indra. - I z tego, co wiem, Marco swego czasu doświadczył na Ziemi wiele zła. Potrafił mu też zaradzić.

- Owszem, lecz teraz jego sytuacja jest szczególna - odparł Ram, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

- Ale czy Święte Słońce nie może oczyścić ludzi w tym mieście? - wtrąciła się Elena. Ram skierował na nią spojrzenie czarnych oczu. Dziewczyna знаła go od dzieciństwa i wcale się go nie bała, pomimo iż w Królestwie Światła reprezentował władzę.

- Nie - wyjaśnił łagodnie. - Zwyczajnych dobrych ludzi Słońce czyni lepszymi. Poprawia i polepsza ich i ich życie. Zło natomiast działa na Słońce, atakuje je i zanieczyszcza. Nie wolno do tego dopuścić. Z całych sił staramy się je chronić przed nieprzystosowanymi, podobnie jak wasi rodzice osłaniali je przed złymi rycerzami.

- Ale przecież nie wszyscy tutaj są źli - zaprotestowała Elena, myśląc o młodym mężczyźnie w białym ubraniu.

- Oczywiście, ale kiedyś dawno temu ofiarowaliśmy temu miastu Słońce i sprawy potoczyły się niepomyślnie. Złocista kula pociemniała i zaczęła promieniować złem, które pochłonęła.

- Odbijała je niczym lustro - podsunął Jori.

- Waśnie tak. Nastąpiło straszne sprzężenie zwrotne, musieliśmy usunąć Słońce i w tajemnicy zagrzebać je głęboko w ziemi. Od tamtej pory nie ma tutaj Słońca. Mieszkańcy zresztą wcale go nie pragną. Tak, tak, miasto nieprzystosowanych to prawdziwy problem. Z ponurymi minami zamyślili się nad tym faktem. Trzeba spuścić cały ten gnój w klozecie, pomyślała Indra bez odrobiny szacunku.

Myśli Dolga wędrowały niespokojnie. Jego spojrzenie poszukiwało, omiatało otoczenie. Nie pojmuję tego, myślał, wyczuwam zło gdzieś w pobliżu, ono jest tutaj w mieście, ale takie trudne do określenia, jakby nacierało z kilku stron jednocześnie. Jakby było podwojone? Czyżby popełniano tu dwa zupełnie nie związane ze sobą przestępstwa?

5

Nikt nie znał jego pochodzenia.

Do Królestwa Światła trafił zupełnie przypadkiem, po prostu fatalny zbieg okoliczności. Wychowywał się w środowisku oficerskim, uwielbiany przez zwariowaną matkę, otaczającą się wyłącznie innymi małżonkami wysokich rangą wojskowych. Od czasów najwcześniejszego dzieciństwa jego ojciec pułkownik ćwiczył go i musztrował, nie karząc jednak przy tym, lecz wychowując na oficera i dżentelmena. Ojciec także ubóstwiał pięknego, wprost rasowego syna.

Wyrósł na niezwykle przystojnego młodzieńca, wielbionego przez kobiety. Kolejno je wykorzystywał, później obojętnie odwracał się od nich plecami, nie zważając na rozpacz i płacze ani na zniszczenia, jakich dokonał w ich życiu. Przyszedł na świat jeszcze w epoce, w której dziewictwo kobiety wciąż traktowano jak świętość.

Jego pewność siebie umacniała się z oszalamiającą prędkością. Wkrótce uznał się za osobę o nieodpartym wdzięku, wprost boży dar dla świata. Kiedy skończył trzydzieści dziewięć lat, matka zaczęła okazywać niezadowolenie, pragnęła doczekać się wnuków, czyż więc syn nie zamysła wkrótce się ożenić? On właściwie wcale nie miał takiego zamiaru, lecz kiedy się nad tym zastanowił, pomysł przypadł mu do gustu, zwłaszcza że po raz pierwszy w życiu odczuwał coś na kształt zakochania w kimś innym niż on sam. Jego wybór padł na młodziutką, śliczną dziewczynę z najlepszej rodziny. Matka i ojciec dokładnie sprawdzili, z jakich to przodków wywodzi się panna, ustalili także wysokość konta bankowego jej ojca. Zaakceptowali ją, uznali za dobrą partię.

Dziewczyna właściwie uważała, że jest już trochę za stary, ale, na Boga, zachował swój młodzieńczy urok, a w dodatku cieszył się sławą niezdożytego uwodziciela, absolutnie nie dającego się zwabić do małżeństwa. Fakt więc, że postanowił pojąć ją za żonę, potraktowała jako osobiste zwycięstwo.

W miarę upływu lat awansował i został podpułkownikiem. Na podwładnych wrzeszczał, okazywał im lodowaty chłód... Nie, nie był sadystą, pozostawał jednak obojętny na fakt, że za wojskowym mundurem kryje się także człowiek. Żądał od podległych mu żołnierzy rzeczy nieludzkich, nie znosił żadnego sprzeciwu, tkwił w nim jakiś chłód uczuciowy, przerażający nawet tych, którzy pragnęli utrzymać z nim bliższy kontakt. Żona urodziła mu dwie córki, których w ogóle nie zauważał, a dopiero później syna, ubóstwianego tak samo jak kiedyś wielbił go jego ojciec. Babka obsypywała malca pieścotami, aż podpułkownik wrzeszczał na nią jak na rekruta.

W tym czasie, miał wówczas pięćdziesiąt pięć lat, zaczął dostrzegać błąd, jaki popełnił żeniąc się z tak młodą, cieszącą się wielkim powodzeniem panną. Dziewczyna, rzecz jasna, zmieniła się już w piękną kobietę o złocisto-brązowych włosach i niebieskich oczach, uwielbianą przez kolegów oficerów. Tym akurat się nie przejmował, uważał, że nikt nie może zagrozić jego pozycji najprzystojniejszego ze wszystkich.

Omylił się jednak. Co prawda wciąż podbijał kobiece serca i łamał je z taką samą łatwością jak za młodu, lecz ani przez moment nie przeczuwał biegu wydarzeń.

Własną niewierność uważał za rzecz całkiem naturalną i jak najbardziej na miejscu, był wszak mężczyzną, w dodatku niesłuchającym czarującym, nie było więc o czym mówić.

Wreszcie jednak i do niego zaczęły docierać plotki. Z początku śmiał się z nich pogardliwie. Jego żona miałaby mieć romans z nieznanym z imienia oficerem? To najgłupsze, co słyszał, przecież ona siedzi w domu i czeka na niego. Chyba wie, co robi jego żona?

Wkrótce jednak usłyszał więcej.

To nie może być prawda, miał wrażenie, że żołądek zmienia się w kostkę lodu. Prędko odkrył coś jeszcze: Koledzy śmiali się z niego za plecami. Kiedyś usłyszał wyszeptane gdzieś w pobliżu określenie „rogacz”. Rogacz, czyli zdradzony małżonek. Nie dał nic po sobie poznać, chociaż krew uderzyła mu do głowy, a gardło się zasznurowało.

Zapamiętał sobie jednak tego, który to powiedział. Ten człowiek jeszcze pożałuje swoich słów!

Zaczął szpiegować żonę, oczywiście nie zapytał wprost, czy go zdradziła, takie postawienie sprawy byłoby poniżej jego godności, ale w sercu zapłonęła mu nienawiść, potworna, straszna nienawiść.

Nikomnie wolno go oszukiwać! Nikt nie może go porzucić dla innej osoby, jego cześć i duma pragnęła teraz tylko jednego:

Zemsty!

Jeśli oczywiście to wszystko okaże się prawdą. Wciąż nie wiedział na pewno, czy wypowiedane szeptem insynuacje dotyczą właśnie jego, bo przecież pomyślał, że żona woli kogoś innego, był śmieszny.

Napływały jednak nowe szczegóły romansu. Chodziło o młodego porucznika.

Po kilku dniach potwierdziły się najstraszniejsze podejrzenia. Te, które wcześniej wydawały się niemożliwe, nierzeczywiste.

Okazały się jednak prawdą. Pewnego wieczoru, kiedy miał pełnić służbę w pułku, niespodziewanie wrócił do domu. Nie zastał żony. Podkraść się pod kwaterę młodego porucznika i ujrzał, jak wchodzi razem do środka. Pierwszą myślą było wbiec za nimi i zastrzelić oboje na miejscu. Nie miał jednak przy sobie służbowego pistoletu, bo też i nigdy nawet mu się nie śniło, że to, co teraz odkrył, może zdarzyć się naprawdę. Wrócił do domu, by przygotować bardziej przemyślny plan. Oficer, który zastrzelił żonę i jej kochankę, jest przegrany, jawnie przyznaje się do porażki. Nie, musi wyjść z tego z twarzą, zachowując sławę niezwyciężonego uwodziciela.

Ogarnęła go wściekłość tak wielka, że bał się ataku apopleksji.

Następnego dnia czekał go kolejny wstrząs. Żona, jękając się ze strachu, zażądała rozwodu. Jako motyw podała, że kocha innego. Teraz dobre rady były w cenie. Jak wybrnąć z tej sytuacji i pozostać w opinii publicznej nie zdradzonym mężem? Nocą zdążył już do połowy opracować pewien plan, teraz chodziło o to, by wprowadzić go w życie. Najważniejsze, by dać światu do zrozumienia, że to on znudził się żoną i postanowił ją porzucić, dlatego kobieta szukała pociechy u nieporadnego młodego porucznika o miękkim sercu. Przygotował już sobie nawet na ten temat kilka uwag, które zamierzał od niechcienia rzucić w obecności kolegów. Teraz jednak, kiedy ona zażądała rozwodu, wiedział, że musi się spieszyć. Wciąż mógł wykorzystać zmyśloną historię o swoim romansie z inną i żonie rozpaczającej z tego powodu. Jej żal miał doprowadzić ją do samobójstwa.

Rozkazał, bo nigdy o nic nie prosił, zawsze wydawał polecenia, rozkazał jej więc pójść na spacer, tak aby mogli porozmawiać.

W pobliżu znajdowały się głębokie jamy w ziemi, bez dna, jak powiadano. Okolica była ogromnie niebezpieczna. Ten, kto dotarł tam zatopiony w myślach, zrozpaczony, bez trudu mógł wpaść w którąś z nich i nigdy nie zostać odnaleziony. Podpułkownik zamierzał jednak posunąć się jeszcze dalej: postanowił zepchnąć żonę w otchłań, a później napisać pełen wzburzenia list pożegnalny, podrabiając jej charakter pisma, co wydawało mu się wcale nietrudne, pisała bowiem jak dziecko. List miał wyrażać jej bezgraniczną miłość do męża i równie bezgraniczny żal z powodu jego zdrady. Żaden inny mężczyzna na świecie nie mógł go zastąpić. Zakończenie listu miało zapowiadać, że kobieta rzuci się w przepaść.

List zamierzał napisać po powrocie do domu, zanim zaczną jej szukać, łatwiej to zrobić, kiedy będzie sam.

Aby nie widziano ich razem, wyszedł z domu wcześniej, nakazując żonie stawić się na spotkanie pod wielkim dębem, samotnie rosnącym na niebezpiecznym terenie.

Prowadziła tam ścieżka, nie musiała więc obawiać się jam.

Dla pewności zabrał broń i bardzo dużo amunicji.

W pośpiechu wyruszył w umówione miejsce. Zapadł już zmierzch, ale on dobrze znał okolicę.

Nie zdawał sobie jednak sprawy ze stanu swoich nerwów. Oślepiiony wściekłością i żądzą zemsty, gnał przed siebie wielkimi krokami. Snuł wizje, jak później, oczywiście w inny sposób, zgładzi kochanka żony. Potem przyjdzie kolej na najgorszych oszczerców... Nagle zorientował się, że zboczył ze ścieżki.

Przystanął. Gdzie, w którym miejscu wybrał zły kierunek?

Wszystko jedno, może pójść do dębu na skróty. Wielkie jamy, właściwie dwie głębokie rozpadliny w skorupie ziemskiej, łatwo było zauważyć nawet w półmroku. Długimi krokami kierował się ku potężnemu drzewu, rysującemu się ponuro na tle wieczornego nieba.

Kiedy ziemia usunęła mu się spod stóp, nie od razu pojął, co się dzieje. Czyżby trafił na jakiś rów? Runął w dół, za nim posypał się grad drobnych kamyków. Otoczyła go głęboka ciemność. Nie zdążył się nawet zorientować, że to nowa, nie odkryta jeszcze jama.

Zaniósł się krzykiem bezradności, palcami usiłował o coś się zaczepić, to jednak okazało się niemożliwe.

Upadek zdawał się nie mieć końca. Momentami leciał w powietrzu i padał na kolejną stromiznę, szarpiącą mu na strzępy ubranie i skórę. Krzyczał z bólu. Zemsta... Żona! Teraz dostanie swojego porucznika.

Na koniec uderzył o ziemię z takiej wysokości, że stracił przytomność.

Ocknąwszy się pojął, że spadł potwornie głęboko, na pewno nie setki metrów, raczej tysiące. Bolało go całe ciało, jakby połamaną miał każdą najdrobniejszą nawet kosteczkę.

Znalazł się w sytuacji zaiste rozpaczliwej, prędko przekonał się, że nie zdoła się wydostać na górę. Echo jego krzyków świadczyło o niesłychanej wysokości otaczających go stromych, wręcz pionowych ścian. Mógł się posuwać w jednym tylko kierunku, wzdłuż szczeliny w ziemi. Być może nieco dalej zdoła wspiąć się pod górę, to jedyna możliwość ratunku. Dalej jednak wcale nie było lepiej, po pewnym czasie zorientował się, że wprawdzie podłoże nachyla się bardzo lekko, to jednak wciąż opada. Idąc w tę stronę, nie mógł liczyć na żadną pomoc. Pozostawało mu jedynie mieć nadzieję na cudowne ocalenie.

Nagle ziemia znów się przed nim rozstąpiła. Zmęczony, śmiertelnie przerażony zapomniał o zachowaniu czujności, nie wyczuł pustki przed sobą. Cekał go kolejny oszalały lot w dół.

Długi, bolesny, przerażający. Ze strachu i samotności płakał jak dziecko. Wreszcie zemdłał i nie poczuł nawet, kiedy się zatrzymał.

Tam znaleźli go Obcy.

Ponieważ był nieprzytomny, nie wiedzieli, jakiego człowieka ratują. Zabrali go do Królestwa Światła. Na początku zamieszkał w stolicy, nie potrafił się jednak podporządkować surowej dyscyplinie Strażników. Zażądał przeniesienia do miasta nieprzystosowanych. Tu z pogardą odnosił się do mieszkających tam prostych cywilów, lecz na kolejne żądanie przeniesienia Strażnicy się nie zgodzili. Dość mieli jego arogancji i egoizmu, nie chcieli go w Królestwie Światła.

Nie przestawała dręczyć go myśl o nie spełnionej zemście. Nie mógł zapomnieć żony, która nie poniosła kary. W jego już wcześniej chwiejnej osobowości wyzwoliła się niepokonana żądza odwetu, skierowana ku kobietom przypominającym jego żonę. Przede wszystkim kobietom lekkich obyczajów. To one ją uosabiały. W mózgu niemal mu wrzało, pojawiło się też przeświadczenie, że kiedyś ją odnajdzie, nawet tutaj.

To właśnie popychało go do działania. W każdej kobiecie, którą uwiódł i zabił, widział żonę. Ona także kiedyś tu trafi!

Nie brał pod uwagę upływającego czasu ani tego, że gdy w Królestwie Światła kończył się jeden rok, w świecie na powierzchni Ziemi mijało ich dwanaście.

6

Dolgo, Ram i Gabriel już odchodzili, kiedy Indrze wpadł do głowy pewien pomysł.

- Dolgo, ty potrafisz tyle dziwnych rzeczy, magicznych sztuczek - zaczęła Indra, upewniwszy się, że nie słyszą jej chłopcy. - Czy ty albo Marco nie moglibyście zrobić czegoś dla mnie i dla Eleny?

Elena stała niczym żywy znak zapytania. Co ta jej szalona przyjaciółka znów wymyśliła? Zapowiadało się co najmniej niepokojąco.

- Bardzo chętnie - uśmiechnął się Dolgo do Indry. - Chociaż nie nazywałbym tego magicznymi sztuczkami. A o czym myślisz?

- O, to takie niemądre, ale... Czy nie mógłbyś trochę poczarować, wypowiedzieć jakiegoś zaklęcia, tak abyśmy my dwie przestały tyć? Żebyśmy mogły jeść wszystko, na co tylko mamy ochotę, i wciąż pozostawały szczupłe?

Dolgo zaskoczony popatrzył na Rama i przeniósł spojrzenie z powrotem na dziewczęta. Gabriel ledwie słyszalnie mruknął: „Ależ, Indro!”, a Elena zaczerwieniła się jak piwonია, przeklinając pomysły przyjaciółki.

- Uważam, że wyglądacie świetnie, dziewczęta - odrzekł wreszcie Dolgo. - Elena być może kiedyś będzie miała z tym kłopot, ale ty, Indro, nie masz się na co skarżyć. Nie pojmuję, dlaczego kobiety za wszelką cenę chcą być takie szczupłe - ciągnął. - Elena podoba mi się taka, jaka jest, mogłaby przytyć jeszcze kilka kilogramów, tylko jej z tym do twarzy.

- Wy, mężczyźni, nic z tego nie pojmujecie, chce móc jeść nie cierpiąc przy tym na chroniczne wyrzuty sumienia - odparła Indra, a Elena przyświadczyła jej skinieniem głowy.

Do rozmowy włączył się Ram:

- Rozumiem, o co ci chodzi, Indro, ale nie potrzeba do tego czarnoksięskich zdolności Dolga. Czy widziałaś tu gdziekolwiek poza tym miastem jakieś otyłe osoby? Na pewno nie. Nie zapominaj, że w badaniach i w rozwoju wyprzedziliśmy znacznie świat na powierzchni Ziemi. Wystarczy po prostu pójść do lekarza, sądzę, że nawet Jaskari sobie

z tym poradzi, i poprosić o zastrzyk zapobiegający temu, by komórki tłuszczowe absorbowały więcej ponad to, czego potrzebuje organizm.

- Co takiego? - wykrzyknęła Indra. - To naprawdę takie proste?

- Naprawdę.

- Jak długo trwa taka kuracja?

- Wystarczy jeden zastrzyk. Działa już na całą wieczność.

Dziewczęta popatrzyły po sobie.

- Idziemy więc zaraz jutro - oświadczyła Indra.

- Ale nie do Jaskariego.

- Nie, nie - Indra zawtórowała Elenie ze śmiechem. Podskoczyła i wycisnęła na policzku Rama głośny pocałunek. Dostojny Strażnik cofnął się o kilka kroków, ale kąćki ust mu zdrząły. Zanim Indra zdążyła przystąpić do dalszego ataku, Dolgo prędko się pożegnał i trzech niezwykli mężczyźni odeszli.

- O co tam chodziło? - dopytywali się zaskoczeni chłopcy.

- O nic szczególnego - beztróska odpowiedziała Indra.

- O nic szczególnego? - wrzasnął Armas. - I za to całujesz Strażnika? Chyba oszalałaś?

- Nie, na szczęście, nie.

Minęły ich trzy młode dziewczyny. Jaskari cicho gwizdał.

- Niebrzydkie - mruknął.

Panny popatrzyły na niego zaczepnie. Młodzi z Sagi wiedzieli, że w mieście nieprzystosowanych dziewczętom i kobietom nie wolno chodzić ulicami w pojedynkę, aby uwodziciel-morderca nie miał zbyt łatwego łupu. Dotychczas odnaleziono tylko jedną z zaginionych, prawdopodobnie pierwszą ofiarę, która zniknęła bez śladu już dawno temu. Zgłoszono jednak zaginięcie wielu innych, ostatnio także nastoletniej uczennicy, no i córeczki burmistrza, jedenastoletki. W mieście powoli rozprzestrzeniała się panika, strach było wychodzić samemu.

Jaskari zamienił kilka żartobliwych zdań z dziewczętami, wkrótce jednak odeszły.

Elena nie potrafiła się gniewać, należała do ludzi, którzy smucą się zamiast wpadać w złość. Jej zdaniem Jaskari zachował się idiotycznie, poczuła, że w piersi dusi ją płacz.

Elena wiedziała przecież, że wokół tego przekłętego nabitego worka mięśni wielbicielek chodzą stadami, podziwiając właśnie jego muskuły i urodziwą twarz, nie zwracając w ogóle uwagi na sposób myślenia ani na życzliwe usposobienie. Nie wiedziały o jego trosce o ludzi i zwierzęta ani też o poczuciu humoru.

A teraz on zachowuje się w taki sposób! Podrywa trzy takie... kurcze mózdzki, zajęte wyłącznie własnym wyglądem i chłopcami.

Myśli jej się trochę zamąciły, nie potrafiła dostrzec, że akurat teraz reaguje tak samo, jak te trzy dziewczyny, w sposób jakże typowy dla okresu młodości i całkiem przecież naturalny. Elena jednak podobnie jak wiele innych młodych dziewcząt uważała, że jej odczucia są znacznie głębsze.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Idę coś zjeść - rzuciła niewyraźnie przez ramię. - Mam prawo do przerwy.

- Tylko nie odchodź za daleko! - zawołał za nią Armas. - Tuż za rogiem jest jakiś bar.

- Wiem! - odrzyknęła Elena, ale wcale nie zamierzała tam iść. Miała ochotę odejść gdzieś daleko.

- Pójdę z tobą - oświadczyła Indra i dogoniła przyjaciółkę.

Och, nie! Chciałabym zostać sama, pomyślała Elena, ale przecież nie mogła zaprotestować, nigdy tego nie umiała.

Wzburzyło ją i zasmuciło również co innego. Kiedy siedzieli, gawędząc podczas dyżuru, kolejny raz dali jej do zrozumienia, że powinna ostrzyć włosy, wszyscy byli co do tego zgodni.

Przecież tylko w kwestii fryzury ośmielałam się mieć własne zdanie, myślała Elena ze łzami w oczach. Chcę mieć taką fryzurę jak mam, chcę mieć takie same piękne włosy jak Berengaria i moim zdaniem jest mi z tym ładnie. Dopóki stać mnie na to, by nie przyznać im racji, mam dla siebie samej szacunek. Potrafię powiedzieć „nie”, czy oni nie rozumieją, jakie to dla mnie ważne?

Tego dnia nic się nie układało.

Jedyny jaśniejszy punkt to to, że jakiś młody człowiek uśmiechnął się do niej. Na pewno spodobały mu się jej falujące bujne włosy.

Prawdą było oczywiście, że to Berengaria miała falujące włosy. Drobnymi kręconymi kędziorymi Eleny opadały ciężko jak ołów.

Razem z Indrą minęły wskazany przez Armasa bar i ruszyły dalej ulicą, być może trochę zabawniejszą niż ta przy fabrykach, choć na pewno nie ciekawszą. W oddali ujrzały zejście do podziemnej części miasta.

- Mam ochotę się temu przyjrzeć - oświadczyła Indra. Zatrzymała się przed jakąś wystawą. - Spójrz, mają tu płyty Beatlesów! Czy oni nie wiedzą, że płyt gramofonowych już się nie używa? Teraz są przecież...

Elena ruszyła naprzód. Dźwięk głosu Indry zamilkł za jej plecami.

Chciałabym po prostu zostać sama, buntowała się w duchu Elena, czy ona tego nie rozumie?

Tuż pod krawędź chodnika podjechał jakiś samochód

- Nie powinnaś chodzić tu sama, panienko - rozległ się cichy głos.

Elena odwróciła głowę i spojrzała za kierownicą księgowego o lisich oczkach.

- Wskakuj do środka - zaproponował. - Zawiozę cię tam, gdzie sobie życzysz, pewnie do jakiejś restauracji.

Elena odruchowo już chciała podziękować i usłuchać taką bowiem miała naturę, życzliwym propozycjom nie wolno odmawiać. Nadbiegła jednak Indra i Elena prędko powiedziała:

- Dziękuję, ale jesteśmy dwie i chciałyśmy się trochę rozejrzeć.

Oczy rewizora się zwęziły.

- Tylko się nie rozłączajcie.

Dodał gazu i zniknął w głębi uliczki.

- Czego on chciał?

- Uprowadzić mnie - oświadczyła Elena.

Indra wybuchnęła śmiechem.

- On? On ma między nogami tylko zaschłą mahoniową drzazgę. Chodź, poszukamy jakiejś podziemnej restauracji.

Elena nie podzielała zapału przyjaciółki. Czuli się zdruzgotana. Kolejny raz omal nie dała się złapać na lep, pojechałaby z tym człowiekiem wyłącznie dlatego, że wszystkie jej instynkty nakazywały uprzejmość. Tylko interwencja Indry wyratowała ją z opresji. Ten człowiek mógł ją uwieźć w siłą dal. Oczywiście jej też się przypomniało, że jest z przyjaciółką, i zaraz by mu o tym powiedziała. Co będzie jednak, jeśli się coś takiego powtórzy? Ktoś podjedzie i zechce ją podwieźć? Przecież w ten sposób sama się może skazać na zatracenie.

Zamiast Elena powinna mieć na imię Beznadziejna. Jak można się tego było spodziewać, do jej cech charakteru zaliczała się również ta, którą obciążonych jest tak wiele kobiet, a mianowicie chroniczne wyrzuty sumienia. „To przeze mnie, wszystko, co dzieje się na świecie i w życiu, dzieje się z mojej winy, muszę spojrzeć prawdzie w oczy”. Elena także obwiniała się o wszystko. Zatopiona w ponurych myślach, drepcząc za Indrą, zesłała na dół w podziemia miasta nieprzystosowanych.

Wcale nie najłatwiej było znaleźć odpowiednią restaurację. Pokonały brudny, lekko opadający w dół tunel ze zbyt wąskimi chodnikami i trafiły wprost do dzielnicy rozrywek. Indra oniemiała, przystanąła wpatrzona w ostre kolory neonowych reklam, w pustkę rysującą się na obliczach młodych ludzi, leniwie włączających się ulicami, prawdopodobnie bez pieniędzy. Tak, w mieście nieprzystosowanych funkcjonowały pieniądze, mieszkańcy potrzebowali jakiegoś celu, o który mogliby zabiegać, konkurować bogactwem, rozrzutnością. W innych częściach kraju nie słyszało się o podobnych zjawiskach.

Owszem, w stolicy także istniały dzielnice rozrywki, lecz znacznie wyższej klasy, tutaj z głośników rozbrzmiewała nieprzerwanie ogłuszająca trywialna muzyka.

- O Boże! - jęknęła Indra. - I tak właśnie żyliśmy na Ziemi?

Tam, dokąd nie docierał blask neonów, uliczki leżały pogrążone w cieniu.

- To dzielnice mieszkaniowe - wyjaśniła Elena. - Tutejsi chcą mieszkać jak najbliżej wrzawy i tych potwornych dźwięków. Chcą być jak najbliżej ludzi, moim zdaniem chodzi im o złudne poczucie bezpieczeństwa.

Uliczkami jeździły samochody, wsiadały do nich damy w różnym wieku, w tym mieście bowiem nie działało prawo Słońca, tutaj ludzie starzeli się, tak jak wskazywał to kalendarz, może tylko trochę wolniej.

- Czy tutaj się umiera? - chciała wiedzieć Indra.

- Oczywiście - odparła Elena. - Są nawet kościoły, i to różne, bo wierzący nie potrafią się ze sobą porozumieć, wszystko ma wyglądać tak jak na Ziemi. Prawdopodobnie są też i cmentarze, ale nie wiem tego na pewno.

Przystanąły w pobliżu kina, z którego wypłynął właśnie strumień widzów. Na chwilę rozdzielili ich nieuważni młodzi ludzie.

Elena rozglądała się za Indrą, nigdzie jej jednak nie zauważyła, przesunęła się więc nieco w bok. Przy chodniku zatrzymał się samochód.

- Pięć stów - mruknął męski głos.

Elena, dorastająca w naiwności Królestwa Światła, niczego nie mogła pojąć.

- Co takiego? Co pan mówił?

Mężczyzna otworzył drzwiczki i szarpnął ją za rękę, żeby wciągnąć ją na miejsce obok siebie.

- Nie udawaj głupiej. Pięć stów, ale chodzi mi o coś specjalnego.

Elena znów przeżywała wewnętrzne rozdarcie. Jak zwykle starała się nie przeciwstawić innym, chciała okazać życzliwość, ale ten człowiek był talu twardy i zimny.

- Indro! - zawołała niepewnie, wiedziała bowiem, że nie poradzi sobie z tą sytuacją. Głos jej jednak rozplynął się wśród rozmów kinowej publiczności i hałasu głośników. Wciąż usiłując zachować życzliwość, a jednocześnie stawić opór, przytrzymała się drzwiczek, lecz nie z całych sił, bo nigdy nie potrafiła się sprzeciwić, poza tym mężczyzna był od niej silniejszy.

- Nie udawaj trudnej, nie staję się na tym rogu bez określonego celu.

- Jakiego? - jęknęła żałośnie.

Nagle pojawił się jakiś cień, szybko wyzwolił Elenę z uścisku napastnika.

- Zostaw tę dziewczynę, ona nie jest stąd - rozległ się ostry głos.

Drzwiczki samochodu się zatrzasnęły, pojazd zniknął.

Elena zerknęła na swego wybawiciela i gwałtownie się zaczerwieniła. To ten mężczyzna w białej koszuli i w białych spodniach.

- Przepraszam - szepnęła. - Zawsze narobię tyle kłopotu.

- Nie powinnaś przychodzić tu na dół.

Poprzednio wydał jej się beztroskim młodzieńcem, teraz sprawiał wrażenie bardziej władczego. Jego wiek trudno było określić, włosy miał bardzo ciemne, niemal czarne, a oczy piwne, jakby pochodził z Południa, usta wyrażały coś w rodzaju urazy.

- Jak masz na imię?

- E-elena - wyjąkała. - A... ty?

- John. - Uśmiech uczynił jego twarz jeszcze bardziej czarującą. - Podobają mi się twoje włosy. Czy mogę odprowadzić cię do przyjaciół?

- Kim był ten człowiek w samochodzie, zauważyłam go już przy magazynie fajerwerków?

- Nazywają go Generałem, bo tak lubi wszystkim dyrygować. Ale wcale nie jest wojskowym.

- Rzeczywiście było w nim coś władczego. Czego on chciał?

John zerknął na nią zaskoczony, nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo wszyscy ludzie wyszli już z kina i Indra zdołała sobie wreszcie utorować do nich drogę.

- Cześć - pytająco popatrzyła na Johna.

Elena przedstawiła ich sobie niezgrabnie, potykając się o słowa.

On jest mój, Indro, zaklinała w duchu zrozpaczona. Ty jesteś taka ładna, możesz mieć kogo tylko zechcesz, a jemu podobają się moje włosy, nigdy ich nie obetnę!

John wyprowadził dziewczęta z podziemnej dzielnicy, lecz teraz i on, i Elena milczeli.

Mówiła głównie Indra, przeszkadzała im, on najwidoczniej również tak sądził, Indra jednak zdawała się tego nie zauważać.

Pożegnał się z nimi przy wyjściu na światło dzienne. Długo patrzył przy tym Elenie w oczy, a ona bliska desperacji uznała, że John pragnie jeszcze raz ją zobaczyć.

Przyjaciółki zjadły w końcu posiłek w barze, z którego wcześniej zrezygnowały.

Kiedy wróciły na miejsce wyznaczonego dyżuru, chłopcy czemuś się przyglądali.

- Co tam macie? - dopytywała się Indra.

Armas podniósł głowę.

- Właściwie nic. Nabój z jakiejś broni. Próbowaliśmy zgadnąć, z której epoki na powierzchni Ziemi pochodzi, wygląda na dość starodawny typ. Miedziana łuska. Ktoś musiał go zgubić dzisiaj, bo rano jeszcze go tu nie było.

Dziewczęta obojętnie pokiwały głowami Broń nie mieściła się w obszarach ich zainteresowań,

Powrót do Sagi po zakończonym dniu służby wydał im się prawdziwym wejściem do nieba.

Wszystkim z wyjątkiem Eleny. Oczywiście wspaniały był ów luksus, prysznic, jedwabne prześcieradła, lecz pogardzane wcześniej miasto nieprzystosowanych wabiło ją teraz i kusilo. Przymówiła się już do Joriego i Armasa, by zgodzili się, aby im towarzyszyła następnego dnia. Jako pielęgniarka, na wypadek, gdyby coś miało się stać...

Czuwanie przy opuszczonym magazynie z fajerwerkami już się zakończyło, teraz chłopcy jako przyszli Strażnicy mieli pomóc władzom w tropieniu porywacza kobiet, a szczególnie tego, który uprowadził córeczkę burmistrza.

7

Elenie rzeczywiście przydało się jej wykształcenie pielęgniarki.

Odpowiedzialność za dochodzenie w mieście nieprzystosowanych przejął Ram. Szefowi tamtejszej policji oświadczył wprost, że wszyscy mieszkańcy są podejrzani tak długo, jak długo nie zostaną wyeliminowani.

Tłusty szef policji, nawet jeśli przyjął to z niezadowoleniem, nic po sobie nie pokazał, natomiast mieszkańcom miasta nie podobało się zakłócanie ich integralności. Ram jednak wcale się tym nie przejął.

Zabrał ze sobą trójkę młodzieży do miejsca, w którym znaleziono zamordowaną kobietę. Tam też Elena pożałowała swojej decyzji.

Przecież ja się o tym uczyłam, myślała zrozpaczona, powinnam znieść absolutnie każdy widok.

Sprawa okazała się jednak nadzwyczaj trudna. Zmarła leżała w rowie już od dłuższego czasu, może nawet rok, jak przypuszczano, bo właśnie wtedy widziano ją po raz ostatni.

Rów wypełniała woda, co wcale nie polepszało sprawy. Elena musiała się odwrócić, odejść na bok niby przypadkiem, ale nikogo nie zdołała oszukać. Nawet Jori nieco pobladł, jedynie Armas zdawał się przyjmować wszystko ze stoickim spokojem.

Teren otoczono, w nocy czuwali tutaj inni Strażnicy. Teraz dochodzenie na miejscu już zakończono i zwłoki można było przewieźć na dalsze badania do laboratorium.

- Jakies szczególne odkrycia? - spytał Ram kolegę Strażnika.

- Wygląda na to, że ją uduszono - odparł tamten. - Staramy się teraz ustalić, ile dziewcząt i kobiet właściwie zniknęło. To niestety trudne, mamy takie niejasne informacje, niektóre mogły się przecież wyprowadzić do innych części kraju. Ale robimy, co możemy.

- Słyszałem, że przypuszczacie, jakoby w sprawę zamieszany był jakiś wojskowy?

- Owszem, to prawda. Przykra historia. Ta kobieta miała wepchnięty do pochwy nabój. Młodzi słuchali zaintrygowani.

- Nabój? Znaleźliśmy wczoraj nabój przy magazynie fajerwerków, dokładnie w miejscu, gdzie pełniliśmy straż. Ktoś musiał go tam zgubić w ciągu dnia, bo rano go jeszcze nie było - wyjaśnił Armas.

Strażnicy patrzyli na nich z zainteresowaniem.

- Co z nim zrobiliście? Wyrzuciliście go?

- Nieee - Jori i Armas zająknęli się niepewnie. - Nie bardzo wiemy...

Elena miała na to odpowiedź.

- Jaskari włożył go do kieszeni.

- Jori - poprosił Ram. - Weź swoją gondolę i przywieź go, natychmiast.

Jori pospiesznie się oddalił.

- Jak wyglądał ten nabój, Armasie? - pytał Ram.

- Przypuszczam, że to jakaś stara kula - bez przekonania odparł chłopak. - Miedziana łuska... Nie wiem, z jakiej broni, niczego podobnego tutaj nie mamy.

- Jeśli to taki sam rodzaj, oznacza to, że ten człowiek musiał wczoraj przechodzić obok miejsca waszego posterunku. Będziecie sobie musieli przypomnieć, kto tam był.

- O, tyle osób nas mijalo - stwierdziła Elena.

- Ale nie w miejscu, gdzie staliśmy - przypomniał Armas. - Tam przecież nie wolno się było nikomu zbliżać. Zaraz zobaczymy... Burmistrz. Szef policji i rewizor. I Rozalinda.

- O niej możecie zapomnieć, to sprawka mężczyzny. Zastanawiali się dalej.

- Pojawił się jeszcze Heinrich Reuss von Gera, ale jego dobrze znamy, przecież przybył z zewnętrznego świata z naszymi rodzicami...

Urwał. I on, i Elena przypomnieli sobie jednocześnie, że Heinrich należał kiedyś do zakonu złych rycerzy.

Było to jednak bardzo dawno temu, od tamtej pory zawsze zachowywał się bez zarzutu, chociaż w końcu postanowił przenieść się do miasta nieprzystosowanych.

- No i jeszcze Opryszek - wyrwało się Elenie. - On do nas podszedł.

- Opryszek? - zdziwił się Ram.

Młodzi opisali go.

- Ach, ten? - Strażnicy nie mogli powstrzymać się od uśmiechu. - Rzeczywiście przewisko pasuje do niego jak ulał. Ale czy on nie jest na to za głupi?

- Czy do tego potrzeba inteligencji? - zastanawiał się Armas, wskazując na leżące w trawie zmasakrowane ciało. Ku uldze Eleny już je zakryto, lecz i tak oczyma wyobraźni widziała je pod materiałem. Taki widok niełatwo zapomnieć*

- No tak, masz rację, to dość toporna robota - przyznał Ram.

Rozejrzeli się dokoła. Znajdowali się na skraju miasta, właśnie tędy przebiegała droga do położonego nieco dalej lasu. Z lewej strony rozciągały się otwarte pola i łąki, z prawej odchodziła mniejsza dróżka. Las był tu nieduży, zaniedbany i zarośnięty, a wśród zarośli widzieli dach starej stodoły, a może kuźni. Budynek znajdował się jednak na tyle daleko, że nie przypuszczali, by miejsce, gdzie dokonano morderstwa, mogło mieć z nim jakiś związek.

- Czy to tutaj ją zamordowano? - zapytała Elena.

- Nie da się tego stwierdzić, równie dobrze mogła zostać po prostu wrzucona do rowu, a zabita w samochodzie czy w jakimkolwiek innym miejscu. Za późno już teraz na szukanie takich śladów.

Elena dobrze to rozumiała, z kobiety niewiele pozostało, jeszcze mniej z jej doczesnej godności. Szkielet, resztki skóry i włosów, trochę przegniłych strzępków ubrania, to wszystko.

Cóż za łajdak mógł to zrobić?

Polecono im przypomnieć sobie, kto przechodził obok nich poprzedniego dnia, na wypadek gdyby znaleziony nabój okazał się taki sam jak tutaj.

Powoli, z niezwykłą dokładnością, rozpoczęto przygotowania do transportu zwłok. Zanim się zakończyły, Jori w szumie powietrza powrócił swoją gondolą. Towarzyszył mu Jaskari. No tak, Jaskari nie zdołał pohamować swojej ciekawości, pomyślała Elena z goryczą. Indry tego dnia z nimi nie było, nie miała najmniejszej ochoty oglądać znów tej przerażającej kopii zwyczajnego ziemskiego miasta.

Jaskari podał nabój Ramowi

Także inni Strażnicy przyjrzeni mu się z uwagą.

- Tak, to dokładnie ten sam rodzaj - stwierdził któryś. - Nie potrafimy zidentyfikować go bez wnikliwych studiów nad typami strzelb i pistoletów, doszliśmy jednak do wniosku, że pochodzi z końca dziewiętnastego wieku, na pewno nie z późniejszych czasów.

- No cóż, to eliminuje sporo osób - stwierdził Armas.

- Na przykład Heinricha Reussa, on przecież przybył tutaj w roku tysiąc siedemset czterdziestym szóstym.

- Masz rację, nie rozumiem tylko, kto i dlaczego miałby ze sobą ciągnąć naboje do Królestwa Światła.

- O, na świecie jest wielu lubiących sobie postrzelać typków - odparł Ram. - I wielu takich, którzy nie potrafią się rozstać ze swoją ukochaną bronią. Właśnie dlatego przypuszczamy, że mordercą jest zawodowy żołnierz,

- A czy nie jest możliwe, że ktoś, kto przybył tu wcześniej, kupił broń od któregoś z późniejszych przybyszy?

- Owszem, jeśli koniecznie chcesz, aby twój przyjaciel Reuss znalazł się w kręgu podejrzanych.

Jori zaśmiał się speszony.

- Wcale nie o to mi chodziło, lubię starego Reussa, on stanowi jakby część naszej rodziny. Czy wiadomo, kim była ta kobieta?

- Tak - odparł Ram. - Zidentyfikowano ją na podstawie resztek ubrania. Zniknęła jako pierwsza, miała na imię Doris. Ulicznica.

- Jak większość z tych, których nie możemy odnaleźć - wtrącił inny Strażnik. - Handel własnym ciałem w mieście nieprzystosowanych to, jak się wydaje, niebezpieczna profesja.

Elena nareszcie zdała sobie sprawę, czego poprzedniego dnia chciał od niej mężczyzna w samochodzie. Do tej pory przypuszczała, że sprzedawał narkotyki lub inny zakazany towar. Teraz jednak zapłonila się tak, jak umiała tylko ona. Do jakiego właściwie stopnia

można być głupim? Co prawda nigdy wcześniej nie słyszała o prostytutce, w Królestwie Światła było to nieznanne pojęcie, i chociaż docierały do niej czasami jakieś wzmianki, nigdy nie zdołała pojąć, w czym rzecz.

Teraz wiele kawałeczków układanki trafiło na właściwe miejsca.

Co więcej: nic dziwnego, że jej młody, ubrany na biało bohater patrzył na nią z takim zdumieniem, kiedy pytała, czego chciał od niej kierowca.

O, cudowne Królestwo Światła, ze swą czystą naiwnością! Plugawe miasto i zniszczony świat na powierzchni skorupy ziemskiej. Jak to możliwe, by ktokolwiek naprawdę chciał mieszkać w osadzie nieprzystosowanych? Czy to dlatego, że ludziom nieobca jest skłonność poniżania się? Że pociąga ich to, co wulgarnie, a brutalność wydaje się interesująca?

Elena nie potrafiła na to odpowiedzieć. Nie przybyła z zewnątrz, urodziła się w Królestwie Światła i kochała swoją ojczyznę.

Dotarł do niej głos Jaskariego.

- Czy wiemy w ogóle, jak nazywają się zaginione?

- Znamy kilka imion - odparł Ram. - A szef policji, którego mamy spotkać w laboratorium, przyrzekł dostarczyć możliwie pełną listę.

- Najważniejsze są, rzecz jasna, te dwie ostatnie - powiedziała Elena, chcąc pokazać, że i ona uczestniczy w wymianie myśli. - Uczennica, no i mała córka burmistrza.

Jaskari popatrzył na nią surowo.

- Wszyscy ludzie są ważni, powinnaś to wiedzieć, ty szcoto do zmiatania.

Czy on naprawdę stale musi wracać do kwestii jej włosów? Są przecież tacy, którym się one podobają. Ta myśl dodała dziewczynie odwagi.

- Ale tamte inne były takie... zdemoralizowane.

Przystojny ciężarowiec Jaskari przymknął oczy i westchnął:

- Wiemy, że mama Danielle i tatuś Leonard surowo wychowali swoją jedyną córkę, ale kochana, śliczna Eleno, ukryta za tą grzywą włosów, postaraj się zejść z chmur na ziemię. Rozejrzyj się po świecie szeroko otwartymi oczyma, zobacz, co napisano w „Kurierze carskim”, jednej z nielicznych książek, które trafiły tutaj z zewnątrz. Człowiek zawsze zachowuje swą wartość, nawet w najgłębszym upodleniu.

- Wiem o tym - odparła żałośnie. - Właśnie dlatego tak bardzo żal mi jest tej kobiety. Ten zwyrodnialec odebrał jej ludzką godność.

- A w następnej chwili nazywasz ją zdemoralizowaną? Co o niej wiesz? Co wiesz o przyczynach, które wyгнаły ją na ulicę? Jakim prawem ją osądzasz?

- Wcale jej nie osądzam. Ja... - Elena zorientowała się, że zapędziła się w kozi róg, i w końcu ze łzami w oczach odwróciła głowę.

Jaskari zaraz objął ją i uściskał.

- Uspokój się, kochana, rozumiem twój tok myślenia, chociaż trochę mi się on nie podoba. Ale teraz skupmy się na ważniejszych sprawach. Nadjeżdża samochód, który ma zabrać stąd tę nieszczęśnicę.

Elena wprawdzie wstydziła się własnych uczuć, lecz radowała ją myśl, że wkrótce powrócą do miasta nieprzystosowanych. Tam być może znów spotka swego bohatera w

bieli, który ocalił ją od „losu gorszego niż śmierć”, jak to się kiedyś nazywało w staromodnych powieściach dla pań. Nie przestawał schodzić jej z myśli.

Ten porywacz kobiet ściągnął tutaj Strażników, na dodatek potężnego Rama i ogromnie niebezpiecznego Dolga. Dzięki Bogu, że przynajmniej nie sprowadzili Marca, bo on przecież potrafi patrzeć przez człowieka na wskroś, dostatecznie źle jest już z tymi dwoma. Co mam z tym począć, ogromnie mi się to nie podoba, poważnie zakłóca moje plany.

Z drugiej jednak strony uwaga wszystkich skupia się teraz na zbrodni i dzięki temu nie zauważa, czym się zajmuję. Zresztą środki bezpieczeństwa zostały podjęte”. Wkrótce cała władza będzie należeć do mnie!

Zlewał go zimny pot. Dlaczego, u diaska, nie ukrył lepiej tej pierwszej kobiety? Zapomniał o niej, po prostu.

Napadając na nią, działał impulsywnie, najpierw chciał tylko skorzystać z jej zawodowych usług. Po długim czasie spędzonym w stolicy Królestwa Światła, gdzie sprawował się nienagannie, jak przystoi wysokiemu stopniem oficerowi, zatęsknił dość prymitywnie za kobietą. Wyzwolona wówczas żądza zabijania całkowicie go zaskoczyła. Ta kobieta miała włosy ciemnoblonde tak jak jego żona, a ponadto coś w jej głosie bardzo mu ją przypominało. Kiedy w dodatku wymamrotała idiotycznie: „Bądź dobry dla małej Doris, to Doris też będzie grzeczna”, sprawa była przesądzona. Doris, tak brzmiało imię jego żony. W jednej chwili zawładnęła nim wściekłość, w środku aktu rozpalona do białości nienawiść uderzyła mu do głowy, pożądanie nieznośnie rosło. Z początku nawet się nie zorientował, że jego ręce żelazną obręczą zacisnęły się wokół jej szyi, i dopiero kiedy spojrzał w wytrzeszczone, przerażone oczy, zrozumiał, co się z nim dzieje. Wszystko jednak było tak niesłychanie cudowne, tak niesamowicie podniecające, że nie mógł się już powstrzymać. Tak błędnego spełnienia nigdy wcześniej nie doświadczył.

Później poszukiwał podobnego zadowolenia, mogły mu je dać tylko kobiety podobne do jego żony Doris. Powtarzające się mordowanie tej niewiernej dziwki było dla niego niczym odwiedzenie rajów. Zemsta, zemsta, a potem rozkosz spełnienia... Czy można chcieć więcej?

Teraz brakowało już tylko samej Doris. Zauważył ją, ale bał się, bał się niebezpiecznych mężczyzn przybyłych z Królestwa Światła, przestraszył się też, bo zgubił jeden nabój. Dawno temu, wtedy gdy wyszedł z zamiarem zabicia Doris i wpadł w tę przeklętą szczelinę w ziemi, miał pas z nabojami do swojej broni. Zabrał ze sobą cały ich zapas, powodowany nienawiścią postanowił załatwić całą sprawę porządnie. Broń zgubił, ale pas z nabojami zatrzymał.

Chyba wiedział, gdzie wypadł mu tamten nabój, musiało się to stać przy magazynie z fajerwerkami. Wyjął z kieszeni chusteczkę, podświadomość zarejestrowała, że coś zabręczało i potoczyło się po ziemi. Wówczas nie zastanawiał się nad tym dźwiękiem. Dopiero teraz zrozumiał, że to musiał być nabój, zawsze zabierał ze sobą przynajmniej jeden, kiedy wyruszał na łowy. Dodatkową przyjemność sprawiało mu zakończenie

rytuału, wbicie naboju w martwą kobietę. Symboliczny akt, Doris miała zostać zastrzelona, no i swoim podbrzuszem upokorzyła go najbardziej.
Czy miał wybrać się na poszukiwanie naboju?
Nie, zapewne już go znaleźli, to najgorsze, co mógłby zrobić.
Niemożliwe, by go o cokolwiek podejrzewali.
Czuł się pewnie, był bezpieczny. Teraz została już tylko sama Doris.
Nareszcie tu przybyła.

8

Trzy panie z elity towarzyskiej miasta nieprzystosowanych stały niczym trzy przejrzałe gracje na środku wykładanej marmurem sali ratusza. Zwłoki kobiety przewieziono na obdukcję do laboratorium, natomiast Ramowi i jego młodym współpracownikom nakazano udać się do ratusza. Chcieli z nimi rozmawiać burmistrz i szef policji. Wzdłuż ścian zebrali się grupki ludzi z miejskiej śmietanki. Kobiety odwróciły się ku nowo przybyłym. Jedna miała zapłakaną twarz, druga pytająco pustą, a trzecia kompletnie pozbawioną wyrazu, wprost zimną i wrogą. Przystojna kobieta, ta ostatnia, elegancka, ciemnowłosa, o dość ostrych, wprawnie podkreślonych makijażem rysach, Elenie przywiodła na myśl dumnego rasowego rumaka, którego kopnął inny koń. Zapłakana pani była do niej bardzo podobna, trochę tylko niższa, bardziej okrągła, znacznie też sympatyczniejsza. Trzecia z pań wyglądała na bezbarwną gospodynię domową, której zainteresowania ograniczają się wyłącznie do usuwania z domu każdej drobiny kurzu i do chęci posiadania bardziej luksusowych sprzętów niż mają sąsiedzi. Ach, jakże Elena potrafiła się mylić! Na pewno nie dało się o niej powiedzieć, że zna się na ludziach. Ram przedstawił sobie zebranych. Żoną burmistrza, tą, która tak bardzo chciała przenieść się do miasta nieprzystosowanych ze względu na wysokie stanowisko męża, okazała się, jak można się było tego spodziewać, owa chłodna elegantka. Łagodną zapłakaną kobietę przedstawiono jako jej siostrę, a tę, którą Elena w duchu tak niesprawiedliwie oceniła, jako siostrę rewizora. Podczas gdy panie zajęły się rozmową z drugim ze Strażników, Elena szepnęła Ramowi:
- Tyle sióstr, czy to znaczy, że ani szef policji, ani rewizor nie są żonaci?
- Tak, podobno rewizor nie chce się ożenić, ugania się za spódniczkami, ale nie daje się złapać w sieci. O miłosnym życiu tego drugiego nic nie wiemy, utrzymuje je w tajemnicy. Jeśli w ogóle je ma, pomyślała Elena, zerkając ukradkiem na grubego, świecącego od potu szefa policji. Widać jednak było po nim ślady dawnej urody, musiał być kiedyś przystojny, zanim zaczął za dużo jeść w czasie pracy. Znów dopuściła się uogólnień, miała w zwyczaju odgadywanie charakteru ludzi, na ogół niestety bez powodzenia. Ram zwrócił się do prostej jak trzcina burmistrzowej:

- Zapewniam, że bardzo wielu ludzi wyruszyło na poszukiwanie waszej zaginionej córeczki.

- Mam taką nadzieję - odparła surowo. - Odnalezienie dziecka jest obowiązkiem korpusu Strażników, powinni to zrobić już dawno temu.

Elena nie posiadała się ze zdumienia. Na miłość boską, pomyślała, przecież to jej zginęło dziecko, a nie jej zapłakanej siostrze. Jak może tak pouczać Strażników co za zimna ryba!

Kolejna omyłka, żalu i strachu wcale nie trzeba okazywać łzami, takie uczucia mogą znaleźć ujście w postaci agresji.

Elena nie myślała wcale o zaginionej dziewczynce, wiedziała bowiem, że naprawdę szuka jej mnóstwo ludzi. Po prostu nie dostrzegła tutaj swego ubranego na białą młodzieńca i wobec tego stwierdziła, że dalszy pobyt w tym miejscu jest pozbawiony sensu. Chciała wyjść, sprawdzić, czy nie ma go gdzieś na ulicach, może jej wypatruje? Nie, pewnie raczej zajmuje się poszukiwaniem zaginionego dziecka. Akurat kiedy doszła do tego deprymującego wniosku, wydarzyły się jednocześnie dwie rzeczy. Ram polecił jej i Jaskariemu, by nie czekając na niego udali się do laboratorium, oboje wszak zajmowali się medycyną, a jednocześnie w kolejnej grupie osób do sali ratusza wszedł wyśniony książę Eleny.

Dziewczyna gotowa była wydrapać Ramowi oczy.

- Chodźmy, Eleno - przynaglił ją Jaskari.

- Dobrze, zaczekaj moment, ja...

Zobaczyła, że spojrzenie Johna ją odnalazło. Uśmiechnął się do niej tajemniczo, jak gdyby byli sprzysiężonymi. Nieśmiało skinęła mu głową.

Ku jej bezgranicznej uldze Ram zawołał:

- Zaczekajcie chwilę, jeszcze nie odchodźcie! Może lepiej będzie, kiedy pozostaniecie tu na czas omawiania szczegółów zniknięcia dziewczynki.

Oczywiście Elena nie zgłaszała żadnych sprzeciwów. Stała jak przyklejona do marmurowej posadzki. Kątem oka zauważyła, że John przemierza salę, chyba raczej jej nie opuścił, po prostu przeszedł na przeciwległy koniec.

Nie odchodź, nie odchodź, musimy znaleźć chwilę, by zamienić kilka słów, błagała w duchu.

Serce jej waliło, wiedziała, że na pewno jest czerwona jak rak, ale nic nie mogła na to poradzić.

Siostra burmistrzowej znów wybuchnęła płaczem.

- To wszystko moja wina!

- Wcale nie - ostro zaprotestowała elegancka dama.

- No tak, przecież była u mnie, czytała w ogrodzie, ja w tym czasie robiłam coś w kuchni, po drugiej stronie domu. Miałam upiec ciasto, ale krem mi się zwarzył, musiałam szukać...

- Bez zbędnych szczegółów, jeśli można prosić- przerwała jej siostra.

- Przepraszam. Kiedy wreszcie skończyłam, zobaczyłam, że dziewczynka zniknęła.

Sądziłam, że pobiegła do domu, ale tak się wcale nie stało. - Z oczu popłynął jej kolejny strumień łez. - To wszystko moja wina.

Ram odezwał się spokojnie i życzliwie:

- Jedenastoletniej dziewczynki nie trzeba przez cały czas pilnować, można ją na chwilę spuścić z oka. Kiedy to się stało? Potrzeba nam jak najdokładniejszego określenia czasu.

- Wczoraj rano, przypuszczam, że koło pół do dziewiątej.

Elena zamyśliła się, akurat o tej porze przybyli do miasta nieprzystosowanych.

Żona burmistrza, znacznie bardziej opanowana niż jej siostra, rzekła krótko:

- Weronika nigdy nie oddalała się z domu, jest bardzo posłuszną dziewczynką.

Ram pokiwał głową.

- I nic pani nie słyszała? - zwrócił się do zasmuconej ciotki. - Żadnego krzyku ani odgłosu samochodu?

- Nic, absolutnie nic. Sąsiadów też nie było, więc...

- Rozmawialiśmy już ze wszystkimi, którzy mieszkają w pobliżu, nieliczne domy przy pani ulicy akurat stały puste.

Właśnie w tej chwili w grupie kilku osób pojawił się wyczekiwany burmistrz wraz z szefem policji. Towarzyszył im John. Burmistrz przedstawił go jako dyrektora personalnego ratusza.

No, no, całkiem nieźle, pomyślała Elena z podziwem, uśmiechając się promiennie, gdy się z nią witał. Odpowiedział uśmiechem.

Elena nigdy nie wybierała swoich ukochanych, a to z tego powodu, że nigdy tak naprawdę się nie zakochała. To ją wybierano, zawsze była zaskoczona i uszczęśliwiona, że ktoś w ogóle zechciał spojrzeć w jej stronę. W ten sposób zakochiwała się w miłości, a nie w chłopaku, sama jednak nie zdawała sobie z tego sprawy.

Nie była osamotniona w takich lustrzanych uczuciach, wiele, bardzo wiele młodych dziewcząt przeżywa to samo. Elena powinna już z tego wyrosnąć, ale uważała, że tym razem z Johnem wszystko jest prawdziwe.

Dostrzegła spojrzenia, jakie wymienili ze sobą burmistrzowa i John. Nie kryli wzajemnej wrogości.

Potrafiła to zrozumieć. Żona burmistrza jej także się nie spodobała, John też na pewno nie był w typie tej pani, młody, czarujący, nonszalancko ubrany. Ale miał przecież swój styl, czy ta baba tego nie widzi?

Młodzieńcze marzenie Eleny o tym, by uratować swego wybranka i przez to obudzić w nim miłość, wciąż pozostawało żywe. Ale, jak na miłość boską, uratować takiego mężczyznę jak John, dyrektor personalny ratusza? Nosił zbyt imponujący tytuł, by mogła go sobie wyobrazić, jak leży ranny, umierający, a ona szepcze mu do ucha słowa pociechy. To przecież niemożliwe, John był mężczyzną, który doskonale sam sobie poradzi.

- Przyjdźcie za chwilę do mojego biura - rzucił burmistrz, nie precyzując, do kogo się zwraca. - Muszę tylko najpierw coś jeszcze załatwić.

Dyrektor personalny i komendant policji poszli razem z nim. Trzy panie gdzieś się wycofały, grupka przybyła z zewnątrz pozostała sama. Na czole Rama pojawiła się zmarszczka niepokoju.

- Co się stało, Ram? - dopytywał się Jaskari.

Strażnik dość długo nie odpowiadał, wreszcie westchnął ciężko i rzekł:

- Mamy chyba znacznie większy problem. Jeszcze ktoś zginął,

- Kolejna ulicznica? - zdziwił się Jori.

- O, nie, przeciwnie i to tak przeciwnie, jak się tylko da. Misa z rodu Madragów.

- Och, nie, on nie mógł chyba... - zaczął Jori, ale ugryzł się w język. - Przepraszam, to bardzo niegodziwa myśl.

Ram tego nie skomentował.

- Jakiś czas temu Misa powiedziała swoim trzem pobratymcom, że wzywa ją Marco w związku z pewną pracą, która potrwa dwa tygodnie. Ogromnie była dumna z tego tajemniczego zadania. Upłynęło już jednak dwadzieścia siedem dni i Madragowie zaczęli się niepokoić. Skontaktowali się więc z Markiem, lecz okazało się, że on wcale nie posyłał po Misę i w ogóle jej nie widział. Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem, nigdy jeszcze nie słyszałem w jego głosie takiego tonu. Wszyscy przecież znają jego niezwykle opanowanie, nie zdarzyło się przynajmniej tu w Królestwie Światła, żeby podniósł głos. Tym razem też się tak nie stało, ale wyczułem jego niepokój i gniew. Nadużyto jego imienia i oszukano kogoś, kogo darzył wielką sympatią.

Elena zerknęła na Jaskarięgo.

- Wiem, wiem, że wszyscy ludzie mają jednakową wartość, ale Misa jest kimś bardzo szczególnym, prawda?

Nawet Jaskari musiał to przyznać. Wszyscy znali historię Madragów, bawolego ludu. Czwórka przyjaciół to ostatni przedstawiciele wymarłej rasy, przez dziesiątki tysięcy lat więzieni w twierdzy Sigiliona i wykorzystywani do jego niecznych celów. W osiemnastym wieku ocaleni przez czarnoksiężnika i jego dzieci, przybyli wraz z nimi do Królestwa Światła. Żyli tutaj szczęśliwie, chociaż okres w niewoli Sigiliona uczynił ich bezpłodnymi i na zawsze miało ich pozostać tylko czworo: Chor, Tich, Tam i Misa. W Królestwie Światła nareszcie w pełni mogła się ujawnić ich wrodzona niezwykła inteligencja. Nawet Obcy uzależnili się od umiejętności i wiedzy bawolego ludu.

I nagle Misa zniknęła. Jedyna przedstawicielka płci żeńskiej wśród Madragów. To potężne, niezgrabne, jakże sympatyczne stworzenie, które wszystkim tak dobrze życzyło, takie wrażliwe, o tak czułym sercu.

Elenie łzy zakręciły się w oczach. Spytała Rama:

- Sądziś, że to może mieć jakiś związek z zaginionymi kobietami z tego miasta?

Ram zamyślił się.

- Nie przypuszczam, ale przecież niczego tak naprawdę nie wiemy. Marco zajmuje się w tej chwili inną sprawą, ale przybędzie tu wraz z Dolgiem, jak tylko im się uda. Zamierzali też wyjawić wszystko Móriemu i jeśli dobrze znam naszego czarnoksiężnika, on także natychmiast się tu zjawi. Dobro Madragów bardzo mu leży na sercu. Na Ziemi wszak zaliczali się do jego najbliższych przyjaciół, sądzą więc, że wkrótce przybędą tutaj wszyscy trzej.

- Wspaniale - chórem wyrazili swą radość młodzi.

Przybycie trzech niezmiernie potężnych mocy, Marca, Móriego i Dolga, na pewno wielce im pomoże.

Wezwano ich do biura burmistrza. Elena rozglądała się za Johnem, ale nigdzie nie było go widać. Z szefem policji natomiast rozmawiał inny mężczyzna, na jego widok drgnęła przestraszona. To był ten, który poprzedniego dnia w podziemnym mieście próbował wciągnąć ją do samochodu. Już otworzyła usta, żeby coś o tym powiedzieć, ale w tej chwili Ram w gromadzie ludzi dostrzegł ją i Jaskarięgo.

- Wciąż tu jesteście? Mieliście przecież iść do laboratorium! Pospieszcie się teraz, tak nie można.

- Ale ja... Ram, muszę porozmawiać z...

Odesłano ich bez pardonu, tak by rozmowa z burmistrzem mogła się wreszcie zacząć, i Elena nie miała szansy powiedzenia czegokolwiek na temat Generała, który najwidoczniej był dość ustosunkowanym człowiekiem.

W drodze przez ratusz usiłowała przekonać Jaskarięgo o konieczności bliższego przyjrzenia się Generałowi, chłopak jednak najbardziej przejął się samym faktem, że Elena z Indrą mogły w ogóle zapuścić się w to gniazdo szczurów. Co za przeklęty idiota wpadł na pomysł podrywania Eleny?

Te słowa zabrzmiały jak szyderstwo.

Elenie przez moment mignęła przy jakimś oknie postać burmistrzowej. Stała sama, plecami zwrócona do sali, Elena zauważyła jednak, że zakrywa twarz dłońmi niczym uosobienie skamieniałej rozpacz.

Wcale w to nie wierzę, pomyślała Elena, ty tylko grasz, nie żywisz żadnych głębszych uczuć dla zaginionej córki.

Należy wybaczyć Elenie taki osąd, zupełnie pozbawiony szacunku. Złościło ją całe życie, nikt jej nie chciał słuchać, a Jaskari jak zwykle okazywał pogardę. Johna nigdzie nie było widać.

Nie cieszyła ją też myśl o wizycie w laboratorium, nigdy nie powinna się była decydować na oddanie się pielęgniarstwu. Ta świadomość stawała się coraz wyraźniejsza, ale wszyscy powtarzali, że to właściwy zawód dla niej, a ona nie miała siły, żeby się sprzeciwić. Zwłaszcza że nie wiedziała, kim w ogóle miałaby zostać.

Misa płakała cichutko.

Znów znalazła się w upokarzającej niewoli, tak jak wtedy w twierdzy Sigiliona. Jej niezwykle umysł okazywał się najwidoczniej cenny dla zbrodniarzy.

Tęskniła za domem, za swymi trzema przyjaciółmi, lecz nie wolno jej było stąd odejść, dopóki nie uczyni tego, czego żąda jej nadzorca. A ona nie mogła się na to zgodzić, odmawiała wypełniania jego rozkazów. Ryzykować życie tylu ludzi tylko z powodu żądzy władzy jakiegoś szaleńca? Nigdy!

Sytuacja jednak zaostrzyła się i coraz bardziej pogarszała. Co robić?

Dziewczynkę więziono w sąsiednim pokoju, Misie pokazywano ją od czasu do czasu przez szybę, od drugiej strony pokrytą lustrem. Jeśli Misa nie usłucha, dziewczynka pozostanie w tym pomieszczeniu bez jedzenia i picia aż do śmierci. Sama Misa była zakuta w kajdany, nie mogła nawiązać kontaktu z dziewczynką, wołanie o pomoc na nic się nie zdawało, ściany i szklana tafla były dźwiękoszczelne.

Jej strażnik snuł jakieś szaleńcze idee, absolutnie niemożliwe do zrealizowania. Już sam początek planowanego przedsięwzięcia oznaczałby śmierć wielu istnień, szczególnie „wrogów”, jak nazywał ich porywacz, osobistych wrogów. Drobne przykrości, wyrządzone psychopacie przetrzymującemu Misę w niewoli, urosły w jego oczach do niewybaczalnych zbrodni.

Do dyspozycji Misy pozostawiono wszelką aparaturę: komputery, ekrany, na których mogły się ukazywać najmniejsze nawet zakątki Królestwa Światła, urzędnicy podsłuchowe i wszystko, co tylko mogło się przydać w tej strasznej pracy.

Problem polegał tylko na tym, że Misa odmawiała wykonania czegokolwiek, co mogłoby zaszkodzić mieszkańcom krainy.

Teraz jednak od tego, czy usłucha rozkazu, zależy życie dziewczynki.

Jakie to straszne, jakie niesprawiedliwe!

Elena wyszła z sali, gdzie przeprowadzano obdukcję, pozieleniała na twarzy. Podczas badania nie stwierdzono nic nowego, to zresztą niemożliwe po tak długim czasie.

Nie znoję tego dłużej, nie wytrzymam.

Ale wszyscy tyle się po mnie spodziewają, matka, ojciec, babcia Theresa i pozostali. Nie mogę też stracić twarzy przed Jaskarim, jeszcze bardziej by mną gardził.

Zdolna Elena, wspaniała Elena.

Phi! Asekurantka, oto czym naprawdę jest. Wcale nietrudno jest być wspaniałym, kiedy człowiek śmiertelnie się boi opinii na swój temat. W takiej sytuacji najdrobniejsze nawet gafy stają się czymś niezwykle bolesnym.

Na chwilę zapomniała o tym, co miała powiedzieć o Generale. Głowę zajęła jej wyłącznie własna słabość.

Jaskari przystanął.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Eleno. Idź prosto do gondoli na rynku, a ja sprowadzę pozostałych. Nie będziesz musiała nadkładać drogi.

Nadmiar troski, pomyślała z ponurą miną. To znaczy, że nie będę miała okazji zobaczyć jeszcze raz Johna?

No tak, Jaskari oczywiście nic o tym nie wiedział, zachował się po prostu jak niedźwiedź z bajki, który chciał strącić muchę z nosa swego pana i przy okazji go zabił.

Niezgrabiasz!

Zirytowana machnęła ręką i przypadkiem uderzyła nią w ścianę. Niestety, akurat w tej ręce trzymała telefon komórkowy, z którego w momencie zetknięcia z murem wydobyły się dziwne trzaski.

Elena, zrozpaczona, powiedziała coś brzydkiego. Goryczy dopełniły słowa Jaskariego, oskarżającego ją o zniszczenie kruchej połączenia ze światem.

- Będziesz musiała wziąć nowy aparat już jutro - oświadczył rozgniewany niezdarnością dziewczyny.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała zakłopotana, zrozumiała jednak, że tylko bardziej go rozzłości, przestała więc na jeszcze jednym „przepraszam”.

Jaskari westchnął i odwrócił się od niej plecami.

Elena zniechęcona podreptała uliczkami w stronę rynku. Nie była to daleka droga, w miarę jednak jak szła, ogarniała ją coraz większa niepewność. Tej ulicy chyba nigdy jeszcze nie widziała?

Odwróciła się, żeby zapytać Jaskariego, lecz on oczywiście podążał w przeciwnym kierunku i bardzo się już od niej oddalił. Szczęściarz, pewnie dochodzi właśnie do ratusza, może spotka Johna i...

Chociaż jego nic a nic to nie obchodzi.

A ona...?

No tak, gdzie ona właściwie jest? Domy wyglądały chyba inaczej, zniknęły gdzieś neonowe reklamy.

Dokoła obce budynki, nieznanymi uliczki.

I nie ma kogo spytać, pewnie też, będąc takim tchórzem, nawet się na to nie zdobędzie.

Gdzie ona jest?

Chyba nikt inny nie zdołałby się zgubić na tak króciutkim odcinku!

9

W biurze burmistrza przeprowadzono podsumowanie.

- Wynika z tego, że zaginęło pięć kobiet - stwierdził szef policji, ocierając błyszczące od potu czoło. Pocił się bez przerwy. - Do tego trzeba jeszcze dodać uczennicę, która nie pasuje do całości, oraz jedenastoletnią córeczkę burmistrza. I Misę z rodu Madragów.

- Ogółem osiem - skinął głową Ram. - Właściwie może ich być więcej, bo nie wszystkie zaginięcia w mieście nieprzystosowanych są zgłaszane.

Komendantowi na te słowa pośredniej krytyki zapłonęły uszy.

Ram ciągnął:

- Wiemy, że uczennica lubiła szukać przygód i nie zaliczała się do najgrzeczniejszych dzieci, ten człowiek mógł więc uznać ją za ladacznicę. Natomiast dwa ostatnie przypadki zaginięcia całkowicie odbiegają od schematu.

- Jakie podobieństwo łączy te kobiety? - zapytał Armas.

- Jak już mówiliśmy, wszystkie sprzedawały własne ciało, to chyba wystarczy - odparł szef policji.

Ram rzekł spokojnie:

- Udało nam się zdobyć ich zdjęcia.

Na wielkim biurku ułożył siedem barwnych fotografii pięciu zaginionych prostytutek, uczennicy i córeczki burmistrza.

W milczeniu porównywali zdjęcia.

- Wszystkie mają długie, kręcone włosy ciemnoblonde - zauważył Jori.

- My także zwróciliśmy na to uwagę. Wszystkie oprócz dziewczynki, ona jest bardzo jasną blondynką i w ogóle do nich nie pasuje.

Ram odsunął na bok fotografię jedenastoletki. Burmistrz zabrał ją, zauważyli, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Podniósł głowę.

- Odszukajcie moją córkę - szepnął, nie panując nad głosem.

Ram z powagą skinął głową, inni poszli za jego przykładem.

- Wszystkie mają też jasną cerę - podjął Strażnik. - I owalną twarz. Wprawdzie różnią się rysami, lecz można chyba jednak powiedzieć, że należą do tego samego typu ludzi.

- Właściwie nawet rysami bardzo się nie różnią - orzekł Armas po namyśle. - Ośmielę się twierdzić, że są do siebie bardzo podobne.

- A brwi - zauważył Jori - mocno zaznaczone, a mimo to wąskie, delikatnie wygięte.

- Jesteś byстрыm obserwatorem - pochwalił go Ram. - Nie mamy, niestety, żadnych zdjęć całej sylwetki, ale wy, którzy mieszkacie w tym mieście, potraficie chyba coś powiedzieć o ofiarach.

Burmistrz roześmiał się.

- Moi drodzy, naprawdę nie mamy w zwyczaju przechadzania się ulicami i przyglądania kobietom. Ja w dodatku mieszkam tu zbyt krótko, by znać wszystkich mieszkańców miasta.

- No, my, policjanci, widzimy je częściej - wysapał komendant. - Wydaje mi się, że wszystkie były dość obfitych kształtów. Jak to powiedzieć? Miały sylwetki przypominające gruszkę, szerokie zmysłowe biodra, wąską talię, niektóre z nich wyróżniały się wydatnym biustem.

Jori podniósł jedno ze zdjęć.

- Ten opis może równie dobrze pasować do Indry czy do Eleny, a one tak naprawdę nie są podobne ani do siebie, ani do tych dziewczyn. Nie powinniśmy więc zbyt uogólniać.

- Hm - przyznał Armas. - Indra rzeczywiście się od nich różni, ale Elena...? Elena doskonale mieści się w ramach, jest jakby prototypem ich wszystkich. Na szczęście nie mieszka w tym mieście.

- Na szczęście Jaskari jest razem z nią - dodał Jori.

Podczas rozmowy chłopców Ram w milczeniu przyglądał się obecnym. Odnosił nieprzyjemne wrażenie, że przynajmniej jeden z nich ma coś wspólnego z którąś z kryminalnych spraw. Dolgo twierdził, że to dwa odrębne przestępstwa, a on przecież zawsze miał rację. Pierwsza sprawa jest jasna, zaginione kobiety, jedną odnaleziono zamordowaną... Ale ta druga?

Spowijał ją mrok.

Przeniósł wzrok z sympatycznego burmistrza na szefa policji, najwyraźniej czującego się dość nieswojo, a później na rewizora o chytrych oczkach, któremu Ram nie ufał nawet przez sekundę. W gabinecie burmistrza znajdował się także jakiś władczy typ, którego ktoś, nie umiejący trzymać języka za zębami, szeptem nazwał Generałem. Rzeczywiście, miał w sobie coś z wojskowego, ale pracował w ratuszu po prostu jako urzędnik.

Był jeszcze ten młody dyrektor personalny, John, chyba tak miał na imię. Jeden z tych miłych, trochę nonszalanckich typków, którzy tak bardzo podobają się młodym dziewczętom. Na przebywających ponadto w pokoju urzędniczkach nie skupiał się, były wszak kobietami.

Po krótkiej naradzie spotkanie dobiegło końca, rozproszyli się, powracając do swoich zadań.

Naprawdę dobrze, że Elena jest razem z Jaskarim, przemknęło Ramowi przez głowę.

Elena musiała wreszcie zapytać kogoś o drogę. Znalazła się w najstarszej części miasta, gdzie przy uliczkach wykładanych kocimi łbami stały domki z muru pruskiego. Mieszkali

tutaj ci, którzy trafili do Królestwa Światła dawno temu. Zatrzymała przechodzącą panią w krynolinie i czepku z daszkiem i zapytała ją o drogę na rynek.

Kobieta uśmiechnęła się życzliwie i w staroświeckim języku, przypominającym nieco sposób mówienia babci Theresy, odrzekła:

- To wcale niedaleko, kochaneczko, musisz przejść do studni, którą widać tam na końcu ulicy, skręcisz w prawo i zaraz będziesz na rynku.

Elena podziękowała. Intuicja podpowiedziała jej, że powinna się uklonić, chociaż nigdy wcześniej wobec nikogo nie wykonała podobnego gestu. Miła dama najwidoczniej bardzo to sobie ceniła.

Chwilę później Elena zdruzgotana stanęła na rynku.

Rzeczywiście był to rynek, ale wcale nie ten, do którego zmierzała, z zaparkowaną na nim gondolą. Tego placynu, staroświeckiego, bardzo przytulnego, nigdy dotychczas nie widziała.

Dookoła panowała cisza. Małe domeczki otaczające rynek zdawały się uśpione, powój piął się po ścianach, niskich tak, że rośliny sięgały dachów.

Nie było kogo spytać, a Elenie brakowało śmiałości, by zapukać do którychś drzwi. I tak nie wiedziała, jak nazywa się tamten drugi rynek, a w mieście było zapewne więcej placów. Jak miała więc wyjaśnić, o co jej chodzi?

Głupia, oskarżała sama siebie w myślach.

Musi zawrócić, ale którądy przyszła? Wiła się tu niezliczona liczba małych uliczek, nie zdołała zapamiętać żadnej nazwy wypisanej ozdobnym pismem na tabliczkach.

Z pierwszym odcinkiem poradziła sobie dość łatwo, doszła do miejsca, gdzie pytała tamtą kobietę o drogę, i jeszcze kawałek, no a co dalej?

Kierunek? W którą stronę powinna iść? Nie wiedziała, tu nie było słońca przesuwającego się w ciągu dnia po niebie, tak jak działo się to w świecie na powierzchni Ziemi.

Opowiadał jej o tym ojciec, Leonard. Kochany tatuś, Elena poczuła, jak na jego wspomnienie ścisną ją w gardle. Przez kilka nastoletnich lat gardziła jego chłopskim pochodzeniem, a przecież on był taki kochany, czy kiedykolwiek mu o tym powiedziała? Ale cóż to za myśli? Jakby już czekał ją sąd ostateczny. Czyżby przypuszczała, że nigdy nie uda jej się odnaleźć drogi do domu, że nigdy już nie zobaczy ojca?

Nerwowo roześmiała się sama z siebie i zdecydowanie wybrała kierunek. Na pewno przyszła z tej strony, a może... Tak, tak właśnie musiało być.

Dość długo dreptała po wciąż nieznanym zaułkach, czasami kręcąc się w kółko. Nagle miasto się skończyło. Po drodze nie spotkała żywej duszy poza kilkorgiem zajętych zabawą dzieci, a je bała się pytać. Pewnie popatrzyłyby na nią zdziwione, zresztą nie mogły nic wiedzieć o nowocześniejszych dzielnicach, a poza tym wszyscy najwidoczniej się bali i dlatego nie opuszczali domostw.

Napotkany kot także w niczym jej nie pomógł, przemknął tylko wzdłuż ściany z podniesionym ogonem. Z którejś z bocznych uliczek od dawna już dobiegał warkot samochodu.

Elena zrobiła jeszcze kilkanaście kroków po otwartym terenie, chcąc przyjrzeć się miastu i rozeznac w sytuacji. Na ostatnim odcinku ulicy po obu stronach wznosiły się nie

zamieszkane szopy i chyba jakieś magazyny, nie bardzo wiedziała, co może mieścić się w takich ruderach. Można powiedzieć, że to zaplecze najstarszej dzielnicy w mieście. Nie przywykła do takiej ruiny i nieporządku. W Sadze i pozostałych miastach i osiedlach wszystko było doskonałe. Piękne białe drogi obrosnięte morzem kwiatów, prześliczne parki, jasne domy, cudowne ogrody...

Elena zrozumiała teraz, dlaczego starsi członkowie rodziny napawali się tą wspaniałością, ona do tej pory nie знаła nic innego i zapewne z tego powodu nie doceniała wszystkiego, co piękne.

Teraz, na widok przeciwieństwa, przeniknął ją dreszcz. Przeszła jeszcze kawałek rzadko używaną drogą, która wiała się przez pola zboża pełne maków i chabrów, prowadząc do cienistego lasu. Z prawej, strony ciągnęły się ostatnie miejskie domy, ukryte wśród wysokich, wznoszących się w niebo zarośli przypominających tarninę. W oddaleniu od innych budynków stała jeszcze jakaś stara szopa, widać z niej było zaledwie dach. Elena zmarszczyła czoło.

Gdzie ona już to widziała?

Czy w trawie znać ślady opon samochodowych? Nie, co za głupstwa!

Przystanęła, usiłując zmusić pamięć do pracy, gdy nagle powiew wiatru przywiódł ze sobą świdrujący w nosie zapach. Duszący, okropny odór... Sali, w której przeprowadzono obdukcję? Kostnicy?

Tak, teraz już pamiętała. Zwłoki kobiety leżały w rowie, czy nie tam kawałeczek dalej, przy innej drodze wychodzącej z miasta?

Wytężyła wzrok i dostrzegła fragment drogi. Wtedy, z tamtego miejsca, też widzieli w oddali dach tej stodoły czy szopy.

Teraz znalazła się tuż przy budynku, to właśnie z niego cuchnęło, stamtąd rozchodził się ten odór.

Elena poczuła, jak całe jej ciało drętwieje. A jeśli to...?

Nie, równie dobrze może to być zupełnie co innego.

Ślady kół w trawie? Czy tylko wmówiła sobie, że tam są?

Zdecydowała się czym prędzej wrócić do przyjaciół i poinformować ich o swoich podejrzeniach, gdy nagle dobiegł ją jakiś odgłos. Warkot silnika samochodowego.

Dochodził z uliczki, którą przysła.

Mogła poprosić o pomoc kierowcę, tak, to dobry pomysł. A może...?

Znów coś sobie wmawia. Czy też jednak w tym odgłosie tkwi jakaś groźba? Czy ten dźwięk nie towarzyszy jej już od pewnego czasu?

Schować się w rowie? Nie, to budzi nieprzyjemne skojarzenia. Nie zastanawiając się dłużej, biegiem ruszyła w stronę lasu. Ostatnim, co zdążyła zobaczyć, był czarny samochód z przydymionymi szybami, który wyjechał z miasta, kierując się ku otwartym przestrzeniom. Podążał za nią.

Widziała już wcześniej podobny samochód, poprzedniego dnia, kiedy próbował poderwać ją General. Tamto auto miało co prawda opuszczone szyby, nie pamiętała, czy były ciemne, ale mógł to być ten sam pojazd.

Elena nie miała najmniejszej ochoty, by znów ktoś wziął ją za dziewczynę uliczną.

Biegła co sił w nogach, by ratować cześć i cnotę, a może nawet życie.

Samochód wolno podążał za nią. Wyczuwała już dzielącą ich odległość, wydawało się, że wcale mu się nie spieszy.

Może to po prostu jakiś miły wieśniak?

W samochodzie z przydymionymi szybami?

Elena przyspieszyła kroku.

Pierwszą myśl, że nigdy nie zdoła dotrzeć do lasu, zastąpiła wkrótce ostrożna nadzieja.

On wcale się nie zbliżał, starał się utrzymać taką samą prędkość jak ona.

Nie, samochód jednak przyspieszył, Elena usłyszała ryk silnika, rzuciła się w przód, osiągając wreszcie skraj lasu, bujnego liściastego lasu, i nie popełniła tego samego błędu, jaki często robią ścigani na telewizyjnym ekranie - nie pobiegła drogą, uciekając przed goniącym ją samochodem, tylko uskoczyła w bok i zdyszana, zmęczona zanurzyła się w gęste zarośla.

Samochód się zatrzymał.

On goni właśnie mnie, pomyślała przerażona dziewczyna. Wcale mnie nie woła, nie chce mi niczego wyjaśniać lub na przykład spytać o drogę albo dowiedzieć się, dlaczego jestem taka bojaźliwa. Po prostu zatrzymał się jak najciszej.

Usłyszała przytłumione trzaśnięcie drzwiczek.

Przez chwilę stała, nie mogąc zebrać myśli, wiedziała, że nie na wiele już starczy jej sił, ale musiała się oddalić. Na chwiejnych nogach znów rzuciła się do ucieczki.

Nigdy mi się to nie uda, nigdy, myślała.

Znienacka pojawiło się przed nią coś brunatnego, puszystego, zeskoczyło z drzewa i pomknęło przed nią jak gdyby wskazując jej drogę.

Czik, wielka wiewiórka Tsi-Tsunggi.

- Ach, Czik - pisnęła drżącym głosem i bez wahania podążyła za zwierzątkiem, wiedziała już bowiem, że teraz może liczyć na pomoc.

I rzeczywiście, już wkrótce ujrzała brunatnozielonego elfa ziemi, Tsi-Tsunggę. Wybiegł jej na spotkanie, złapał za rękę i pociągnął za sobą.

- Prędko - szepnął w swym dziwnym języku.

Zorientowawszy się, jak zmęczona jest dziewczyna, wziął ją na ręce i poniósł między drzewa. Zeskoczył z niedużego pagórka i ukrył się w jeszcze gęściejszych zaroślach.

Wspinał się i skakał, długimi susami pokonywał wzniesienia. Elena wiedziała, że prześladowca już nie zdoła jej dogonić. Skały były tu zbyt strome, by ktokolwiek inny niż Tsi-Tsungga mógł się po nich poruszać. Elena rozejrzała się za Czikiem.

- Nie musisz się o niego martwić- uśmiechnął się Tsi. - On wszędzie da sobie radę.

- Muszę mu podziękować - mruknęła.

- On już wie. No, dobrze, teraz jesteśmy bezpieczni. Znajdowali się na porośniętym trawą występie skalnym, Elena wyrzała znad krawędzi, chcąc zobaczyć, kto ją ścigał.

- On już wsiadł do samochodu - uspokoił ją Tsi-Tsungga. - Zobacz, wraca do tego straszego miasta.

- Tobie też się ono nie podoba? - spytała z uśmiechem.

Tsi w odpowiedzi zmarszczył nos.

Wreszcie mogła się lepiej przyjrzeć przyjacielowi z dzieciństwa. Wyglądał dokładnie tak samo, jak zwidywał jej się w mokrych snach. Tak niesłychanie pociągający, że dech zaparło jej w piersiach. Taki obcy, innej rasy, innego gatunku, zakazany i kuszący. Miał błyszczące, intensywnie zielone oczy, kąciki ust jak u fauna wznosiły się w pełnym zachwyty uśmiechu. Szeroki w barach i silny, poruszał się lekko jak ptak, ta tajemnicza męskość elfów wprost zeń biła. Piękny w osobliwy, łobuzerski sposób, pociągający, na pół ukryte spojrzenie i mięśnie grające pod skórą stanowiły nieporównywalną z niczym pokusę. To był Tsi z jej zakazanych snów, stary przyjaciel, z którego wyrósł nadzwyczajny cud zmysłowości.

Elena przestraszyła się, że być może z deszczu wpadła pod rynnę.

- Teraz możesz już być spokojna - powiedział Tsi-Tsungga beztrąsko. - Tamci też nie muszą się o ciebie bać, bo elfy przesłały wiadomość Lanjelinowi o tym, że jesteś bezpieczna.

Lanjelin! Tak elfy nazywały Dolga. To znaczy, że rzeczywiście wszystko w porządku. Elena jednak wcale nie była przekonana, czy naprawdę sytuację, w której się teraz znalazła, można określić jako w pełni bezpieczną.

Zgubił ją.

Gniew szarpał i dręczył go niemal z równą mocą, jak pożądanie i pragnienie zemsty jeszcze przed chwilą.

Owa pałaca potrzeba... Znów tego dnia zanadto się wzmogła, zresztą nigdy nie starał się nad nią zapanować, pragnął dać się porwać niezłomnej żądzy, a odpowiednie kobiety zawsze jakoś udawało się znaleźć. Po tym jednak, jak ujrzał tutaj w mieście ją, Doris, niewierną żonę, całkiem zapomniał o innych. Nadeszła wreszcie chwila, na którą tak długo czekał. Cieszył się na to niemal do bólu, ożyły nadzieje.

I nagle jak zesłana z nieba wyszła na miasto sama. Zobaczył ją, ona go nie widziała, na szczęście samochód miał zaparkowany niedaleko.

Musiał jednak zachować ostrożność, nikt nie powinien widzieć, jak dziewczyna wsiada do wozu. Wiedział, że wszystkie przelęknione kobiety tkwią w domach ukryte za firankami. Głupie babska, wydaje im się, że czyha na staruchy czy głupawe blondynki. Nie, jego interesowała tylko Doris.

To prawda, że kilka razy się pomylił, wydawało mu się, że ta czy tamta kobieta to Doris, ale i tak cudownie było zabić jej namiastkę, substytut. Teraz jednak prawdziwa Doris tutaj była, tym razem nie pozwoli jej się już oszukać.

Kiedy wyszła z miasta, z początku się przeląkł, zalała go fala strachu. A jeśli ona pójdzie tam?

Nie, dlaczego by tak miało być?

Ruszyła kawałek drogą, zatrzymała się i poszła dalej.

Jechał za nią samochodem, powoli, bo akurat z budynku w końcu uliczki wyszedł jakiś człowiek. Lepiej zaczekać.

A potem zaczęła biec! Głupia Doris, czyżby wiedziała, że on ją goni?

Co z tym człowiekiem? Nie ma go już?

Nie, niestety, musi czekać, aż ten idiota zniknie.

No dobrze, wszedł do jakiegoś domu.

Dodał gazu, dziewczyna odbiegła już dość daleko i...

Och, nie! Dotarła do lasu!

Przycisnął pedał gazu do dechy, samochód zerwał się za nią, nic się nie stało, ta głupia gęś na pewno popędzi drogą, zaraz ją dogoni.

Musiał przesunąć się na siedzeniu i poprawić spodnie, na samą myśl o dziewczynie zaczęły go cisnąć.

Nienawidził tego lasu. Kiedyś na początku, zanim znalazł tamtą szopę, przywiózł tu jedną z kobiet, uważał bowiem, że las stanowi dobrą kryjówkę. To chyba była druga z kolei, na której należnym mu prawem wziął srogi odwet. Pierwszą zostawił po prostu w rowie, nie chciał teraz myśleć o tym, że odnaleziono tę dziwkę.

Ale ta druga, gdzieś tu w lesie?

Straszny las. Nigdy nie był przesądny i cała ta gadanina o duchach i innych istotach z Królestwa Światła nie robiła na nim wrażenia. Na pewno chodzi o jakieś zdeformowane osobniki, lecz jak najbardziej ludzkie, z których plotki czynią istoty z innych wymiarów. Bzdury!

Tak myślał, dopóki nie znalazł się w lesie z tamtą kobietą.

Działo się to jeszcze, zanim wypracował sobie system. Wysiadł razem z nią z samochodu, poszli między drzewa, to była zwyczajna, tania dziwka, ale on wcale o tym wtedy nie myślał, dla niego to była Doris, miała taką samą twarz i ciało, identyczne włosy i kolor oczu. Chwile spędzone w lesie były strasznym przeżyciem, nie potrafił nazwać swoich odczuć, ale miał wrażenie, jakby drobne, niewidoczne istoty tłoczyły się wokół niego, oburzone, groźne...

Nie osiągnął wtedy pełnego zadowolenia, musiał prędko skończyć, zabić ją, jeszcze zanim rozkosz na dobre się pojawiła. Potem wrzucił ją do bagażnika, sam wskoczył do samochodu i odjechał czym prędzej jakby sam diabeł go gonił.

Wtedy właśnie odkrył szopę, rozpadającą się, zapomnianą, ukrytą wśród ciemnych krzewów.

Doskonała kryjówka, nie będzie musiał kopać w ziemi, wystarczy ją wrzucić.

Doris...

Dzisiaj jej się udało, ta mała wariatka wbiegła do lasu, czyżby nie wiedziała, co dla niej dobre? Nie pamiętała, jak doskonałym był kochankiem? Nie chciała z nim spędzić cudownych chwil? A potem dosięgłaby ją kara.

Ogarnięty wściekłością raz po raz uderzał ręką w kierownicę. Doris zniknęła w lesie, którego tak nienawidził i do którego bał się wchodzić.

Ale w końcu przecież musi stamtąd wyjść. Ta myśl sprawiła, że serce zaczęło mu uderzać w normalnym rytmie.

10

Kiedy wyszli ze spotkania u burmistrza, Jaskari czekał na nich w holu ratusza. Na ich widok poderwał się i ruszył im na powitanie. Jasnowłosey bożek o imponujących mięśniach i niewinnych niebieskich oczach.

Ram natychmiast go zapytał:

- Gdzie Elena?

- Po obdukcji wyglądała na wykończoną - odparł beztrąsko Jaskari. - Odesłałem ją bezpośrednio do gondoli, bo chyba wracamy już do domu?

Na twarzy Strażnika odmalowała się surowość.

- Nigdzie nie wracamy, ledwie rozpoczęliśmy wypełnianie naszych dzisiejszych zadań. I jak odważyłeś się puścić ją samą w tym śmiertelnie niebezpiecznym miejscu, jakim stało się teraz to miasto?

Uśmiech Jaskariego nieco przygał.

- Phi! Chyba nikt nie zechce uprowadzić Eleny?

Ram wbił w niego wzrok.

- Nie? A dlaczego nie? Elena jest szczególnie zagrożona, przed chwilą właśnie powtarzaliśmy sobie, że na szczęście jest z tobą. Natychmiast idziemy na rynek! Jaskari spuścił z tonu. Nie bardzo pojmował całą sytuację} rozumiał jedynie, że zachował się głupio i że Ram rozgniewał się na niego. W milczeniu powlókł się za Strażnikiem. Jori i Armas szli za nimi, wszyscy maszerowali prędko, z lękiem w sercach. Elena jest wszak taka naiwna, taka łatwowierna i nie potrafi się bronić, nie umie wyznaczyć żadnych granic, ugina się pod wolą innych ludzi.

Jori powiedział cicho:

- Wydaje mi się, że pielęgniarstwo nie jest właściwym zajęciem dla Eleny.

- Ja także to zauważyłem - przyznał mu rację Armas, wysoki potomek Obcych. - Źle jej z tym. Na pewno wymagający, kwękający pacjenci i leniwe pielęgniarki będą ją tylko wykorzystywać. Od rana do wieczora czeka ją podawanie basenów.

- Sądzę, że powinniśmy pomówić z Danielle i Leonardem.

- Tak, i to jak najszybciej.

Gdy jednak dotarli na rynek i ujrzeni pustą gondolę, przestraszyli się, że nigdy nie dojdzie do rozmowy z rodzicami Eleny, dziewczyny bowiem nie było.

Przez chwilę stali bezradni, nie wiedzieli, co począć. Jaskari z żalu i ze strachu gardło miał jak zasznurowane.

- Może jeszcze nie zdążyła tutaj dojść - zauważył nieśmiało.

- Jak dawno temu się rozdzieliliście? - zapytał Ram.

Jaskari popatrzył na zegarek.

- To było... Ach, nie, na miłosierdzie, upłynęła już ponad godzina!

Nie na żarty się teraz zaniepokoił.

- Czy mogła pójść coś zjeść? - podsunął Armas.

Jaskari pokręcił głową.

- Wątpię, by była w stanie cokolwiek przełknąć.

Strach sparaliżował ich wszystkich. Co powinni teraz zrobić?

- Jakieś kłopoty? - rozległ się za nimi znajomy głos.

Nadszedł Marco razem z Mórim i Dolgiem.

Ulga, jaką odczuli, objawiła się niemal fizycznym bólem.

- Elena zginęła! - wykrzyknęli chórem.

- Możecie być spokojni - uśmiechnął się Dolgo. - Otrzymałem wieści od elfów, Eleną zajął się Tsi-Tsungga.

- Co takiego? - z niedowierzaniem spytał Jori. - A co on tu robi?

Odpowiedział Ram:

- Las elfów skrawkiem sięga niemal do najstarszej dzielnicy miasta, to dość blisko stąd.
- Jakie to głupie z jej strony, że tam poszła - prychnął Jaskari.
- Jediną osobą, która postąpiła głupio, jesteś ty - ostro przywołał go do porządku Ram. - Elena pewnie po prostu zablądziła, w mieście nieprzystosowanych wcale o to nietrudno.
- Jakie to dla niej typowe, iść kawałek i zaraz się zgubić.
- Dość tego, co masz przeciwko tej miłej dziewczynie?

Dolgo starał się uspokoić ich wzburzenie.

- Tsi mówił elfom, że Elenę gonił jakiś czarny samochód, dlatego pobiegła do lasu.
- No tak, to wyjaśnia całą sprawę - stwierdził Armas. - Ale oznacza także, że Elena rzeczywiście jest w niebezpieczeństwie.

Ram tylko pokiwał głową.

- Przepraszam - westchnął Jaskari. - Nie mam nic przeciwko Elenie, dobrze o tym wiecie. Nie dają mi spokoju wyrzuty sumienia i dlatego wygaduję takie głupstwa. Irytuje mnie jej dobroć, dla wszystkich jest taka życzliwa i miła, brak jej iskry.

- Mnie się wydaje, że powoduje ją raczej strach niż dobroć - włączył się do rozmowy Marco. Jego melodyjny głos wszystkich ucieszył. - Lęk przed tym, że się nie sprawdzi, dlatego też jest taka przewrażliwiona. Na świecie żyje mnóstwo takich Elen, wiele z nich staje się ofiarami mężów, którzy lubią dręczyć żony. Mężczyźni wykorzystują ich gotowość do służenia im, a równocześnie ta cecha kobiecego charakteru niepomrotnie ich irytuje. Brzmi to może dość zawile, ale tak jest naprawdę, Jaskari miał wrażenie, że kurczy się w sobie. Wcale nie zamierzał być domowym tyranem, ale jego myśli podążały brzydkim torem, nie bardzo, tylko trochę, ale to już wystarczyło.

No a teraz okazało się, że Elena zniknęła.

Nie, nie zniknęła, jest z Tsi-Tsunggą.

O dziwo, Jaskarięgo ta myśl wcale nie uspokoiła.

Elena miała wrażenie, że zapachy w lesie elfów nagle się skondensowały. W powietrzu unosił się aromat świerków i sosen, usiłujących wyrosnąć na skalistych zboczach wśród liściastych drzew. Skapywała żywica i drzewne soki, ostry aromat ziemi wprowadził dziewczynę w stan bliski oszołomienia.

Zmieszana i onieśmielona pogłaskała Czika.

- Miło cię znów zobaczyć, Tsi, jak się miewasz? - spytała zawstydzona.

Wzruszył ramionami.

- Chyba dobrze, a ty?

- Chyba też dobrze - odparła równie beztrudno i oboje wybuchnęli śmiechem.

W zielonym leśnym mroku ostre zęby Tsi połyskiwały biało.

W końcu elf spoważniał.

- Nie, tobie nie jest dobrze, Eleno. Mnie też nie. Co cię dręczy?

Westchnęła zniecierpliwiona. Siedziała z podwinętymi nogami, Tsi klęczał przed nią i wyglądał wprost nieprzyzwoicie frywolnie, ale twarz miał zatroskaną.

- Nie wiem, przyjacielu, naprawdę nie wiem. Wszyscy mi tak dobrze życzą, to chyba ze mną jest coś nie w porządku.

Pogładził ją po ramieniu, Elena starała się ukryć dreszcz przyjemności, który przeniknął jej ciało, ale na próżno, gęsia skórka ją zdradziła.

- Z tobą wszystko jest w porządku, Eleno - powiedział w swym szeleszczącym języku, lecz wynalazek Madragów sprawił, że bez trudu rozumiała dźwięki. - Jesteś ciepłą, wspaniałą dziewczyną, zawsze byłeś dla mnie miła, ale podczas kilku naszych ostatnich spotkań sprawiałaś wrażenie, jakbyś się mnie bała. Dlaczego?

Co można odpowiedzieć na takie pytanie? Wyznać prawdę? Na pewno nie.

- No właśnie, dlaczego? - powtórzyła, udając obojętność. - Nie, Tsi, wcale się ciebie nie boję, przecież to ty ocaliłeś mi życie wtedy pod murem. Nie chcę mówić o moich dziwacznych reakcjach, to takie irracjonalne. A co z tobą, Tsi? Wyczułam pewne wahanie, kiedy cię spytałam o to, jak się miewasz. Czyżbyś nie był szczęśliwy? Jego nagie uda, brunatne w zielone plamy... Wyglądały na takie ciepłe i żywe, zorientowała się, że się w nie zapatrzyła, i odwróciła oczy.

- Szczęśliwy? - w głosie Tsi zabrzmiała pustka. - Nigdy chyba nie było mi tak dobrze jak teraz, a mimo to...

- Czegoś brak - dokończyła Elena.

Czekając na jego odpowiedź odnosiła wrażenie, że śpiew ptaków rozbrzmiewa coraz głośniejsze, las zgęstniał wokół nich, a powietrze stało się dławiąco duszne. Nie mogła patrzeć wprost na niego, przed oczami coś jej nieznośnie wirowało, w uszach szumiało.

- Czegoś brak - powtórzył Tsi powoli. - Chociaż tak dobrze mi u elfów, są moimi przyjaciółmi, niemal pobratymcami, nie mogę tylko...

Urwał ze smutkiem, Elenie przyszła do głowy pewna myśl.

- Czy elfy nas teraz widzą?

Tsi roześmiał się.

- Ależ nie, odesłałem je stąd. „Idźcie się bawić, dzieci”.

- Powiedz więc, czego nie możesz.

Tsi po chwili wahania odparł wciąż niewzruszony:

- Nie, o tym nie będziemy rozmawiać.

Ale beztronskim tonem nie zmylił Eleny. Jej myśli jednak zajęły inne sprawy, kiedy Tsi pochylał się do niej, wsunął dłoń za jej ucho i podniósł włosy do góry. Elena nie zdołała zapanować nad gwałtownym drżeniem. Lekki dotyk jego gorących, silnych, a zarazem delikatnych palców był niesamowitym przeżyciem, jaskrawo zielone oczy leśnej istoty zaśniły tak blisko, tak oszałamiająco blisko.

- Chciałem tylko zobaczyć, jak naprawdę wyglądasz - powiedział wesoło. - Ten gobelin zasłania cały widok.

I on też? Elena poczuła ogarniającą ją rezygnację. Ale Johnowi podobały się jej włosy. John, wspaniały John!

Jaki on właściwie jest? Usiłowała wyobrazić sobie jego twarz, ale kiedy Tsi, ta obehwładniająca zmysły istota, znalazł się tak blisko, okazało się to niemożliwe.

Podniecone serce Eleny zaczęło uderzać szybko, uznała, że źle się dzieje, nie mogła

jednak oderwać wzroku od tych rozbawionych oczu. Jakże kusząca stała się jego twarz, śmieszny delikatny nos, zalotnie wygięte usta.

Jak gorąco w tym lesie!

Tsi obiema rękami uniósł jej włosy, odstłonił twarz i szyję.

- Zobacz, przejrzyj się w moich oczach, przekonasz się, jaka jesteś ładna.

Elena usłuchała, głęboko w jego źrenicach ujrzała własne odbicie, ale zobaczyła całkiem inną dziewczynę: o czystych regularnych rysach, zgrabnych łukach brwi, gładkim, niewinnym czole.

Wzdychając odwróciła głowę. Akurat teraz daleko jej do niewinności. Krew tętniła jej w ciele, widać było, jak pulsuje w żyłach na szyi, podbrzusze płonęło, a dłonie same wyciągały się w jego stronę, aż musiała je zacisnąć na kępkach trawy.

Tsi-Tsungga puścił ją, wzrokiem pytając, co się stało. Przez chwilę w milczeniu siedzieli obok siebie.

- Czego ci brak u elfów? - zapytała niemal szeptem.

Długo musiała czekać na odpowiedź.

- Nie wolno mi się z nimi spoufalać. Są niewidzialne, znajdują się w innym wymiarze, stanowią czystą rasę. Ja nie.

Elena milczała, bardzo długo. Czy starczy jej śmiałości, by coś mu powiedzieć?

- Czy moje słowa są u ciebie bezpieczne?

- Dobrze wiesz, że tak.

- Mnie także ostrzegano, moja rodzina to ludzie liberalni, oprócz matki i ojca, którzy są dość surowi, ale wszyscy dają mi do zrozumienia, że muszę się zastanowić. Czekać, aż miłość na poważnie pojawi się w twoim życiu, tak mówi nawet Taran, ona, taka wyzwolona. I często słyszałam drobne zawołowane aluzje, że już na pewno powinnam się trzymać z dala od ciebie, rozumiesz?

- Oczywiście - odpowiedział Tsi nie bez goryczy. - To przecież te same słowa, jakich przez cały czas muszą wysłuchiwać panny z rodu elfów od swoich krewniaków.

Pytanie, które padło, zostało zadane niechętnie, jakby wbrew woli dziewczyny.

- To znaczy, że byłeś zainteresowany?

- Jestem istotą płci męskiej - odparł po prostu. - Bardzo chciałbym wiedzieć więcej o tym aspekcie życia.

- Ale nie masz na myśli jakiejś konkretnej panienki z rodu elfów?

- Nie, wszystkie są jednakowo śliczne.

Elena poczuła, jak ogarnia ją nagła niechęć do elfów.

- Z kim więc wolno ci przestawać? - zapytała.

- No właśnie, moi dawni przyjaciele z ruin twierdzy traktowali mnie jak bastarda, nie chcieli mieć ze mną do czynienia. A Lemurowie... stoją zbyt wysoko. Wy, ludzie, jesteście zupełnie inną rasą.

Elena, nie zastanawiając się, objęła go za szyję.

- Musisz być bardzo samotnym...

Na końcu języka już miała „chłopcem”, w ostatniej chwili zmieniła to jednak na „mężczyznę”. Tsi-Tsungga wcale, ale to wcale nie był już dzieckiem.

Ujął ją za rękę i przytulił do swego policzka.

- Jesteś taka dobra, Eleno.

Nie, na Boga, znów to samo, przecież ona ma też inne cechy, jest nie tylko dobra. Sama sobie wykopała grób, okazując wszystkim bez wyjątku życzliwość. Tak, miła, życzliwa i dobra, aż do mdłości.

Tsi oparł się na łokciu odwrócony w jej stronę, Elena ułożyła się tak samo. Łączyła ich teraz wspólna tajemnica, wiedzieli o swej samotności i niejasnych tęsknotach.

- Masz jakiegoś przyjaciela? - spytał Tsi.

Elena westchnęła ze śmiechem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie jestem najbardziej interesującą osobą na świecie, ale i ja mam uczucia, tak jak i ty. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, że ten, kto nigdy nie będzie miał nikogo bliskiego, jest skazany na przeżywanie miłości. To ogromnie niesprawiedliwe i bezlitosne moim zdaniem.

- Dlaczego ty miałabyś nie mieć bliskiej osoby?

- Przecież ja jestem nikim, nic nie potrafię, nie warto na mnie nawet spojrzeć, Jaskari codziennie mi to powtarza, pracujemy razem i tak go irytuje moja niezdarność, że nie może już na mnie patrzeć.

- Wcale w to nie wierzę, Jaskari to dobry chłopak.

- O, ty go nie znasz - syknęła Elena przez zęby. - Wiesz, ale teraz mam chyba wielbiciela. No, może to za dużo powiedziane, nie powinnam przesadzać, ale on... On chce na mnie patrzeć, to takie cudowne wrażenie.

Tsi przyglądał jej się badawczo. Wyciągnięty swobodnie w ciepłej trawie, wyglądał nieodparcie pociągająco. Elena znów musiała odwrócić wzrok.

- Zakochałaś się w nim?

- Oczywiście, przecież mu się podobam.

- Ależ, Eleno!

- Co? Co takiego?

Pojęła wreszcie, o co mu chodzi.

- No, nie wiem, on mi się podoba, czuję się zaszczycona, jest dość młody, przystojny i... Znów zabrnęła w ślepą uliczkę. Chciała dodać „i mnie lubi”.

Zawstydzona swą uległością, zaczęła bawić się źdźbłem trawy. Co też ten Tsi-Tsungga o niej pomyśli? Oskarży ją zaraz, że nie ma własnego zdania.

No, ale czy tak naprawdę je miała?

Zauważyła nagle, że Tsi drżącymi wrażliwymi palcami muska jej sukienkę. Z jego twarzy biła samotność, pragnienie, by móc dzielić życie z innymi, włączyć się do jakiejś grupy, nie być traktowanym jak odmieniec, mieć choćby jednego przyjaciela, doświadczyć związku z drugą istotą.

Elena popatrzyła na silną, pięknie ukształtowaną dłoń, na palce bawiące się delikatnym materiałem, i gorąca wilgoć zalała jej podbrzusze. Piękną sukienkę wybrała na ten dzień, za ładną na odpychającą pracę w ponurym mieście nieprzystosowanych, chciała jednak atrakcyjnie wyglądać dla Johna. Jaskari oczywiście nie powstrzymał się od złośliwego komentarza na temat jej stroju.

Ręką dotknęła nagiej klatki piersiowej Tsi, bijące od niego ciepło przeniknęło przez jej skórę, rozlało się po ciele i skupiło w jednym punkcie, tętniącym teraz nieznośnym pragnieniem.

Wiedziała, że żadna inna istota na świecie nie zdoła jej dostarczyć silniejszych erotycznych przeżyć niż Tsi-Tsungga, on się do tego urodził, był uosobieniem zmysłowości, w każdym calu swego ciała. Przypominał naładowaną burzową chmurę i najwidoczniej nigdy nie znalazł ujścia dla swych tłumionych żądz.

Dłoń Tsi dotknęła jej uda.

Powietrze zgęstniało, ledwie dawało się nim oddychać. Z ziemi i drzew unosiła się wilgoć. Wiewiórka Czik zasnęła na gałęzi. Tsi wyciągnął się jak długi blisko dziewczyny, odwrócony w jej stronę, Elenie huczało w głowie, popatrzyła na usta Tsi, na pełne gorące wargi, znać było, że jego skóra żyje, że każdy najdrobniejszy nawet nerw jest w gotowości, wzrok jej się zmacił, nieświadoma położyła rękę na biodrze elfa, poczuła na dłoni gorąco jego ciała.

Elena, dziewczyna, której było trudno mówić „nie”, zdecydowała się pójść za nim tak, jak tego pragnął. Nieświadomie, wciąż bowiem przypuszczała, że to po prostu przyjacielska zabawa, a raczej miły gest z jej strony. Chciała mu pokazać, że nie jest tak samotny jak myślał, bo przecież ona jest jego przyjaciółką.

I ona też wyciągnęła się w trawie, odwrócona w jego stronę.

Nawet tego ruchu nie była świadoma, jej ciało zadziało z własnej woli, stało się chętnym obiektem męskiego pożądania.

Z Tsi biła naprawdę niezwykła siła przyciągania, Elena z trudem łapała powietrze, oddech miała krótki, urywany, odnosiła wrażenie, że jej ciało zapłonęło, i bardzo pragnęła ugasić ten pożar. Tsi-Tsungga również reagował tak, jakby postradał zmysły. Drżał, nie mógł uleżeć spokojnie, ledwie dostrzegalnym ruchem przysuwał się w stronę dziewczyny, a ona wyszła mu na spotkanie. Tsi wsunął jej rękę za dekolt, Elena pozwoliła mu na to, jęknęła cichutko, przybliżyła się do jego dłoni, a potem...

Znalazł się już tak blisko niej, że wyczuła ciałem jego twardy członek. Tego było już dla niej za wiele, zachłysnęła się powietrzem. Złapanemu w sidła pożądania bez żadnej drogi powrotu elfowi przywróciło to przytomność.

- Nie - jęknął, cofając się. - Nie wolno nam.

Dlaczego nie, chciała zapytać Elena, gotowa oddać wszystko, byle tylko się do niego zbliżyć, poczuć go przy sobie i w sobie, przeżyć ekstazę wraz z nim. Co nas powstrzymuje, czy ktoś musi się o tym dowiedzieć? Pragnę, by otoczyła mnie twoja erotyczna moc, chcę poczuć zmysłowe napięcie, jakie wywołuje we mnie twoja bliskość, Tsi, wróć, oboje jesteśmy samotni, możemy sobie nawzajem pomóc, mogę ci pokazać, jak na pożądanie odpowiada kobieta.

Tsi, widząc rozpacz i tęsknotę Eleny, jakże podobne do jego doznań, starał się być silny.

- To nie opierałoby się na miłości - starał się jej tłumaczyć, ale głos ogromnie mu przy tym drżał. - Znam twoich rodziców, całą twoją rodzinę, co oni by powiedzieli, gdybyśmy przekroczyli granicę, dzielącą dwa różne gatunki istot?

- Oni nie muszą o niczym wiedzieć - przekonywała go Elena.

- Nikt nie może przewidzieć, co z tego wyniknie, Eleno. Pomyśl tylko, co by było, gdybyś miała dziecko? Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi na świecie, ale nie mogę niszczyć twojej przyszłości. Sama przyjaźń nie wystarczy, nawet bardzo silna.

Elena usiadła, objęła rękami kolana, Tsi usiadł koło niej w takiej samej pozycji.

- Wiem, że masz rację - szepnęła. - Dziękuję, że byłeś taki silny i mądry, by w porę to zatrzymać.

- Wcale nie przyszło mi to z łatwością.

- Dziękuję. (Och, Tsi, czy wiesz, jaki to ból?)

Nagle dziewczyna zaczęła się cicho śmiać.

- Co ci się stało?

- Cudownie by było, gdybyśmy, gdybyśmy... - szepnęła Elena.

On także się roześmiał, przygarnął ją do siebie i mocno uściskał.

- To prawda, tak się cieszę, Eleno, teraz jesteśmy jeszcze bliższymi przyjaciółmi, prawda? Na dobre i na złe, na zawsze.

Znów spojrzała w zielone oczy, już spokojniej, bardziej pewna i jego, i siebie. Tsi powoli ją przytulił, wzrokiem zadając pytanie. Podała się jego woli i pozwoliła, by ich usta złączyły się w gorącym, pełnym oddania pocałunku.

Potem Tsi pomógł jej wstać.

Powrócili do codzienności, Cziki ocknął się wystraszony, bo od drogi prowadzącej od miasta dochodził szum silnika.

Popatrzyli w tamtą stronę.

- To naziemny pojazd Rama - stwierdziła Elena. - Siedzi w nim kilka osób, pobiegnijmy im na spotkanie, na pewno mnie szukają.

Tsi-Tsungga wahał się.

- Nie powinienem raczej...

- Oczywiście, że powinieneś, przecież ich wszystkich znasz.

Rozjaśnił się.

- Chętnie bym się z nimi zobaczył.

- Chodźże więc, mój najlepszy, najbliższy przyjacielu.

Na te słowa połyskujące zielono oczy wypełniły się łzami radości

11

Ten, którego nazywali Opryskiem, krążył małymi uliczkami w poszukiwaniu pustych butelek, pełen nienawiści do wszystkich, którym powodziło się lepiej niż jemu. Kopnął butelkę bez zastawu.

- Wydaje im się, że są kimś - mamrotał pod nosem. - Tylko dlatego, że mieli w życiu fart. Że ten „fart” zawdzięczali ciężkiej pracy, a on swój niefart nieróbstwu, zamiłowaniu do piwa i bijatykom, nie chciał przyznać. Umiał tylko narzekać.

Nagle się zatrzymał. Jakiś mężczyzna zamykał samochód z przydymionymi szybami.

W oczach Opryszka błysnęły pieniądze, podszedł do samochodu.

- Nieźle ci się wiedzie, co? I zadzierasz nosa? Ale ja i tak widzę to, co chcę zobaczyć.

- Ach, tak? - Mężczyzna z politowaniem pokiwał głową. - I co takiego widzisz?

- Widzę, jak jakiś facet wynosi uczennicę z samochodu takiego jak ten, głowa jej lata na wszystkie strony, a dzieje się to w zaroślach po drugiej stronie naszego miasta.

- I co? Jaki to ma związek ze mną?

- Tamten facet był cholernie podobny do ciebie, nadęty bufonie!

Mężczyzna spokojnie odwrócił głowę.

- Dlaczego nie zgłosisz tego Strażnikom?

Oczka Opryszka załśniły chytrze.

- Wcale nie muszę do nich chodzić.

Wymienił sumę, za którą gotów był trzymać język za zębami. Śmiesznie niską, lecz dla Opryszka stanowiła ona fortunę.

Mężczyzna nie namyślał się długo.

- Nie mam przy sobie takich pieniędzy.

- Żądam ich teraz - warknął Opryszek, który nie pił piwa już przez całą dobę. - I nie wymyślaj nic głupiego, bo wiesz, że mogę cię rozgnieść jednym palcem.

- Chodź więc ze mną do banku. Możesz zaczekać przed wejściem... albo w parku, jeśli nie chcesz, żeby ktoś cię zobaczył.

Niezwykła para przemaszerowała przez bezludną ulicę i weszła w gęsty park, po jego drugiej stronie znajdował się bank. Żaden z nich tam nie dotarł, Opryszek dokonał swego żywota w parku, drugi mężczyzna zawrócił do samochodu, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Zabijanie stało się dla niego rutyną, jeden pijak mniej lub więcej, jakie to ma znaczenie?

Elena stała na drodze wraz z innymi, wyrzuty sumienia mieszały jej się z... Nie, koniec z poczuciem winy! Z Tsi łączyła ją słodko-gorzka tajemnica i to było takie cudowne.

Tsi-Tsungga zapłonął przez nią. Przez nią, Elenę, mającą o sobie najgorsze chyba mniemanie na świecie.

Czy to dziwne, że policzki jej pałały, a oczy błyszczwały? Czy to dziwne, że Jaskari podejrzliwie przyglądał jej się ukradkiem?

I przecież istniał też John!

Ach, życie jest naprawdę wspaniałe!

Razem z Tsi przeszli przez las trzymając się za ręce. „Dużo przyjemniejszy jest nie spełniony związek niż pospieszne jego sfinalizowanie po to, aby zaraz ze sobą skończyć” - stwierdziła Elena, a on przyznał jej rację.

Wiedziała jednak, że upłyną godziny, zanim tęsknota ujdzie z jej ciała. Zanim przestanie czuć jego męskość przyciśniętą do bioder, zanim zapomni o jego pytającym, poszukującym spojrzeniu i niespokojnych dłoniach.

- Dlaczego nie widzimy cię częściej, Tsi? - spytał Jori, kiedy już wszyscy po kolei uściskali ziemnego elfa.

Tylko Ram życzliwie skinął mu głową, a szef policji wyciągnął dwa zimne palce.

- Naprawdę chcielibyście częściej mnie spotykać? - rozjaśnił się Tsi.

- Oczywiście, jesteś przecież jednym z nas.

Uśmiechnął się wtedy jeszcze szerzej, a już naprawdę nie posiadał się z radości, kiedy Dolgo podziękował za przekazaną elfom wiadomość o Elenie.

Tsi jednak prędko się pożegnał. Niezwykle wrażliwy na nastroje innych, wyczuł, że szef policji niechętnie na niego patrzy, i pospiesznie wycofał się do swoich lasów. Przed odejściem wymienił jeszcze z Eleną ukradkowe, porozumiewawcze spojrzenie.

Tajemnica. Uczyniła ją tak szczęśliwą, że dziewczyna po prostu zapomniała o złu czającym się w mieście nieprzystosowanych.

Musiała teraz jednak zdać relację ze swej ucieczki przed czarnym samochodem.

Powiedziała też, że nie chciałaby bezpodstawnie nikogo oskarżać, lecz że mógł to być ten sam samochód, który poprzedniego dnia zatrzymał się przy niej na ulicy. Jechał nim człowiek nazywany Generałem.

Przybyli porozumieli się wzrokiem, wiedzieli, o kogo chodzi.

- Ale przecież czarnych samochodów jest wiele - prędko dodała Elena.

Po odejściu Tsi-Tsunggi dzień wydał jej się taki pusty, utraciła przyjaciela, sprzysiężonego. Długo za nim patrzyła.

Potem przypomniał jej się odór, który zaleciał, kiedy szła na wpół zapomnianą drogą.

Kiedy i o tym im powiedziała, Ram oświadczył krótko:

- Idziemy!

Zwracał się przy tym do całej grupy.

Elena nie miała najmniejszej ochoty wracać w tamto miejsce.

Wyglądało na to, że będą musieli się przedzierać przez splątane zarośla tarniny i głogu.

Ledwie dostrzegali w ogóle dach szopy. Okazało się jednak, że nie czeka ich aż tak ciężka praca. Przez zarośla wiodła ledwie widoczna kręta ścieżka, na której odcisnęły się ślady opon samochodowych.

Szef policji jęknął na myśl o tak męczącej wyprawie. Elena zastanawiała się, czy nie poradzić mu, żeby zwrócił się o pomoc do jakiegoś lekarza i poprosił o taką samą kurację, jaką zamierzały przejść ona i Indra, aby mogły jeść, na co tylko mają ochotę, nie tyjąc przy tym. Komendant jednak nie zachęcał do podobnych zwierzeń.

Wyjaśnił zasapany:

- Ta droga do lasu przestała być używana, odkąd mamy nową. Dlatego w ogóle zapomnieliśmy o tym rejonie.

Wszyscy milczeli. Elena z ich twarzy wyczytała, że myślą tak samo jak ona: tym poważniejszy powód, aby właśnie tutaj szukać ukrytych tajemnic.

Im bardziej zbliżali się do budynku, jeśli w ogóle można tak nazwać tę ruinę, tym silniejszy stawał się wywołujący mdłości odór. W końcu nie dało się go już znieść, musieli przytknąć do twarzy chusteczki.

Ram chciał, by towarzyszyło mu zaledwie parę osób, wśród wyznaczonych znaleźli się Jaskari i Elena.

- Nie, Elena nie - zgodnie zaprotestowali Armas i Jori. A kiedy Ram popatrzył na nich zdumiony, Armas wykrętnie tłumaczył:

- Przeżyła już dzisiaj dostatecznie dużo wstrząsów.

Elena nigdy chyba jeszcze nie odczuwała dla nikogo tak wielkiej wdzięczności. Miała ochotę rzucić się Armasowi na szyję, ale on był trochę zbyt dumną, zbyt dostojną personą.

Poczuła nagle na sobie badawcze spojrzenie Dolga i zaczerwieniła się po koniuszki uszu. Czyżby wiedział, co zdarzyło się w lesie? Dolgo posiadał jednak zdolności jasnowidzenia.

- Gdzie jest Marco? - pytała zmieszana.

- Zajęty jest poszukiwaniami dziewczynki, odebrał jakieś sygnały.
- Od niej?
- Nie - spokojnie tłumaczył Dolgo - Marco wyczuł, że mała znajduje się gdzieś niedaleko. Mój ojciec Móri natomiast skupił się na Misie, a ja pomagam Ramowi ścigać mordercę kobiet.
- Więc podzieliliście się zadaniami - uśmiechnęła się Elena, nieco wymuszenie, okoliczności bowiem nie skłaniały do wesołości.
- Tak - odparł Dolgo, i on ledwie się uśmiechał. - Ale mamy swoje kłopoty. Pojawił się nasz stary przyjaciel Heinrich Reuss i nie chciał się od nas odczepić. To dobra, życzliwa dusza, ale akurat wtedy przeszkadzało nam jego towarzystwo.
- Jest bardzo samotny.
- Tak, nigdzie nie może sobie znaleźć miejsca.
Elenie przyszła do głowy pewna myśl.
- Czy on chciał tutaj przybyć?
Dolgo zastanowił się.
- Mmm... Nie potrafił się zdecydować, czy ma iść ze mną, czy z Markiem. A tak w ogóle Reuss znów chce się przenieść, do Sagi.
Ram przywołał Dolga i nieduża grupka weszła do rozpadającej się szopy. Elena została razem z Jorim i szefem policji. Ów ostatni powinien wejść do środka, ale sprawiał wrażenie chorego, spocona twarz bardzo pobladła, ręce mu się trzęsły, Elena zaproponowała mu więc, by usiadł w gondoli Rama, przystał na to więcej niż chętnie. Grupka w szopie pozostawała dość długo.
Smród stawał się coraz bardziej nieznośny. Elena odsunęła się nieco na bok i usiłowała skupić myśli na czymś przyjemniejszym.
Dłonie Tsi pod jej włosami, jak ładnie wtedy wyglądała, taka niepodobna do siebie, widziała wszak odbicie w jego oczach. Drgnęła, przyjaciele wyszli z szopy.
Milczący, przygnębieni, pobladli.
Ram podszedł do szefa policji.
- Są tam wszystkie - oświadczył krótko. - Cztery kobiety i uczennica. Jedne leżały dłużej, inne krócej.
- A... dziecko? Córka burmistrza? - dopytywał się Jori.
Ram pokręcił głową.
- Nie, nie ma jej tam. Ani Misy.
- Dzięki Bogu - szepnęli razem Jori i Elena.
Komendant policji trząśnięty jak w febrze.
- W jaki sposób je zabito? - pytał Jori.
- Zostały uduszone. Nie zdążyliśmy zbadać ich dokładnie, ale wydaje się, że te ohydne naboje są na miejscu. Przyjrzelśmy się starannie tylko ostatniej ofierze, uczennicy. Rozkład pozostałych ciał posunął się już zbyt daleko. Panie komendancie, niezbędne są tu staranne badania, ale pan jest zwolniony, skieruję tu swoich ludzi, to ma większy sens.
- Dlaczego ja jestem zwolniony? - oburzył się szef policji.
Ram rozważał odpowiedź.

- Ponieważ stan pana zdrowia pozostawia wiele do życzenia - rzekł wreszcie. - Przyślę tu jednego z moich najlepszych lekarzy, żeby pana obejrzał.

Otyły mężczyzna rozluźnił się.

Lekarze w Królestwie Światła niewiele mieli do zrobienia, bowiem stan zdrowia mieszkańców krainy był naprawdę doskonały, właściwie jedynie w mieście nieprzystosowanych można było mówić o chorobach. Lekarze więc skupiali się głównie na badaniach medycznych, pomocy w nagłych wypadkach i ułatwianiu ludziom życia, w takich na przykład przypadkach, jakie reprezentowały Indra i Elena, które chciały uniknąć otyłości. Lekarze za pomocą odpowiednich kuracji usuwali drobne dolegliwości lub kosmetycznymi zabiegami poprawiali fizyczne niedostatki. W Królestwie Światła medycyna wyprzedzała zewnętrzny świat o stulecia. Ważny dział, jakim zajmowali się lekarze, stanowiła ochrona krainy przed infekcjami, bakteriami i wirusami z Królestwa Ciemności.

Dolga i Joriego wyznaczono do pilnowania szopy, nie musieli się do niej zbliżyć, wystarczyło, że zostaną na drodze. Pozostali natomiast wyruszyli do miasta. Wszyscy odczuwali potrzebę zmycia z siebie brudu, nawet Elena, która przecież nie wchodziła do szopy. Zastanawiała się, czy trupi zapach utrzyma się już tam na zawsze, takie odnosiła wrażenie.

Skierowali się natychmiast do ratusza, by złożyć raport. Kiedy wszyscy już wyszorowali się do czysta w luksusowych toaletach, wzięli prysznic i przebrali w pożyczone ubrania, mogli spotkać się z burmistrzem i jego najbliższymi współpracownikami.

John znalazł się wśród nich. Była to pierwsza rzecz, na jaką Elena zwróciła uwagę. Serce podskoczyło jej w piersi. Wyglądał jeszcze lepiej, niż pamiętała, ale to pewnie dlatego, że zaczynała być naprawdę zakochana. Sprawiał wrażenie takiego młodego, wręcz chłopięcego, a jednocześnie był to człowiek z charakterem, poznała to po jego rysach twarzy. I rzeczywiście popatrzył na nią, a w jego uśmiechu kryło się tajemnicze przesłanie. Jak to zrobić, żeby zostać z nim sam na sam? Musi z nim pomówić w cztery oczy, musi się czegoś o nim dowiedzieć.

Elena miała wrażenie, że chwile spędzone z Tsi sprawiły, iż w pewnym sensie dojrzała. Więcej wiedziała o własnym ciele, podobało się ono Tsi, zareagował na nie, a to znaczy, że nie jest taka zupełnie beznadziejna.

Nieprzyjemny wewnętrzny głos wciąż podpowiadał jej jednak, że Tsi to inny rodzaj stworzenia, istota natury, usposobiona niezwykle erotycznie, John być może odpowiedziałby inaczej, nie tak silnie, impulsywnie, był wszak zwykłym człowiekiem, a nie leśną istotą ze zmysłowością we krwi.

Nagle znów gorąco zatęskniła za Tsi-Tsunggą, za rozpalonym pożądaniem bijącym z jego oczu.

Na to wspomnienie przeszył ją gorący dreszcz. Musiała przywołać się do porządku i skupić na tym, co mówili tamci.

Oni jednak najwidoczniej zakończyli już rozmowę, nie słyszała z niej ani jednego słowa, Ram nakazał młodemu powrót do domu.

Wyszli więc, chłopcy z ulgą przyjęli wiadomość, że znowu znajdują się w bardziej cywilizowanych okolicach. Elena szła niechętnie, ciągnąc nogę za nogą.

Ale jedno się udało: kiedy zbierali ubrania porozrzucane w licznych i długich korytarzach ratusza, John ją dogonił.

- Przyjedziesz jutro? - spytał cicho.

Zatrzymali się za zakrętem, tak by ich nie widziano. Musieli się jednak spieszyć, bo w każdej chwili mógł ktoś nadejść.

- Nie wiem - odparła bez tchu. - Mam taką nadzieję.

Czy w jej głosie nie pobrzmiwał zbyt wielki zapach? E tam, przestała już być dawną tchórzliwą Eleną.

- Czy możemy się spotkać?

Pokiwała mocno głową, wpatrzona w czubki własnych butów. Bez względu na to, jak odnowiona się czuła, stare przyzwyczajenia i tak brały górę. Bała się na niego popatrzeć.

- Mój samochód stoi za ratuszem - objaśnił prędko ściszone głosem, jakby chcąc podkreślić ich wzajemne zrozumienie. - Dzisiaj mam zbyt wiele zajęć, ale jutro, kiedy dzień pracy dobiegnie końca... Może o siódmej? Pojedziemy stąd do Królestwa Światła. Elena zawahała się.

- Czy tu, w mieście, o siódmej nie jest już ciemno?

- Prawie. Ale masz mnie jako osobistą ochronę - rzekł z uśmiechem.

Elena także się uśmiechnęła

- Tak, jasne, przyjdę.

Oczywiście, przybędzie na spotkanie, nawet gdyby jej tu jutro nie wysłali. Musi się z nim spotkać, musi.

John poszedł dalej, Elena wyłoniła się zza rogu i wpadła prosto w ramiona Jaskariego.

- No, nareszcie jesteś - powiedział zirytowany. Ujął ją za rękę. - Posłuchaj, Eleno, znaleźliśmy się w samym środku strasznej i trudnej do pojęcia tragedii, a ty przez cały czas wyglądasz na nieprzytomnie zadowoloną. Co właściwie robiliście z Tsi w lesie?

Elena usiłowała nadać swojej twarzy spokojny, poważny wyraz.

- My? On mi uratował życie, czekaliśmy, kiedy będę mogła bezpiecznie stamtąd wyjść. A dlaczego chcesz to wiedzieć?

Och, po co zadała to pytanie? Dała mu tym samym możliwość dalszego węszenia.

- Bo Tsi to... Tsi. Może przywieść małe głupiutki dziewczynki do zguby.

- Doprawdy? Nic mi o tym nie wiadomo, bo ja nie jestem głupiutka.

Doskonała odpowiedź, zmusiła go do milczenia, nie wiedział, co teraz mówić.

Jaskari, wciąż trzymając Elenę za jedną rękę, pociągnął ją za sobą.

- Na szczęście przynajmniej jutro nie będziesz musiała z nami jechać.

- A to dlaczego?

- Jori i Armas twierdzą, że nie powinnaś zajmować się pielęgniarstwem.

- Co to za bzdury? - zaprotestowała, chociaż w pełni zgadzała się z chłopcami. - Ja chcę pomóc, chcę przyjechać tu jutro i do czegoś się przydać.

- Jeśli wydaje ci się, że znów będziesz miała okazję spotkać się z Tsi, to...

- A na cóż mi Tsi? - wybuchnęła, nie panując nad sobą, lecz Jaskari nie zwrócił uwagi na ton jej głosu.

Westchnął.

- No dobrze, skoro już tak bardzo chcesz. Ale nie mam czasu bezustannie cię pilnować. Dość już się nasłuchałem wymówek z twojego powodu.

- Naprawdę, kochany Jaskari? Jak to miło!

Chłopak znów się zatrzymał.

- Co to za nowy ton? Skąd u ciebie taka śmiałość? Zwykle nie potrafisz się odgrzyźć, przyjmujesz docinki i połajania niczym wycieraczka do butów.

Bo ktoś mnie kocha, Jaskari, nie rozumiesz? Ale tobie się wydaje, że nikt dwa razy nie spojrzy na niezgrabną Elenę, pomyślała triumfalnie.

Jaskari górował nad nią niczym jasny skandynawski szczyt. Z jego twarzy biła surowość i... jakaś niepewność?

- Jori i Armas mają rację, że nie powinnaś być pielęgniarką - rzekł zrezygnowanym tonem. - Ale bogowie jedni wiedzą, do czego tak naprawdę się nadajesz.

- Na przykład na wycieraczkę - odburknęła nowym zdradzającym pewnością siebie tonem. Teraz i Jaskari nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Obiecałem Leonardowi, twojemu ojcu, czuwać nad tobą, Eleno. Przyrzekłem to już dawno temu, ale naprawdę cudownie będzie, jak przestaniesz wreszcie deptać mi po piętach. Idź więc teraz i sama się sobą zajmuj!

Czy w tych ostatnich słowach nie zadrgała jakaś czułość? Wszystko jedno, Elena była odporna na wszelkie reakcje z jego strony.

- Ojej, to Rozalinda! - wykrzyknęła nagie. - Muszę z nią porozmawiać.

Przebiegła przez ulicę, ale zbliżając się do poczciwej kobiety, zwolniła kroku. Jak powinna sformułować pytanie?

- Witaj, Rozalindo, jak poszło?

- Poszło? Co?

Uf, jak to powiedzieć?

- No, chodzi mi o to, czy... czy on cię odprowadził do domu? Mam na myśli Heinricha Reussa von Gera.

Rozalinda wybuchnęła dźwięcznym, dość wulgarnym śmiechem.

- On? O, nie, po nim czegoś takiego nie możesz się spodziewać. Zniknął tak prędko, jakby go sam diabeł gonił.

A Elena myślała, że Heinrich jest taki rycerski!

Wróciła do domu, lecz zaraz potem pobiegła wprost do Indry.

- Obetnij mi włosy! - poprosiła zdecydowanie.

Indra popatrzyła na nią zdumiona.

- Co się z tobą stało?

- O, gdybyś tylko wiedziała! - śmiała się Elena uradowana. - Stałam się nową kobietą, zetnij więc cały ten... gobelin. Jutro chcę ładnie wyglądać.

A w myślach dodała jeszcze: Bo jutro mam się spotkać z Johnem!

12

Indra, bez pardonu wywijając nożyczkami w gęstej czuprynie Eleny, zadawała pytanie za pytaniem.

- Byłaś sama w lesie z Tsi-Tsunggą? Ach, ty wybranko bogów, jak można mieć takie szczęście? Nie wiem, co bym oddała za upojną chwilkę z tą seksbombą. Jak on się zachowywał, co mówił, co wyście robili?

Elena poczuła się rozdarta pomiędzy olbrzymią chęcią wyznania przyjaciółce prawdy a lojalnością wobec Tsi. To, co razem przeżyli, uważała za święte, ale mogła chyba uchylić rąbka tajemnicy, nie zdradzając przyjaciela?

- Głównie rozmawialiśmy - zaczęła nieśmiało.

- Głównie? To wskazuje na coś więcej. Opowiadaj!

Elena westchnęła ciężko, czasami trudno było zachować lojalność..

- Nie, Indro, to zbyt osobiste, nie mam prawa...

- No dobrze, ale jaki on był? Przecież wydaje się, że żądza wprost z niego bije, czy tak jest rzeczywiście?

- I to jeszcze jak - westchnęła Elena. - To znaczy, zachował się bez zarzutu.

- Jaka szkoda.

- On jest bardzo samotny, Indro, potrzebuje kogoś. I pokazałam mu, że jestem jego przyjacielem.

Kiedyś, wprawdzie niechętnie, opowiedziałaby wszystko tylko dlatego, że Indra chciała słuchać. Teraz jednak stała się silniejsza, stać ją było na sprzeciw.

- Przyjacielem? Tylko przyjacielem?

- No tak, wiesz, on nie chciał zniszczyć mi życia.

- Ale miał ochotę?

- Mówiłam ci już, że jest bardzo samotny, nie ma miejsca, do którego by naprawdę przynależał. Nie wolno mu tknąć elfów ani własnych pobratymców w Starej Twierdzy, nikogo.

- Może tak tylko mówił, może wcale nie jest stworzony jak mężczyźni ludzkiego rodu?

- Owszem, jest. - Elena tak gwałtownie odwróciła się ku przyjaciółce, że ta o mały włos nie wbiła jej nożyczek w ciemię.

Cała operacja odbywała się na środku pokoju, bez lustra, Elena wołała na to nie patrzeć.

- To znaczy, chciałam powiedzieć...

- Widziałaś? - Indra z wyczekiwaniem szeroko otworzyła oczy.

- Nie, ale... czułam. Indro, czy mogę już więcej nic na ten temat nie mówić? To, co połączyło Tsi i mnie, jest takie piękne, takie czyste i niewinne. No, może nie takie niewinne, ale piękne.

- Rozumiem, rozumiem, o nic więcej nie będę już pytać. O, szkoda, że nie ja byłam na twoim miejscu. Ty, jak przypuszczam, jesteś jeszcze dziewicą, ale w świecie na powierzchni dziewczęta z mojego pokolenia myślą inaczej. Chętnie same podejmują inicjatywę i...

Elena odwróciła się z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że... że już to robiłaś? To znaczy poszłaś do łóżka z jakimś chłopcem?

- O, zaczęłam już dość dawno temu - Indra machnęła ręką na widok wstrząśniętej twarzy przyjaciółki. - Eleno, twoi rodzice wychowali cię zgodnie z zasadami obowiązującymi w osiemnastym wieku, ale my przecież żyjemy w zupełnie innym stuleciu.

Indra dreptała z niecierpliwości.

- Powiedz mi, gdzie znajdę Tsi-Tsungę? Skoro tak pragnie przyjaciela, to oto jestem. A jeśli potrzeba mu zaspokojenia, z radością się poświęcę. Przyda mu się ktoś taki jak ja, doświadczony, dobry w łóżku, ciepły i czuły, bez zahamowań, które powstrzymują ciebie.

- Ale on się bał, że zajdę w ciążę. To ciebie tak samo dotyczy.

Indra, zrezygnowana, zamknęła oczy.

- Kochane, naiwne dziecko, istnieją przecież środki antykoncepcyjne. Sprowadźcie mi tu tego faceta, a obiecuję, że na pewno nie pożałuje.

Elena żywiła do Tsi jedynie przyjacielskie uczucia, i owszem, uważała go za interesującego, mimo to nie w smak jej była myśl, że Tsi mógłby się zejść z Indrą.

Właściwie nie powinno ją to obchodzić, poza tym nie miała bliższej przyjaciółki niż Indra, mimo to jednak odczuła coś na kształt zazdrości.

Podobnie jak wtedy, gdy Jaskari gwizdnął za przechodzącymi dziewczętami w mieście nieprzystosowanych. Czego ona właściwie chce, mieć wszystkich mężczyzn tylko dla siebie? To przecież idiotyczne!

Z niepokojem popatrzyła na górę obciętych włosów na podłodze.

- Zamierzasz ostrzyć mnie na tyso?

- Ależ skąd! Masz szczęście, że włosy ci się kręcą w naturalny sposób, teraz kiedy się pozbyły dodatkowego ciężaru swej długości, kręcą się same z siebie.

Rzeczywiście, Elena sama zauważyła, że cała głowa zrobiła się jakby lżejsza.

- No, już! - Indra zakończyła dzieło kilkoma ruchami grzebieniem. - Teraz możesz obejrzeć się w lustrze.

- Boję się.

- Nie powinnaś - odpowiedziała Indra z błyszczącymi oczami

Elena sztywno podeszła do lustra w holu. Spojrzeć?

- Ojej - szepnęła, patrząc wreszcie na swe lustrzane odbicie.

- Prawda?

Krótkie kędziory otaczały jej twarz niczym gloria, podkreślając delikatną cerę i ładnie ukształtowane brwi. Wyglądała teraz tak czysto i wyraźnie, z ust wyczierała dziecięca skłonność do uśmiechu, w oczach widniała ta sama dziecinna szczerłość, czoło pozostało odkryte, spadało na nie tylko kilka krótkich loczków.

- Muszę podziękować Tsi - oświadczyła w uniesieniu. - Powinnam była już dawno się na to zdecydować.

Indra westchnęła.

- Od lat próbowaliśmy cię namówić, a wystarczyło, że Tsi szepnął jedno słowo i już pognałaś po nożyczki. Zakochałaś się w tym chłopaku?

- Nie - odparła Elena, piekąc raka. Udało jej się jednak stwierdzić, że rumieniec nie jest widoczny, to tylko ona ma takie wrażenie. Wspaniale to wiedzieć! - Nie, nie jestem zakochana w Tsi, ale mam dla niego naprawdę wiele sympatii.

- Jeśli skończyłaś się już podziwiać, to może coś przegryziemy, a na później zamówiłam wizytę u lekarza w związku z tym odchudzaniem.

Elena roześmiana odwróciła się od lustra.

- Dzisiaj najwidoczniej zaczyna się moje nowe życie, na wszystkich frontach.

No tak, bo jutro przecież czeka ją spotkanie z Johnem, za ratuszem w mieście nieprzystosowanych.

Do tego czasu miało jednak zajść jeszcze wiele dramatycznych wydarzeń.

Jaskari nie mógł oderwać od niej oczu.

- To naprawdę ty? Sądziłem, że przybyła do nas jakaś nowa piękna dziewczyna.

Zabrzmiało to naprawdę obiecująco, mogło oznaczać, że Johnowi też się spodoba.

Naprawdę wyglądała ładnie, potwierdzili to Jori, Armas i wszyscy dorośli.

A Elena wcale nie była pewna, jakie obowiązki przypadną jej tego dnia. Wyszli właśnie z gondoli na rynku w mieście nieprzystosowanych. Od pielęgniarstwa ją uwolniono -

Armas poprzedniego dnia rozmawiał z jej rodzicami, okazali zrozumienie. Już sama możliwość zrezygnowania z zawodu pielęgniarki sprawiła wielką ulgę dziewczynie, która nie mogła znieść widoku strzykawki i igły przebijającej skórę. Jej nowe życie naprawdę się rozpoczęło.

Ale co miała tutaj robić?

Na razie towarzyszyła przyjaciołom i starała się przynajmniej sprawiać wrażenie, że jej potrzebują. Ram najwidoczniej nic nie wiedział, że zrezygnowała z pielęgniarstwa, a ona sama nie miała zamiaru mu o tym mówić. Jeszcze by ją odesłał do domu, zresztą chodzi przecież tylko o ten dzień, tylko dzisiaj chciała im towarzyszyć, by po zakończeniu pracy spotkać się z Johnem. Później ustali jakiś system randek, bo miała nadzieję, że romans się rozwinie.

Ach, życie jest takie cudowne!

Najwyraźniej zmiierzali do ratusza. Doskonale, będzie miała okazję znów zobaczyć się z Johnem.

Marco działał na własną rękę.

Tutaj, w Królestwie Światła, nie mógł liczyć na pomoc czarnych aniołów, musiał sobie radzić sam.

Dziewczynka, zaginiona jedenastoletka... Pierwszego dnia odebrał płynące od niej sygnały, przez skórę wyczuł jej samotność, zagubienie i lęk.

Teraz jednak zapanowała cisza.

Chyba nie umarła?

Rozmawiał z Mórím, przyjaciel także szukał, lecz nie dziewczynki, a Misy. Żaden z nich nie miał pewności, czy Misa znajduje się w mieście nieprzystosowanych, mogła wszak przebywać w każdym innym miejscu w Królestwie Światła.

Móri na razie nie zdołał nawiązać z nią kontaktu. Bez względu na to, gdzie znajdowała się Misa, pozbawiono ją wszelkich możliwości komunikacji. Akurat to ogromnie niepokoiło zarówno Móriego, jak i Marca. Nikt tak jak Madragowie nie potrafił wszak konstruować technicznych wynalazków, a Misa nie dawała znaku życia już od miesiąca.

Móri obawiał się najgorszego.

Marco miał swoje zmartwienia. Czas płynął, dziewczynka cierpiała, wiedział o tym, wyczuł to jeszcze wczoraj, przeniknął go jej ból, zawładnął nim strach dziecka. Wrażliwy, przejmował wszelkie reakcje zaginionej, jak gdyby były to jego własne odczucia.

Przydarzyło jej się coś, czego nie mogła pojąć. Dlaczego rodzice po nią nie przychodzą? Czują się brudna, bardzo bolała ją głowa i okropnie dokuczał głód. Czy oni o niej zapomnieli?

Marco uśmiechnął się wzruszony. Wyczuł nawet, że małej chce się siusiu i boi się kogoś zawołać. Dla wrażliwej nieśmiałej dziewczuszki musiała to być naprawdę rozpaczliwa sytuacja.

Zorientował się, że mała jest niedaleko.

Dzisiaj jednak wszystkie sygnały zamarły. Żadna młodzieńcza dusza nie przeniknęła w jego duszę, nie czuł bicia przerażonego serca, nie potrafił już do niej dotrzeć.

Byle tylko nie było za późno.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi pokoju ratusza, który mu przydzielono. Zakłócono mu koncentrację, zawołał jednak: „Proszę wejść!”

Do środka wsunął się Heinrich Reuss von Gera.

- Słyszałem, że tu jesteś, drogi przyjacielu...

Heinrich Reuss był właściwie przyjacielem rodziny czarnoksiężnika, ale dla Marca natychmiast znalazł miejsce w sercu, podobnie jak wcześniej dla Dolga.

Marco odsunął myśli o dziewczynce i spytał życzliwie:

- Wyglądasz na zatroskanego, ale w tych dniach to chyba nic dziwnego.

- Prawda? Czyż nie jest okropne to, co się dzieje? Zastanawiałem się, czy nie mogę się do czegoś przydać. W czasach, gdy byłem rycerzem w zakonie, dobrze poznałem zło, na tym froncie mam więc sporo doświadczeń i mogę współpracować z tobą i Dolgiem.

Potrafię być może odgadnąć charakter mordercy.

Marco zamyślony pokiwał głową.

- Taka pomoc na pewno by się przydała. Niestety, nie ja zajmuję się tą sprawą, ja po prostu szukam zaginionej Misy z rodu Madragów i małej córeczki burmistrza.

Reuss rozejrzał się po pokoju i najwyraźniej uznał, że to dość dziwne miejsce na prowadzenie poszukiwań.

- Pogonią za mordercą zajmuje się Strażnik Ram - podjął Marco. - Chętnie cię z nim skontaktuję, na pewno wysoko będzie sobie cenił twoją pomoc.

Ale Heinrich Reuss nagle się spieszył.

- Nie, nie, sam go odnajdę, dziękuję za propozycję. Podeszedł do drzwi.

- Hm... zamierzam wynieść się z tego miasta, zbyt dużo w nim plebejuszy. Spodziewałem się tu większej swobody niż w stolicy, ale okazało się, że jest inaczej. Myślisz, że znajdzie się dla mnie jakieś mieszkanie w Sadze? Tak, tak, jak widzisz, zwracam się z prośbą do samej góry, bo przecież to jest twoje miasto - zakończył ze śmiechem.

- Moje i Dolga. Owszem, budują się teraz nowe domy na zboczach na przedmieściach, mogę dopatrzeć, żebyś zamieszkał w jednym z nich.

Reuss nie wyglądał na zadowolonego.

- Myślałem o czymś bardziej w centrum, w pobliżu was dwóch, znam was przecież tak dobrze.

- Żaden z nas nie mieszka w centrum, Dolgo ma dom mniej więcej tam, gdzie właśnie powstają nowe budynki, w pobliżu pozostałej rodziny czarnoksiężnika, to powinno ci chyba odpowiadać.

- Wspaniale! A ty?

- Ja mieszkam w pewnej odległości stamtąd, w pałacu, chociaż umieszczanie mnie w nim uważam za trochę przesadzone.

- Rozumiem. Jeśli chcesz, chętnie dotrzymam ci tam towarzystwa. Albo ty możesz mnie odwiedzić. Jestem naprawdę dobrym kucharzem.

- Dziękuję - uśmiechnął się Marco roztargniony. - Zobaczę, co mogę zrobić, jeśli chodzi o mieszkanie dla ciebie.

Jak najprzejmiej wyprosił Reussa i znów mógł skupić się na dziewczynce.

Niestety, nie doczekał się odzewu.

Śmierć Opryszka wzbudziła zamieszanie i zdumienie. Nie mieściła się w ramach tego wszystkiego, z czym dotychczas mieli do czynienia.

Zadano mu cios w plecy jakimś przestarzałym rodzajem wojskowej broni kłującej. Tyle zdołał ustalić patolog, choć samej broni nie odnaleziono. W pobliżu zwłok znajdowały się dwa naboje z broni strzeleckiej, najwidoczniej wypadły komuś z kieszeni, identyczne z tymi, które tkwiły w zamordowanych kobietach. Niestety, ten znaleziony przez Jaskariego nie na wiele się przydał. Chłopak zbyt długo obracał go w rękach i przez to zatarły się wszelkie inne odciski palców, na dwóch ostatnich nabojach także ich nie było.

- Co to za człowiek nosi przy sobie cały zapas staroświeckich kul? - zastanawiał się Ram, kiedy spotkali się przed ratuszem.

Winy słyszał to i w duchu ostro zareagował na słowo „staroświecki”, bardzo mu się ono nie spodobało, zastanawiał się nawet, czy nie zemścić się na Strażniku, doszedł jednak do wniosku, że to zanadto skomplikuje mu życie. Ten człowiek był po prostu głupi, nie pojmował, z jak wysokim stopniem oficerem ma do czynienia.

Tak przynajmniej sam uważał. Żałował, że nie może wyjawić, kim naprawdę jest, niestety, teraz to już niemożliwe, wszyscy przecież powtarzają, że wielokrotnym mordercą musi być wojskowy. Jakiś idiota stwierdził, że tego rodzaju broni w tamtych czasach używali wyłącznie oficerowie.

Dobrze ukrył naboje, nie miał już dłużej śmiałości nosić ich przy sobie.

W jego spojrzeniu pojawił się niepokój, przypomniał sobie, że właściwie zwierzył się kiedyś komuś ze swej przeszłości. Stało się to zaraz po przybyciu do Królestwa Światła, kiedy rany na duszy wciąż pozostawały świeże. Opowiedział wszystko o swej stanowczo za młodej żonie, był od niej wówczas dwadzieścia lat starszy, opuszczając świat na powierzchni Ziemi w tak dramatyczny sposób miał lat pięćdziesiąt pięć. Miało to miejsce przed ośmiu laty, licząc według rachuby czasu obowiązującej w Królestwie Światła.

Wybrał się wtedy na przechadzkę, było to jeszcze zanim przeprowadził się do miasta nieprzystosowanych, wkrótce po tym, jak przybył do krainy we wnętrzu Ziemi.

Wzburzony, przepełniony żądzą zemsty, zrozpaczony tym, że nie może powrócić na Ziemię, by ukarać żonę i jej kochankę, natknął się na młodego chłopaka, który moczył wędkę w Złocistej Rzece. Wszyscy wiedzieli, że w tej rzece wcale nie ma ryb, chłopiec jednak oświadczył, że właśnie dlatego w niej łowi. Pragnął po prostu w spokoju napawać się ciszą, wsłuchać w ptasi świergot. Jeśli będzie miał dość szczęścia, może uda mu się zobaczyć jakieś dzikie zwierzę.

Mężczyzna usiadł przy nim i przez chwilę gawędził z chłopcem. Potem w urywanych zdaniach wylał z siebie cały swój gniew na wszystko, na żonę, na niesprawiedliwość, jakiej doświadczył, opowiedział, jak bardzo ubodła go jej zdrada i jakiego uszczerbku doznała godność. Wyznał też, jak bardzo zależy mu na odwecie. Najchętniej w taki sposób, aby mocno zabolęło to żonę.

Teraz nie pamiętał już, jak wiele powiedział, czy ukrył swą prawdziwą nienawiść i żądzę mordy, czy też mówił o tym jasno i wyraźnie. Chłopiec przysłuchiwał mu się uprzejmie, zadał też kilka pytań, jakich, teraz już nie pamiętał.

Był to jasnowłosy, niebieskooki nastolatek w typie skandynawskim. Nosił jakieś dziwaczne imię, chyba brzmiało z fińska.

Teraz chłopak zapewne już dorósł. Czy nie był podobny do tego wysokiego młodzieńca, który im tego dnia towarzyszył? Był też tutaj chyba wczoraj. Nie dosłyszał jego imienia, musi spytać, oczywiście bardzo dyskretnie, nie, to chyba ktoś inny, nie bardzo przypominał sobie tę twarz. Pamiętał jedynie, że ze swymi pięćdziesięcioma pięcioma latami czuł się przy nim jak starzec. W końcu rozgniewał go właśnie fakt, że nie jest już młodzieńcem, i postanowił odejść.

Tamten chłopak jako jedyny trochę go niepokoił, poza tym był absolutnie pewien, że nikt nie wie o jego oficerskiej przeszłości.

Potrzeba odzywała się w nim coraz natarczywiej, musi znaleźć jakąś kobietę, musi znaleźć ją, Doris. Przecież ona tu jest, gorączka trawiąca ciało stawała się nieznośna. Nie może już dłużej czekać.

W drodze do biura burmistrza Elena spotkała w korytarzu siostrę rewizora. Kobietę, którą oceniła jako nudną, nieciekawą gospodynię domową, zainteresowaną jedynie opinią sąsiadów na temat jej nowych mebli.

Elena uznała, że powinna zatrzymać się i przywitać. Pani popatrzyła na nią niemal z wdzięcznością, sprawiała wrażenie zagubionej w okazałym budynku.

- Człowieka ogarnia taka bezradność - rzekła Elena, nawiązując do wszystkich strasznych wydarzeń, jakie spadły na dotknięte nieszczęściem miasto.

- No właśnie, prawda? - przytaknęła kobieta, najwyraźniej chętna chwilę porozmawiać. - Te nieszczęścia mają zostać pogrzebane, kiedy tylko zakończy się obdukcja. Przykra historia, tyle rozpaczy w tak wielu domach.

- Rzeczywiście - kiwnęła głową Elena, ze wstydem przyznając w duchu, że wcale o tym nie pomyślała. - Najstraszniejsze jest jednak chyba to, co spotkało burmistrza i jego żonę.

- I jej siostrę - prędko uzupełniła kobieta.

- Tak, wzięła całą winę na siebie, a to ciężko znieść.

- Owszem - przyznała siostra rewizora. - Ale tu chodzi nie tylko o to...

Wyrzała przez okno na płynącą w dole rzekę.

Elena popatrzyła na nią pytająco.

- Właściwie to rodzinna tajemnica - powiedziała dama po chwili wahania. - Nigdy bym jej nie zdradziła, gdyby i tak wszystko nie wyszło na jaw, kiedy dziewczynka zniknęła.

Burmistrzowa nie może mieć dzieci, lecz jej mąż marzył o dziecku, a siostra

burmistrzowej miała nieślubne dziecko, urodzone jeszcze w tamtym świecie. Kiedy przybyli do Królestwa Światła, przedstawili dziewczynkę jako córkę burmistrzostwa.

- Ach, to staje się bardziej zrozumiałe - stwierdziła Elena.

- Co takiego?

- To, że nad stratą dziecka najbardziej rozpaczała siostra żony burmistrza.

- Burmistrzowa bardzo kocha swoją siostrzenicę i traktuje ją jak własną córkę. Nie wspominając już o tym, co on czuje dla dziewczynki. Ta mała jest żenicą jego oka - zapewniła siostra rewizora. - Lecz oczywiście trzeba rozumieć, że rodzona matka bardzo boleje nad utratą dziecka.

Kobieta przynajmniej zachowywała lojalność wobec swoich przyjaciół.

Elena zmieniła temat rozmowy.

- O ile dobrze pojęłam, prowadzi pani dom bratu?

- Tak, to prawda, nie życzy sobie żadnych obcych kobiet w gospodarstwie.

Elena uśmiechnęła się.

- Słyszałam, że bardzo lubi kobiety. Bez niczego złego w tym określeniu.

- To nie do końca prawda - niechętnie powiedziała dama. - On po prostu chce wywoływać takie wrażenie. Owszem, z przyjemnością zaprasza różne panie do restauracji i pokazuje się na mieście z najładniejszymi, ale nigdy nie przyprowadza ich do domu, nigdy. Na pewno wiele kobiet się na tym sparzyło, on jest przecież doskonałą partią, ale nie mają czego szukać.

Czy należy traktować jej słowa jako ostrzeżenie? Czyżby Elena powinna trzymać się z daleka od rewizora? Czy w głosie jego siostry zabrzmiał ton zazdrości?

Nie, raczej nie, ta kobieta sprawiała wrażenie szczerzej, nie interesowały jej plotki, tylko fakty.

Jaskari zawołał Elenę, mieli wejść do biura burmistrza. Dziewczyna ciepłym, przyjaznym uśmiechem pożegnała siostrę rewizora. Zmieniła swą nieprzychylną opinię na temat tej pani.

W najbliższych dniach nie tylko tę opinię miała zmienić.

13

Ram w biurze burmistrza przemawiał niezwykle ostrym jak na niego tonem.

- Naszym celem w Królestwie Światła było dobre samopoczucie wszystkich jego mieszkańców, dlatego pozwoliliśmy, abyście urządzili to miasto tak, jak sobie życzycie.

Nie możecie powrócić do świata na powierzchni Ziemi, czego pragnie większość z was, staraliśmy się jednak uczynić dzielnice niemal identycznymi jak te, z których przybyliście.

Nadużyliście jednak naszego zaufania, to miasto jest niczym piętno na Królestwie Światła, nie wiemy już, co z tym począć.

Burmistrz był innego zdania.

- Kiedy tylko uda nam się pojmać mordercę, który krąży gdzieś wśród nas, wszystko powróci do stanu normalności - stwierdził stanowczo.

- Owszem, ale tutejszy stan normalności trudno uznać za dobry, przeciwnie, podziemne dzielnice to prawdziwy skandal, będziemy zmuszeni je zamknąć.

Mieszkańcy miasta nieprzystosowanych popatrzyli na siebie. Szef policji zaprotestował:

- Ależ przecież przestępstwa miały miejsce na górze.

- Nie mówimy o ostatnich zbrodniach, lecz o codzienności, W tym mieście zgromadziło się zbyt wielu kryminalistów, nie możemy już dłużej patrzeć na to przez palce. Musimy działać. Albo pozwolicie, by Święte Słońce mogło tutaj oddziaływać, albo też zmuszeni będziemy dokonać... filtracji.

Elena spostrzegła, że tę wypowiedź przyjęto wyjątkowo niechętnie.

Na wielu twarzach ujrziała strach. Nie wiedziała, na czym polega ta filtracja, najwidoczniej nie jest niczym przyjemnym.

Ram podjął, wracając do sprawy, którą już poruszył:

- Wiemy, że Święte Słońce nie jest dobre dla dusz, w których zagościło czyste zło.

Kiedyś wypróbowaliśmy tu jego działanie i rezultat okazał się przeciwny do zamierzonego. Jak wicie, Słońce wzmacnia cechy człowieka, zwykli porządni ludzie stają się lepsi, szlachetniejsi, natomiast źli stają się jeszcze gorsi, a ich zło oddziałuje na Słońce. Takiego efektu za wszelką cenę musimy uniknąć. Rada Starszyny proponuje więc filtrację.

Wśród zebranych dało się słyszeć westchnienie lęku.

Elena popatrzyła na nich. Był tu burmistrz, oczywiście, wraz z szefem policji i rewizorem, dalej John - o radości, często poszukiwał jej spojrzenia - Generał, kilku urzędników, a także wyjątkowo trzy kobiety, które poznała już wcześniej: żona i szwagierka burmistrza oraz siostra rewizora. Z nieznanых powodów znalazł się tu również Heinrich Reuss.

Trzymał się blisko Dolga, teraz współpracownika Rama. Marca nie było, zebranych towarzyszyli natomiast przyjaciele Eleny: Jaskari, Jori i Armas.

Ze skupionej twarzy Dolga wyczytała: poszukiwany zbrodniarz znajduje się w tym pokoju, widziała jednak, że Dolgo wciąż nie ma pewności, kto nim jest.

Znów rozległ się głos Rama:

- Doskonale wiemy, że absolutna większość mieszkańców tego miasta to uczciwi i zorni ludzie, którzy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności trafili do świata kompletnie im obcego. I właśnie ze względu na nich będziemy działać bardzo ostrożnie i z wielką rozważą. Reszta natomiast,.. Nie było naszym zamiarem przyciągnięcie tu najgorszych szumowin ludzkości, nie mamy ochoty zamykać ośrodków rozrywki, niezbędna jest jednak pewna sanacja. Mam nadzieję, że mogę liczyć na pomoc wszystkich zebranych w tym pokoju.

Szef policji i burmistrz byli w stanie tylko pokiwać głowami. Ciężko przyjęli tę naganę.

Elena natomiast bardzo chciała się dowiedzieć, na czym polega filtracja.

Mężczyźni zaczęli rozważać szczegóły. Elena stała w pobliżu siostry rewizora i zapytała niemal szeptem:

- Pani mówiła o pogrzebach, nie wiedziałam, że coś takiego odbywa się w naszym kraju, przecież pod Świętym Słońcem nikt nigdy nie umiera.

- O, tutaj ludzie umierają, mamy księży i rozmaite religie, oddzielne kościoły i cmentarze.

- Rozumiem.

Elena za żadne skarby nie mogła pojąć, że ktoś z własnej woli mieszka w tym mieście, skoro poza nim roztacza się tak cudowna kraina.

Obcięła włosy! Co, u diabła, sobie myśli? Jak mogła mi to zrobić? Teraz wszystko zepsute, wszystko! Ona już nie jest Doris, Doris tak nie wygląda, krótkie włosy to takie wulgarne, ta dziwka do niczego nie jest mi już potrzebna.

O Boże, jakże ja jej nienawidzę, udawała Doris, zmarnowała tylko mój czas.

Muszę zacząć wszystko od początku.

Ale i tak zemszczę się na niej, oszukała mnie i zasłużyła na karę. Potem znów będę szukał prawdziwej Doris.

Tok jego myśli został nagle przerwany. Padło jakieś imię, imię, które kiedyś już słyszał. Jaskari...

O kim oni mówią?

Tak, to ten wysoki młody człowiek, śmieszny z tymi swoimi sterczącymi mięśniami. To on przed ośmiu laty siedział nad brzegiem i łowił ryby. Niebezpieczeństwo! Ten młodzieniaszek może go zdradzić.

- Czy nikt nie słyszał krzyku w parku?

Elena zaśłuchała się w głos Johna, bardzo podniecający jej zdaniem.

Ram odwrócił się do niego i odpowiedział:

- Słyszało go kilka osób, staramy się ustalić dokładnie, kiedy doszło do zbrodni. Nasi ludzie badają właśnie szczegóły. Kiedy już je poznamy, zaczniemy prowadzić przesłuchania pod kątem alibi. To będzie zadanie dla Joriego i Armasa.

Wyróżniony młody Jori starał się zachować kamienną twarz. Nikogo jednak nie oszukał.

Armas przyjął to z większym spokojem, jego oblicze jak zwykle pozostało niezgłębione.

Ustalano dalsze plany, żaden z nich jednak nie dotyczył właściwie Eleny. Narada wreszcie dobiegła końca. Elena, wychodząc na korytarz, zdołała precyzyjnie się do Johna.

- Witaj - uśmiechnął się życzliwie. - Pamiętasz o naszej umowie?

- Oczywiście - odszepnęła. - Ale jak wrócę wieczorem do domu?

- Odwiozę cię, rzecz jasna.

- Ach, tak, dziękuję.

- Do zobaczenia - pożegnał ją i pospieszył do swoich zajęć.

Elena pożałowała teraz, że nie uważała podczas narady, może dowiedziałyby się, dokąd zmierzał i, zupełnym przypadkiem, znalazłaby się w tym samym miejscu.

Nie, poszedł najpierw do swojego biura, a tam przecież nie mogła iść, mimo wszystko trzeba mieć trochę poczucia wstydu.

Z uznaniem patrzył na jej nową fryzurę. Nic nie powiedział, ale oczy mu zabłyśły. I tak już usłyszała na swój temat mnóstwo komplementów. Głupio, że ostrzygła się tak późno, dopiero teraz przekonała się, że nie jest tylko bladą kopią pięknej Berengarii. Jest Elena, ma własną osobowość, wcale nie taką beznadziejną. Świadomość tego przydawała jej poczucia własnej wartości. Mogło się to przydać niezgrabnej, szarej Elenie, wróbelkowi wśród piękności w rodzinie i wśród przyjaciół. Teraz była prawie jedną z nich. Prawie, nie wolno jej za wiele sobie wyobrażać, ale Tsi-Tsungga wskazał jej drogę. Dziękuję, Tsi, jesteś naprawdę wspaniałą. No i podobała się Johnowi, to najważniejsze.

Jaskari otrzymał polecenie towarzyszenia rewizorowi do jego gabinetu na jednym z wyższych pięter. Ktoś napomknął, że za zbrodniami mogą kryć się motywy finansowe. Chudy rewizor przyjął to bardzo źle i zażądał, by ktoś wraz z nim przejrzał księgi. Chciał udowodnić, że nie ma nic a nic na sumieniu. Tym kimś musiał być Jaskari, jako jedyny bowiem pozostawał bez przydziału. Wszystkim innym wyznaczono już zadania, a ponieważ przynajmniej na razie nikt nie potrzebował pomocy lekarskiej, medycy nie mieli nic do roboty.

Wjechali windą na górę. Ratusz był o wiele większy, niż się tego spodziewali w mieście nieprzystosowanych, zresztą wszyscy młodzi musieli zmienić zdanie na temat wielkości tego miasta. To, co kiedyś nazywano osadą, okazało się jednym z największych miast w kraju.

Jakie to przykre, że tak mało osób potrafiło się naprawdę odnaleźć we wspinałym Królestwie Światła. Zbyt wielu wprost czepiało się pazurami ziemskiego życia. Ram opowiadał, że wśród przybyszów jest ogrom łez i tęsknoty. Nie był jednak w stanie nic na to poradzić, mógł jedynie starać się zapewnić im egzystencję w warunkach jak najbardziej zbliżonych do poprzedniej.

Teraz cała sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej i żadna z rządzących sił nie potrafiła znaleźć rozwiązania. Przynajmniej na razie, zapowiedział Ram tajemniczo. Podczas sprawdzania ksiąg rachunkowych rewizor nie przestawał mierzyć Jaskariego wzrokiem od stóp do głów. Chłopak nie bardzo znał się na liczbach, rachunki wydawały mu się jednak w porządku i tak też powiedział.

- Jesteś bardzo wysportowany - oświadczył nagle rewizor. - Masz umięśnione ciało. To stwierdzenie wywołało zdumienie Jaskariego.

- Rzeczywiście, muszę przyznać, że lubię być w formie.

Na kościstej twarzy pojawił się grymas przypominający uśmiech.

- Dziewczynom pewnie to się podoba, masz wiele wielbicielek?

Jaskari uznał, że rozmowa zaczyna zbaczać na dziwne tory.

- Nie narzekam - rzekł krótko. - Ale nie bardzo mam czas na takie sprawy. Studia pochłaniają mnóstwo energii, moi rodzice, Villemann i Mariatta, jeśli ich znasz, wiele się po mnie spodziewają. Jeśli o mnie chodzi, to jestem zadowolony z tego, co robię, chociaż zamierzam później poświęcić się weterynarii, bo to mnie znacznie bardziej interesuje, natomiast dla Eleny medycyna jest prawdziwą tragedią. Dobrze wiedzieć, że nie będzie musiała się dłużej męczyć.

Sam się zorientował, że plecie trzy po trzy, lecz rewizor zdawał się go nie słuchać, najwidoczniej zapomniał też o księgach rachunkowych. Stał tylko i patrzył na muskularne ciało Jaskariego.

Chłopak speszył się i mruknął jakieś głupstwo o tym, że i rewizor chyba nie narzeka na brak adoratek.

- Ach, to na ogół przechwałki. Przyłgnęła do mnie etykiетка uwodziciela, a skoro już tak się stało, trzeba jakoś na nią zasłużyć - uśmiechnął się mężczyzna pod nosem. -

Chociaż nikt by chyba nie przypuszczał, że mam już ponad sześćdziesiąt lat, prawda?

Owszem, pomyślał Jaskari, ale na głos tego nie powiedział. Udał szczerze zaskoczonego, a rewizor rozpląnął się w uśmiechu.

- Proszę mi zdradzić - spytał Jaskari. - Kim jest ten dyrektor personalny?

Oczy rewizora zwięzły się podejrzliwie. Chłopak wyjaśnił więc pospiesznie:

- Pytam tylko ze względu na Elenę, mam wrażenie, że ona się nim interesuje.

- Ach, tak? Co my wiemy o naszym miłym Johnie? Przebywa tutaj od niedawna, taki szczeniak, stanowczo za młody na to odpowiedzialne stanowisko, jest jednak bardzo ambitny i obowiązkowy, lubi kierować podwładnymi, na pewno wysoko zajdzie. I cóż, zadowolony jesteś z moich rachunków?

- Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku - zapewnił Jaskari. - Zresztą przypuszczenie, że za tak dramatycznymi zbrodniami mogą kryć się motywy finansowe, uważam za dość kiepski pomysł.

Ostra twarz księgowego natychmiast się rozjaśniła.

- Ja też tak sądzę.

Po przyjacielsku objął ramiona chłopaka i serdecznie mu podziękował.

Jaskari postanowił zejść na dół schodami. Zaliczał się do usportowionych typków, wykorzystujących każdą najdrobniejszą nawet okazję, żeby się poruszać. Tym razem nie było więc mowy o windzie. Przystojniaczek, tak nazywała go Indra. Zajęcia ruchowe nie należały do jej ulubionych.

Gdzieś na górze uchyliły się jakieś drzwi. Na schodach rozległy się kroki. Jaskari zatrzymał się gwałtownie.

- Halo? - zawołał, myśląc że zapomniał czegoś w biurze rewizora i ten wyszedł za nim. Jego krzyk echem odbił się od ścian.

Nikt nie odpowiedział, kroków też nie było już słycać.

E tam, wzruszył ramionami, pewnie mam jakieś omamy.

Jak wszystko w Królestwie Światła, ratusz zbudowano z najlepszych, najjaśniejszych materiałów. I jak wszędzie w mieście nieprzystosowanych, zniszczenia i brud rzucały się w oczy.

Że też ludzie chcą tu mieszkać, dziwił się w myślach.!

W następnej chwili klatką schodową wstrząsnął huk wystrzału. Upłynęły jeszcze dwie sekundy, zanim Jaskari stwierdził, że został trafiony. Ciało zareagowało, palący ból przeszył lewy bok, w oczach mu pociemniało, osunął się na podłogę przy drzwiach prowadzących na parter. Nie słyszał ani nie widział, że nad nim na górze otworzyły się jakieś drzwi i natychmiast zamknęły.

Elena w nadziei, że John wyjdzie zaraz ze swego biura, zwlekała z opuszczeniem ratusza.

Hol całkiem już opustoszał i w imię przyzwoitości powinna zaraz odejść.

Nie bardzo pojmowała, co to znaczy być zakochaną, nie wiedziała, jak należy się zachować. Czuła jednak, że zbytniego zapału nie powinna okazywać.

Na klatce schodowej huknął strzał. Elena na moment znieruchomiała, nie mogąc zidentyfikować ani zlokalizować odgłosu. Zaraz potem jednak usłyszała głucho uderzenie

tuż pod drzwiami i ten odgłos wydał jej się jeszcze straszniejszy. Zdecydowanie podeszła do drzwi i otworzyła je.

Jaskari? Na podłodze?

Zalany krwią.

Ależ, na miłość boską!

Odrzuciła dziwaczną myśl, że to chłopak spadł ze schodów z takim hukiem. Nie zastanawiając się nad ewentualnym niebezpieczeństwem, uklękła przy nim i usiłowała go podnieść.

Skąd ta krew?

Poplamiona koszula.

Gdzieś w boku.

Na kilku piętrach uchyliły się drzwi, pierwsi nadbiegli dwaj urzędnicy.

- Sprowadźcie ambulans! - zawołała, zrywając koszulę z Jaskariego.

Urzędnicy pognali po pomoc. Elena na kilka krótkich sekund została sama z chłopakiem.

Ocknął się, jęcząc z bólu.

- Rana nie jest głęboka - zapewniła pospiesznie. - Skóra rozcięta z góry na dół, w jednym miejscu odsłonięte żebra. Wydobrzejesz, ale, na miłość boską, tyle w tobie krwi!

- Sprowadź...

- Tak, tak, ambulans już jedzie. Próbuję zatamować krew twoją koszulą, mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Jaskari westchnął i odprężył się.

- Ale pech! - skarżyła się Elena pod nosem. - To przecież moje marzenie, że też musiałeś to być ty, co za idiotyzm!

- Jakie marzenie? - wystękał Jaskari.

- Uratować ukochanego od śmierci, trzymać go w ramionach, szeptać do ucha słowa pociechy. A ty wszystko zniszczyłeś.

- Przykro mi... że... to tylko... ja.

- Mnie też przykro, w dodatku naprawdę wcale nie chcę być pielęgniarką. No cóż, te twoje buły mięśni wyjątkowo do czegoś się przydały. Przyjęły najgorsze uderzenie. No, nareszcie są ludzie.

W milczeniu opatrzyła go resztkami koszuli. Fakt, że czasami naciskała trochę za mocno, wynikał z jej pomieszanych uczuć, gniewu, rozczarowania i sporej dawki lęku. Widziała wokół siebie wiele stóp, słyszała zatroskane głosy, lecz w tym miejscu było za ciasno, by ktoś jeszcze mógł zająć się Jaskarim.

- Boli cię? - zapytała dość opryskliwie.

- Wprost szaleńczo, ale jestem dzielny. Kto mi tak zgasił światło?

O tym nie zdążyła jeszcze pomyśleć. Pojawił się też jakiś stanowczy mężczyzna, urzędnik, i zaczął kierować wszystkimi, Elena w jednej chwili stała się zbędna. Wyszła jednak do karetki i patrzyła, jak odjeżdża. Jaskari był bezpieczny.

Dopiero teraz zastanowiła się nad tym, co się stało. Kto mógł strzelać i dlaczego?

Dlaczego akurat do Jaskariego? Śmierć Opryszka w pewnym sensie potrafiła zrozumieć, bo ten typ naprawdę potrafił drażnić ludzi, ale spokojny, nie wadzący nikomu Jaskari?

Ostatnie, co usłyszała, to okrzyk załogi karetki skierowany do ludzi wychylających się z licznych okien ratusza.

- Wszystko z nim będzie w porządku!

Właściwie dobrze to było wiedzieć. Przeszył ją dreszcz, kiedy uświadomiła sobie, że mogłoby być inaczej. Jaskariego już by nie było? Przeróżające!

Zatopiła się w myślach do tego stopnia, że dopiero po pewnym czasie dostrzegła poruszenie wśród ludzi zgromadzonych po drugiej stronie ulicy.

Patrzyli w górę, na dach wysokiego ratusza.

Elena przeszła do nich. W oknach nikogo już nie było.

Serce jej się ścisnęło. Dzień katastrof najwidoczniej jeszcze się nie skończył.

Dostrzegła na górze jakiegoś człowieka, stał plecami oparty o barierkę, osłaniając się przed kimś czy przed czymś, co znajdowało się z przodu. Z dołu nie było widać, kto to jest.

Gdzieś z tyłu nadbiegł Ram, a zaraz za nim jego Strażnicy. Elena zdążyła zawołać

- Co się stało?

Ram biegł tak prędko, że dotarł do niej zaledwie urywek odpowiedzi:

- Dyrektor personalny, zagoniony na dach, wezwał mnie przez...

Strażnicy wbiegli do ratusza, kilkoro ludzi pospieszyło za nimi.

Elena została. Miała wrażenie, że ktoś wycisnął jej powietrze z płuc.

Dyrektor personalny? To przecież John. Jej John, z którym miała się spotkać po...

Ach, nie, co się dzieje na tym dachu?

Z dołu widziała zaledwie czyjąś głowę i ramiona, kiedy jednak zrobiła z dłoni daszek nad oczami, zorientowała się, że w istocie jest to ciemnowłosa głowa Johna. Zmuszono go, by cofał się ku barierce, nagle jednak rzucił się w bok, wzdłuż krawędzi, w stronę bliższą rzece.

Oby udało mi się zobaczyć, kto go goni, modliła się w duchu.

Napastnik jednak stał w głębi i zapewne starannie się pilnował, by się nie pokazać.

John trzymał ręce nad głową, ale to zdawało się nie mieć wpływu na atakującego. Ram, Strażnicy, pospieszcie się, i wy z najwyższych pięt, moglibyście...

John zniknął jej z oczu, zmuszony do dalszego cofania się wzdłuż przylegającej do rzeki krawędzi budynku.

- Och, nie! - zawołała drżącym głosem i jęknęła cicho. - John!

Potem nastąpiło to straszne: strzał i krótki krzyk, krzyk, który się urwał.

Nogi ugięły się pod Elena, osunęła się na kolana na chodnik. Zebrani wokół ludzie krzyknęli przerażeni i nagle wszyscy zaczęli się ruszać. Niektórzy pobiegli do ratusza, inni na brzeg rzeki.

- Widziałem, jak spadał - oświadczył stojący na brzegu chłopiec. - Zleciał prosto do rzeki, jeden wielki plusk!

Ram polecił odciąć ratusz, tak aby nikt nie mógł wejść ani wyjść. Elena zdołała podnieść się na nogi i pobiegła nad rzekę. Płynęła w tym miejscu dość bystrym nurtem, nieco niżej był spadek i śluza, może odwrotnie, nie bardzo pamiętała. Rzeka nie przemieniała się w wodospad, lecz i tak budziła respekt.

Johna nigdzie nie było widać.

- Nic dziwnego, został przecież postrzelony - usłuźnie informował ją chłopiec. - Na pewno poszedł na dno jak kamień.

Elena już chciała skakać do wody, lecz jeden ze Strażników w porę ją powstrzymał.

- Nic tu nie możesz poradzić - stwierdził. - Prąd jest bardzo silny, dawno już go zniósł.

Spróbujemy odnaleźć zwłoki, zanim dotrą do wiru przy tamie. Jeśli przejdą tamtędy, nigdy już ich nie zobaczymy.

Ludzie skutecznie działający lub po prostu ciekawscy gdzieś zniknęli, Elena została sama.

Jakiż to zły los mnie prześladowuje, myślała zrozpaczona Pierwsza miłość mojego życia i nie dane jej było nawet ujrzeć świtu.

14

Wrócili do domu, do cudownej Sagi, do jej czystości i pięknych kwiatów. Unosiły się tu świeże zapachy, nie było spalin ani cuchnących śmieci, ulice lśniły bielą marmuru, z ogrodów dobiegał śpiew ptaków, dojrzewały owoce i jagody.

Elena przysiadła na brzegu łóżka Jaskariego w salce miejskiego szpitala. Chłopak usiłował ją pocieszać:

- Musisz się z tym pogodzić, Eleno, masz tylu przyjaciół, a jego prawie nie znałaś.

- Ale ja mu się podobałam, przypuszczam, że mógłby się nawet we mnie zakochać.

- No, dlaczego by nie, to wcale nie takie trudne.

- I ty to mówisz? - mruknęła. - Ty, który nie możesz na mnie patrzeć?

- Doprawdy? Lubię się z tobą drażnić, bo to takie łatwe, wszystko bierzesz na poważnie, me powinnaś tak robić.

- Kiedy człowiek nie ma o sobie dobrego mniemania, zawsze przypuszcza najgorsze.

No, ale dzięki Bogu przynajmniej, że ty z tego uszedłeś z życiem. Nie pojmuję tylko, dlaczego. Dlaczego właśnie ty i dlaczego John?

Do oczu znów napłynęły jej łzy.

- Jeśli chodzi o niego, to nic mi na ten temat nie wiadomo - powiedział Jaskari zamyślony. - Natomiast jeśli chodzi o mnie... Cały czas się nad tym zastanawiam. Czy coś powiedziałem, coś zrobiłem? Nic nie przychodzi mi do głowy, oprócz...

Dopiero po chwili Elena spytała:

- Tak?

- Nie, to tak dawno temu, niemożliwe, by miało z tym jakiś związek.

- Co masz na myśli? Opowiedzieć chyba możesz.

- Tak, skoro już i tak leżę do niczego nieprzydatny. Właściwie jestem zupełnie zdrowy, mogę wstać i chodzić, ale uparli się mnie tu zatrzymać, bo przypuszczają, że mogłem doznać wstrząsu mózgu przy upadku. A ja wcale nie spadłem ze schodów, Eleno, byłem już prawie na dole, kiedy strzelił. Strasznie głupio się tutaj czuję. Żałuję, że nie wybrałem tak jak Jori, on przynajmniej jest strażnikiem, co prawda przez małe s, i upłynie zapewne wiele czasu, nim będzie mógł się pisać wielką literą. Ale zanim ja ukończę studia, Eleno, minie kilka lat, a w tym czasie będę absolutnie nikim.

- Przestań jęczeć i opowiedz mi tę historię.

- Co? Jaką historię? Ach, o to ci chodzi To nic ważnego, ale dobrze, jak chcesz. To było przed wielu laty, łowiłem ryby w Złocistej Rzece...

- W Żłocistej Rzece? Przecież tam nie ma ryb.
 - Wiedziałem o tym, ale i tak postanowiłem łowić. Jeśli przez cały czas będziesz mi przerywać głupimi komentarzami, to...
 - Nie, przepraszam, słucham już oniemiała z podziwu.
- Jaskari zadowolony spostrzegł, że Elena zaczyna odzyskiwać humor.
- No więc siedziałem tam na brzegu i w pewnej chwili podszedł do mnie jakiś facet, przysiadł się i zaczął gadać. Był jakiś dziwny.
- Elena słuchała w milczeniu, bała się mówić, nie chciała, żeby znów nazwał ją głupią.
- Z początku zachowywał się jak normalny człowiek, lecz nagle zaczął ziać nienawiścią, i to taką, z jaką ani przedtem, ani potem nigdy się nie zetknąłem. To było... straszne. Sądzę, że pod koniec nie zdawał sobie nawet sprawy, że jestem przy nim. Znalazł się w swoim własnym świecie. Najwidoczniej całkiem niedawno przybył do Królestwa Światła, bo jego wspomnienia były bardzo świeże.
- Wspomnienia ze świata na zewnątrz?
 - Tak, wyglądało na to, że ma wielką potrzebę podzielenia się z kimś swoimi przeżyciami. Sprawiał wrażenie wprost naładowanego żądzą zemsty, przekraczając absolutnie wszystko, o czym dotychczas słyszałem. Ja w tym wszystkim byłem nieistotny, kiedy już zaczął mówić, przestał zauważać moją obecność. Wylewał z siebie żale dla własnej przyjemności. Drugiego takiego fanatyka nie spotkałem. Szalenie!
 - No dobrze, ale co on takiego mówił?
 - Zaraz do tego dojdę, chciałem ci tylko najpierw przedstawić nastrój, nakreślić obraz, ale skoro jesteś taka niecierpliwa, to...
 - Przepraszam, przepraszam.
- Elena dwoma palcami zacisnęła usta na znak, że zamyka je na kłódkę.
- No dobrze, o czym to ja mówiłem, ciągle mi przerywasz. Już wiem, on był oficerem, wysokim rangą, chyba podpułkownikiem.
- Elena zdusiła okrzyk „aha”, ale od kiwnięcia głową się nie powstrzymała.
- No właśnie - rzekł Jaskari. W tym białym otoczeniu wyglądał naprawdę przyjemnie, był opalony, silny i przystojny. - Właśnie - powtórzył. - Te naboje z wojskowej broni, dlatego zresztą zacząłem o nim myśleć. Z jego słów wynikało, że nienawidzi wszystkich kobiet, uważa, że nie można na nich polegać, bo są fałszywe i nic nie warte, a to dlatego, że żona ośmieliła się urazić jego dumę.
 - Typowo męski sposób myślenia - zaczęła Elena, ale ostrzegawcze spojrzenie Jaskariego nakazało jej milczenie. Zdołała nawet przemilczeć kolejne unizone „przepraszam”.
 - Nie powiedział tego wprost, ale całkiem wyraźne było, że żona go zdradziła, a on uznał, że jego honor ogromnie na tym ucierpiał, między wierszami dał natomiast do zrozumienia, że sam często zabawiał się z innymi kobietami.
- Elena powstrzymała się od kolejnego komentarza na temat typowo męskiego sposobu myślenia.
- Ten człowiek coraz bardziej pogrążał się w urazie, nienawiści i chęci zemsty. Wreszcie przestał myśleć realnie i jego słowom brakowało konsekwencji. Sprawiał na mnie wrażenie szaleńca, psychopaty, najgłupsze, że zacząłem się go bać, tak bać, że nie

śmiałem nawet na niego spojrzeć. Siedziałem ze wzrokiem utkwionym w splawik, który przecież się nie poruszał. Popatrzyłem na niego tylko na początku, dlatego nie pamiętam w ogóle, jak wyglądał, można wręcz powiedzieć, że wcale go nie widziałem.

- To bardzo niedobrze - rzekła Elena z namysłem; tym razem Jaskari jej nie przerwał. - Czy mówił coś jeszcze, skoro sądzisz, że to on może teraz grasować?

- Nie, chociaż gadał jak najęty, wylewał z siebie żale strumieniem, na koniec była to już błazeńska paplanina o tym, że wszystkie kobiety są Doris i wszystkie zasługują na śmierć. Miałem wrażenie, że jest bliski orgazmu.

Elena udała, że ostatniego zdania nie słyszy.

- Doris? Tak miała na imię?

- Tak, twierdził, że ona wkrótce tutaj przybędzie, a wtedy on odpłaci jej za wszystkie swoje cierpienia. Będzie ją dręczył i zabije, zabije, zabije! Prawdziwy wariat. Chyba miałem szczęście, że nic mi nie zrobił. Wydaje mi się, że nie zdawał sobie sprawy, iż się przede mną ujawnił.

Elena milczała, bardzo jej się to nie podobało. Wreszcie spytała:

- Naprawdę nie pamiętasz, jak on wyglądał?

- Bardzo słabo, przypuszczam, że mógł mieć około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat. Pamiętam jego ubranie, pochodziło raczej nie stąd, bo wydało mi się jakieś obce. Porządne, biała koszula i ciemne spodnie, nienagannie wyczyszczone buty, bez względu jednak na to, jak długo nad tym myślę, nie potrafię sobie przypomnieć jego twarzy. Przypuszczam, że miał raczej ciemne włosy niż jasne, ale podobnie jest z większością podejrzanych.

Elena, nie zwlekając, z informacjami Jaskariego poszła do Rama. Strażnik uznał je za niezwykle cenne i powtórzył zamyślony:

- Doris, tak jak pierwsza z zamordowanych kobiet. A on sam? Porządnie ubrany, nienagannie, włosy raczej ciemne niż jasne, tak jak większość podejrzanych, wiek od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat, no tak, mamy burmistrza, szefa policji i rewizora.

- Generała - dodała Elena.

- Tak, i Heinricha Reussa.

- Nie, on się nie liczy, jest przecież jednym z nas, w dodatku o wiele młodszy od podejrzanego.

Ram popatrzył na nią.

- Kiedy Reuss tu przybył, miał właśnie około pięćdziesięciu lat, o tym nie możemy zapominać. W dodatku ma jakieś problemy ze sobą.

Elenie bardzo nie podobała się ta myśl. Wuj Heinrich zawsze był taki miły i życzliwy, dopóki mieszkał niedaleko nich. Potem dobrowolnie przeniósł się do miasta nieprzystosowanych, nigdy nie zdołała zrozumieć, dlaczego.

Ram ostrzegł ją przed powrotem do tego miasta, morderca najwidoczniej wpadł w desperację, niemal co dzień popełniał nową zbrodnię, a Elena zaliczała się do najbardziej zagrożonych.

Elena jak najszybciej zapewniła go, że wcale nie ma ochoty tam wracać. John już nie żył, jedyne, czego chciała, to zostać w domu i w spokoju lizać rany.

Marco z Ludzi Lodu, baśniowy książę Czarnych Sal, czuł się deprimująco bezradny. Bez trudu powinien sobie poradzić z odnalezieniem dziewczynki przy użyciu siły myśli, ale wszelkie sygnały zamarły. Nastąpiła taka cisza, iż obawiał się, że dziecko nie żyje. Nie bardzo jednak mógł w to uwierzyć. Marco dobrze znał wibracje śmierci, a kiedy skupiał wszystkie swe duchowe siły na dziewczynce, nie wyczuwał ich. Pierwszego dnia zorientował się, że jest gdzieś w pobliżu, potem sygnały ustały. Dokąd ją uprowadzono? Czyżby tak daleko, że nie mógł do niej dotrzeć?

Tak wcale być nie musiało. Marco nie był uzależniony od odległości dzielącej go od poszukiwanego człowieka. Mógł porozumieć się nawet z tymi, którzy znajdowali się bardzo daleko, ale docierał do ich duszy, a nie do ich ciała. W taki właśnie sposób, powróciwszy na Ziemię z Czarnych Sal, szukał swych współcześnie żyjących krewniaków z Ludzi Lodu. Otrzymał sygnały, że Nataniel, który zawsze był mu najbliższy, żyje, nie mógł jednak stwierdzić, gdzie jest, dopóki sam Nataniel nie nawiązał z nim kontaktu.

Podobnie było teraz, z tą jednak różnicą, że sygnały wysyłane przez dziewczynkę urwały się.

Marcowi udostępniono niewielkie pomieszczenie w wydziale szefa policji, do skoncentrowania się potrzebował bowiem całkowitej izolacji. Bardzo źle się czuł w mieście nieprzystosowanych i ogromnie tęsknił za Sagą i swoją tamtejszą pracą. Zajęcie jego okryte było tajemnicą, młodzi wiedzieli jednak, że Marco, Móri i Dolgo współpracują z Obcymi, Strażnikami, Lemurami i Madragami w Srebrzystym Lesie.

Raz Joriemu udało się wychwycić kilka przypadkowych słów. Marco wiedział o tym, chłopiec niemal zastrzygł uszami. Nie był pewien, ile Jori słyszał, raczej nie więcej niż właściwie banalne stwierdzenie: „Uratować świat i ludzkość”.

Nie byli osamotnieni w takich ambicjach. Różnica polegała tylko na tym, że Obcy i ich sprzymierzeńcy dysponowali znacznie lepszymi środkami, znali odpowiedź. Gdyby tylko zdołali znaleźć to, czego im brakowało! Powoli, bardzo powoli, przez stulecia upływające na Ziemi, udawało im się coś zbudować. Cel zbliżał się nieustannie, teraz był już bardzo blisko. Byle tylko ludzie na Ziemi nie uprzedzili ich, w negatywnym rozumieniu tego słowa. Czy oni zdają sobie sprawę, że zmiierzają ku zagładzie?

Marco westchnął w duchu. Wybuchy atomowe na powierzchni Ziemi dawały się odczuć także w centralnym punkcie globu. Ich skutki rozprzestrzeniały się aż tutaj. Dotychczas wybuchy nie miały miejsca tuż nad Królestwem Światła, większość odbywała się ponad Czarnymi Górami, Górami Umarłych.

Pewnego dnia jednak jakiś kochający władzę prezydent czy premier wpadnie na pomysł dokonania próby jądrowej tuż ponad fantastyczną krainą jak ze snu, a wówczas zniszczenia mogą być dotkliwe.

Marco podniósł się i wyjrzał przez okno. Ta część miasta nieprzystosowanych wydała mu się szczególnie nieprzyjemna. Owszem, tu i ówdzie znajdowały się oazy spokoju, zwłaszcza w starszych dzielnicach miasta, tutaj jednak dominowały ciężkie szare bloki z betonu, czworokątne, pozbawione wszelkiej fantazji, świadectwo ludzkiej chciwości i żądzy władzy. Pieniądze i pozycja oraz towarzysząca im zazdrość przejęły władanie tym obszarem.

Nikommu nie mogło to dać szczęścia.

Niepokoił się o Elenę. Słyszał teorię, że jest ona jakby prototypem ofiar mordercy.

Tą sprawą jednak zajmował się Dolgo, natomiast Móri - zaginięciem Misy. Ciekaw był, czy przyjaciele poczynili jakiś postęp w poszukiwaniach, czy też podobnie jak on czuli się bezradni.

Dookoła ludzie wszędzie szukali dziewczynki, dotychczas jednak nie natrafiono na żaden ślad. Nikt już nie wierzył, że dziecko znajduje się w mieście nieprzystosowanych. Marco jednak wolał podejmować próby nawiązania z nią kontaktu właśnie stąd.

Czyżby mieli do czynienia z czarami? Skoro żadnemu z trzech obdarzonych paranormalnymi zdolnościami mężczyzn, Marcowi, Móriemu i Dolgowi, się nie powiodło, czyżby przeszkadzała im jakaś niezwykła moc? W takim razie będą musieli uciec się do bardziej radykalnych metod. Na razie jednak wciąż chciał postępować w miarę łagodnie. Z okna widział zaledwie fragment rzeki płynącej w dole, nie wyglądała ładnie, brudna i dzika. Biedaczysko, ten, który do niej wpadł, szkoda go, szkoda też Eleny, która zdążyła się do niego tak przywiązać, nie bardzo poważnie, lecz dostatecznie, by po nim płakać. Miał nadzieję, że dziewczyna przyjmie to jako słodko-gorzka historię, miłość, która nigdy nie rozkwitła, bo przerwała ją śmierć. Młode dziewczęta o usposobieniu romantyczek długo potrafią się czymś takim karmić, a Elena, jak sądził, jest romantyczką.

Widział, że wciąż poszukują zwłok w rzece, to znaczy, że jeszcze ich nie znaleźli, zły znak! Prawdopodobnie ciało przepłynęło przez śluzy i wpadło do któregoś z kanałów. Niektóre z nich bowiem przechodziły pod korytem rzeki. Dlaczego tak było, nie wiedział, ale też nie interesowały go rozwiązania techniczne. Jego moc miała zupełnie inny charakter.

Można tylko żywić nadzieję, że ten człowiek zginął zastrzelony i nie spotkała go śmierć przez utopienie, to byłoby zbyt brutalne.

Jak to możliwe, by takie straszne rzeczy działy się w spokojnym Królestwie Światła? Marco siedział sobie akurat w domu u Móriego, grali w szachy, partia zapowiadała się naprawdę ciekawie, Tiril dyskretnie przygotowała dla nich obu drinki, wydawało się bowiem, że będą grali dość długo, i wtedy właśnie podniesiono alarm.

Bez paniki wprawdzie, to Ram zatelefonował z prośbą, by przybyli do miasta nieprzystosowanych, sytuacja bowiem wymknęła się spod kontroli.

Było to przed trzema dniami. Od tamtej pory wypadki tylko narastały. Żaden z nich niczemu nie zdołał zapobiec i ta świadomość działała jeszcze bardziej deprymująco. Marco tęsknił za powrotem do interesującej partii szachów, za atmosferą życzliwości i spokoju panującą w domu Móriego.

Dolgo twierdził, że mają do czynienia z dwoma różnymi przestępstwami, zapewne miał rację, wszystko na to wskazywało. Żaden z nich nie wierzył, by zabójca kobiet porwał jedenastoletnią Weronikę, a już na pewno nie Madraga Misę.

Dlaczego Misa? Dlaczego właśnie Misa? Ram powiedział, że Najwyższa Rada Obcych wystąpiła z ostrzeżeniem, ogromnie się niepokoili, sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli Strażników. Nie odnaleziono rewolweru, z którego strzelano do Johna i do Jaskariego, ale większość mieszkańców miasta posiadała broń. Nikt nie wpadł na żaden

trop. Nawet Marco ani jego przyjaciele, Móri i Dolgo, nie mogli znaleźć rozwiązania kolejnych zagadek.

Sytuacja przedstawiała się jednak trochę inaczej, zarówno Móri, jak i jego syn Dolgo poczynili pewien postęp. Móri postanowił sięgnąć do swych dawnych czarnoksięskich umiejętności. Galdry dawno odłożył na półkę, stwierdził bowiem, że tu, w Królestwie Światła, nie ma potrzeby odwoływania się do magii.

Teraz znów je wyciągnął.

Długo przyglądał się prastarym magicznym runom, leżącym przed nim na stole w domu w Sadze. Ze wszystkich stron napłynęły wspomnienia. Szmat czasu minął od tamtych lat. Nauki u siry Eirikura z Vogsos, cudowne chwile, kiedy poznał Tiril i kiedy pomagał jej starymi runami.

Teraz inna dziewczynka była w potrzebie. Zniknęła, być może groźba zawisła nad jej życiem, nikt niczego nie wiedział. Ale wyjaśnienia zagadki dziecka podjął się Marco, Móri miał odnaleźć swą dawną przyjaciółkę, Misę, kochanego, miłego Madraga.

Czarnoksiężnik starannie oglądał galdry. Oto te, które chronią przed złem, o różnej mocy, a to runa otwierająca zamki. I te umożliwiające widzenie duchów, przynoszące szczęście w polowaniu, w łowieniu ryb, przeciwdziałające bólowi i chorobom. Budzące gniew wroga, i tamte...

Nie, nie miał runy bezpośrednio umożliwiającej odnalezienie zaginionych osób. Do jej sporządzenia potrzeba wielu różnych składników, nie przypuszczał, aby mogły się one znaleźć tutaj, w Królestwie Światła. W zamyśleniu podniósł jedną z run. Może ta?

Wielka runa marzeń sennych, wyryta w srebrze lub na białej skórze w noc letniego przesilenia. Jego runa sporządzona była na białej niegdyś jak śnieg, teraz pociemniałej ze starości skórze, lecz rysunek pozostawał całkiem wyraźny. Należało na niej spać, a kiedy słońce stanie najniżej, człowiekowi przyśni się to, o czym śnić pragnie.

Móri uśmiechnął się, w Królestwie Światła trudno było powiedzieć, że słońce stoi wysoko czy nisko, przez cały czas bowiem znajdowało się w jednym i tym samym punkcie, tylko nocą jego światło było nieco bardziej przytłumione. Wziął jednak stary kawałek skóry i wsunął go pod poduszkę. Pozostawało teraz tylko mieć nadzieję, że Lea, ich gospodyni, nie zechce przed nocą zmienić pościeli, ale nie przypuszczał, by tak się miało stać. Usiadł przy stole, zasłonił twarz dłońmi i skupił się wyłącznie na tym, co miało mu się przyśnić: na Misie. Chciał we śnie zobaczyć, gdzie jest i jak się miewa.

Dolgo działał najskuteczniej.

Rozmyślał o tym, co dotychczas nie przyszło do głowy nikomu innemu.

Poszedł do lasu rozciągającego się w pobliżu miasta nieprzystosowanych, do tego samego lasu, gdzie Tsi i jego wielka wiewiórka Czik uratowali Elenę.

Tsi w lesie teraz nie było, ale bo też i nie jego szukał Dolgo. Towarzyszył mu wierny przyjaciel Nero, który patrzył na swego pana ze zdziwieniem.

Dolgo znalazł w lesie niewielkie wzgórze pokryte soczystą zieloną trawą, rosły na nim smukłe brzozy. Norwegowie i inni mieszkańcy północnych krain rozpoznaliby białe, niekiedy pokrzywione pnie górskiej brzozy o drobnych listkach. Drzewa i trawa wyglądały tak przyjemnie, że Dolgo miał ochotę wyciągnąć się na ziemi, przymknąć oczy i tylko odpoczywać. Nie miał jednak teraz na to czasu, usiadł ze skrzyżowanymi nogami i zaczął cicho nucić. Brzmiało to jak wabienie. Nero nastawił uszu.

Po pewnym czasie w powietrzu rozległ się szum, Dolgo otworzył oczy i uśmiechnął się do tłoczących się wokół niego elfów.

- Kim jesteś, ty, który znasz nasze dźwięki? - spytał jeden z przybyszów głosem dźwięcznym jak dzwoneczek.

Dolgo opowiedział o swym wieloletnim pobycie w Gjain, dolinie elfów. W gromadzie zapanowało poruszenie, rozległy się śmiechy, elfy podeszły bliżej, chciały go dotknąć, pieściły jego ludzką skórę, do ucha szeptały tajemnice. „Ty jesteś przecież Lanjelin, nasz Lanjelin”, a on śmiał się wraz z nimi. Zaraz jednak spoważniał.

- Dobrze moce w Królestwie Światła potrzebują waszego wsparcia, przyjaciele. Wy, którzy krążycie wszędzie, szybciej niż przenosi się myśl, czy możecie poprosić kogoś, kogo znam, aby tutaj przybył?

Elfy bardzo chciały spełnić jego życzenie.

- Wezwijcie więc mego przyjaciela Cienia, on wywodzi się z rodu Lemurów i zapewne przebywa gdzieś w ich siedzibach. Pragnę też spotkać Lemurów, którzy niegdyś byli błędnymi ognikami. Znacie ich, przybyłyście tutaj wszak wraz z nimi. Proszę też, abyście powiadomiły duchy mego ojca Móriego, ale musicie je ładnie poprosić, nie stawiaj się na byle jakie żądanie. I... - zawahał się. - Tak, sądzę, że powinnyście przywołać także przodków Ludzi Lodu. To spora gromada, ale zmieści się na równinie pod tym wzgórzem. No i jeszcze bardzo proszę, abyście wszystkie tutaj wróciły. Wasza wiedza i zdolności są dla nas, ludzi, nader cenne.

Elfy przyjęły jego pochwały z zadowoleniem. Chwilkę rozmawiały między sobą, potem zniknęły.

Dolgo powrócił do bardziej ziemskich metod komunikacji, do jakich zaliczał się telefon komórkowy. Wezwał najpierw swego ojca czarnoksiężnika, który akurat zakończył medytację nad snem, mającym mu się przyśnić. No i Marca, uradowanego możliwością, opuszczenia dusznego pokoju w ratuszu. Obaj natychmiast wsiedli do swoich gondoli i wyruszyli do lasu w miejsce wyznaczone przez Dolga.

Kiedy czekał na nich, pojawił się zdziwiony i nieco urażony Tsi-Tsungga ze swoją wiewiórką na ramieniu.

- Czy my na nic ci się nie przydamy?

Dolgo wstał.

- Ależ mój drogi, zaliczyłem cię do elfów, spodziewałem się, że przybędziecie wszystkie. A może potrzebne ci specjalne zaproszenie? - dokończył z uśmiechem.

Tsi wysunął język, krzywiąc się ironicznie.

- Nie, po prostu nie wiedziałem, ja sam nie uważam się za elfa, jestem z nimi tylko spokrewniony.

- Dobrze w każdym razie, że się pokazałeś. Nadchodzą też ojciec i Marco, niemal równocześnie.

Nero powitał ich z radością.

Obaj przybyli nie mogli się pogodzić z tym, że sami nie wpadli na ten pomysł. Dolgo naprawdę postąpił mądrze, przywołując wszystkich, którzy mogą im pomóc Dlaczego oni...?

- Cień! - uradował się Dolgo na widok kroczącego przez las starego przyjaciela i obrońcy. Rosłemu Lemurowi towarzyszyło wielu jego krewniaków.

- Zła krew pojawiła się w Królestwie Światła - rzekł Cień, kiedy już się przywitani. - Słusznie postąpiłeś zwołując nas tutaj.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - obiecał inny Lemur.

Zaczęli się teraz schodzić całymi gromadami. Elfów było znacznie więcej niż poprzednio, a Lemurowie to naturalnie błędne ogniki, które Dolgo jako dziecko ocalił od samotności.

Przybyło osiem dostojnych, dumnych duchów Móriego. Zwierzę, którego dawne rany w pełni się już zagoiły, po przyjacielsku przywitało się ze swym dawnym kompanem Nerem. Inne duchy, niegdyś przerażająco szpetne, budzące grozę swym wyglądem, tu, w Królestwie Światła, odzyskały dawną urodę. Móri wzruszony powitał je wszystkie, a Nidhogg zaraz spytał o Tiril. Móri powiedział mu, że żona miewa się jak najlepiej, i zaprosił, by kiedyś ich odwiedziły.

Duchy najwyraźniej nie miały nic przeciwko temu.

Pojawiły się też duchy Ludzi Lodu, przodkowie Marca. Tengel Dobry, Sol, Villemo, Heike, Shira, Mar, Ulvhedin, Ingrid i jeszcze kilkoro. Ucieszyli się ogromnie, że mogą w czymś pomóc. Marco pojaśniał z radości.

Elfy jednak ostrzegły:

- Nikt z tych, którzy się tu zgromadzili, z wyjątkiem Marca, Móriego i Dolga, nie może wejść do miasta nieprzystosowanych.

- Ależ dlaczego? - zdziwił się Dolgo.

- Ponieważ Obcy pragną, aby nasze czyste dusze przyrody pozostały nie splugawione - odparł Tsi-Tsungga. Mocno trzymał swoją wiewiórkę, wyraźnie przestraszona obecnością Nera i wilka. Dolgo poradził mu, aby pozwolił im obwąchać zwierzątko, i kiedy tak się stało, znów zapanował spokój.

Móri jednak nie mógł pogodzić się z tym, co powiedziały elfy.

- W mieście nieprzystosowanych nie jest aż tak źle. Większość mieszkańców to na ogół porządni ludzie.

- No widzisz, sam to powiedziałeś - zauważył Cień. - Na ogół. Są wśród nich złe indywidua, a zwykli ludzie... No cóż, większość z nich rzeczywiście nikomu nie wyrządzi krzywdy, ale normalni ziemianie nas nie akceptują. Zdarzyło się, że niektóre z istot przyrody zostały ukamienowane, a to dlatego, że były inne i budziły strach wśród zwyczajnych ludzi. My możemy się z wami stykać, ponieważ jesteście wyjątkowi, wyrozumieli, akceptujecie nas, lecz inni, szczególnie ci z miasta nieprzystosowanych? O, nie, dziękujemy. Ale co możemy dla was zrobić? Słyszeliśmy, że jedno z Madragów zniknęło. Z wielką chęcią zajmiemy się odszukaniem tak miłej i dobrej istoty. Kto jeszcze zaginął?

Marco opowiedział o dziewczynce, a Dolgo o złym człowieku, który zabijał kobiety, ostatnio zaś zgładził Opryszka i dyrektora personalnego ratusza.

Obiecali przeszukać całą krainę, od końca do końca, z wyjątkiem miasta nieprzystosowanych. Samo przez się rozumiało się także, że nie zapuszczą się do północnej części kraju, należącej wyłącznie do Obcych, ani też na południowe krańce. Młodzież zawsze interesowało, co się tam znajduje, ale nikt nigdy niczego się nie dowiedział.

Zaczęto opracowywać strategię i brzozy lasek napełnił się szeptami. Niezwykły to był widok, dumni czarnoocy Lemurowie, wspaniałe duchy i przodkowie Ludzi Lodu, rozmaite istoty natury, towarzyszące rodzinie czarnoksiężnika, no i elfy krążące wysoko i nisko między grupkami, podlatujące do uszu ludzi i leśnych stworów.

Porozumienie, najwidoczniej łączące jakże różne od siebie istoty, czyniło obraz jeszcze piękniejszym.

Móri żałował, że nie wszyscy ludzie z Królestwa Światła mogą to zobaczyć. Czy w ogóle wiedzieli, jak wspaniali sprzymierzeńcy żyją w ich lasach?

15

- Przydaliby nam się Madragowie - stwierdził Móri zatroskany. - Niestety, nie wiemy, gdzie ich szukać.

- Ale my wiemy - powiedział Cień, a szeroki ruch jego ręki dotyczył także Lemurów. - Jeśli zgodzisz się pożyczyć nam swoją gondolę, Móri, natychmiast ich sprowadzimy, potrwa to zaledwie kilka minut.

- Doskonale, weźcie gondolę, jeśli oczywiście potraficie nią kierować.

Odpowiedziało mu urażone spojrzenie. Cóż za niemądre pytanie!

- Mam wyrzuty sumienia w stosunku do Rama. Poczuję się dotknięty, jeśli później dowie się o tym spotkaniu.

- Sprowadzę go - obiecał Dolgo. - Wiem, gdzie jest, albo raczej po prostu go wezwę. Zaledwie kwadrans później przybyli więc również Madragowie i Ram.

- Proszę, proszę - rzekł Ram z uznaniem. - Doprawdy niecodzienne zgromadzenie i, zaiste, doskonały pomysł, Dolgo. Przyznaję, że zapędziliśmy się w ślepy, zaułek i ogromnie lękamy się o losy obu zaginionych. Teraz nareszcie coś może zacząć się dziać.

Tsi podniósł rękę w górę.

- Czy mogę coś powiedzieć?

- Oczywiście, drogi przyjacielu - zachęcił go Ram.

Wszyscy zauważyli, że Tsi ogromnie spodobało się to określenie.

- Wydaje mi się, że ta młoda dziewczyna, od której bije zmysłowość... Elena... powinna zostać w domu, dopóki cała sprawa się nie skończy.

Szkoda, że Elena tego nie słyszy, pomyślał Móri. Zahukane, niepewne siebie dziewczęta powinny dowiadywać się o takich opiniach.

Ale Elena naprawdę bardzo się zmieniła przez te ostatnie dni. Zrobiła się bardziej otwarta, ładniejsza, bardziej pewna siebie.

Jaką rolę w tym odegrałeś, zielony przyjacielu? zastanawiał się podejrzliwie.

Wiele głosów przyklasnęło słowom Tsi. Nie tylko on wyczuwał, że Elena jest w niebezpieczeństwie.

- Powiadomię Tiril - obiecał Móri. - Ona już się zatroszczy o to, żeby nie wypuszczać Eleny z domu. Koniec z wyjazdami do miasta nieprzystosowanych.

- W ogóle koniec z wyjazdami - poprawił go Cień, a Móri przyznał mu rację.

Po szczegółowej naradzie gromada zaczęła się rozchodzić. Każdej grupie przydzielono konkretny teren. Przodkowie Ludzi Lodu skorzystali z okazji, by pogawędzić chwilę ze swym ubóstwianym krewniakiem Markiem, chcieli pomóc w wypełnieniu jego zadania, a mianowicie w odnalezieniu dziewczynki. Marco przystał na to, poprosił jednak, by mieli oczy i uszy otwarte na wszelkie zgrzyty w pięknym krajobrazie Królestwa Światła.

Gromada elfów wzniosła się niczym jasne, niemal przezroczyste stado ważek ponad lasem. Duchy Móriego błyskawicznie rozpląły się wśród drzew, Nero miał wielką ochotę towarzyszyć Zwierzęciu, był jednak niestety ziemskim stworzeniem i nigdy nie zdołałby dotrzymać mu kroku, został więc ze swym ukochanym panem, Dolgiem, i czujnie nastroszył brwi. Zaraz zaczęły węszyć!

Na porośniętym trawą zboczcu zaroilo się od najprzeróżniejszych duszków przyrody. Wreszcie zostali już tylko ludzie i Madragowie.

- Jesteśmy zbyt ciężko przywiązani do ziemi, by móc krążyć po świecie tak jak one - uśmiechnął się Madrag Chor. - Ale wdzięczni jesteśmy za wszelką pomoc, jest nas wszak tylko czworo i nikogo nie możemy utracić. A już zwłaszcza Misy, którą my trzej tak kochamy.

Ram i Móri popatrzyli na siebie, w końcu Ram rzekł z wahaniem:

- Kiedy odnajdziemy Misę... Jak słyszycie, mówię „kiedy”, a nie „jeśli”, uważam, że wszyscy czworo powinniście zwrócić się do któregoś z naszych świętych lekarzy, przypuszczam, że ktoś będzie potrafił wam pomóc w odzyskaniu płodności.

Madragowie popatrzyli po sobie. Czy to znaczy, że mogliby się rozmnażać? Że przyszłoby ich na świat więcej?

Misa, muszą odnaleźć Misę! W ich wielkich bawolich oczach zapłonął nowy blask.

Móri powiedział:

- Nie wiem, co wy zamierzacie zrobić, ja natomiast przywiozłem tutaj swoje galdry. Postanowiłem przeprowadzić eksperyment, spróbować odnaleźć Misę przy użyciu czarnoksięskiej mocy. Chciałbym się tym zająć tutaj, w tym baśniowym lesie. Ktoś z nas powinien tu zostać, chętnie to zrobię.

Postanowiono, że piękne wzgórze w lesie elfów będzie odtąd miejscem spotkań. Móri mógł pełnić funkcję łącznika. Przyjęto jego propozycję z zadowoleniem, miał tu siedzieć ze wszystkimi swoimi magicznymi rekwizytami i przyjmować wiadomości albo istoty, które przybędą zdać relację ze swych poszukiwań. Zostawiono mu do dyspozycji całe mnóstwo rozmaitego, w tym elektronicznego, sprzętu, używanego przez Strażników, który Ram miał w swojej gondoli. Wszyscy uznali to za doskonałe rozwiązanie.

- A my wrócimy do miasta nieprzystosowanych - oznajmił Ram. - Tylko my możemy tam wejść. Nie, wy Madragowie nie powinniście nam towarzyszyć. Ludzie są zbyt głupi i ograniczeni, nie chcę, by ktokolwiek was obraził, próbujcie w jakiś inny sposób nawiązać kontakt z Misą.

- Usiłujemy już od wielu dni - odparł Tich. - Ale musiano ją pozbawić wszelkich możliwości komunikacji, właśnie dlatego przypuszczamy, że została porwana i gdzieś uwięziona.

- Misa żyje - spokojnie odparł Móri. - Wszyscy trzej, Marco, Dolgo i ja, jesteśmy o tym przekonani. Inaczej, nakierowując na nią myśli, wyczulibyśmy wibracje śmierci.

- Ale nie wiecie, gdzie ona jest? - spytał Tich nieszczęśliwy.

- Nie, czujemy tylko, że żyje.

- Będziemy szukać dalej - zapewnił Tich zmęczonym, zrezygnowanym głosem.

Wszyscy zniknęli, Móri miał nadzieję, że przynajmniej Nero dotrzyma mu towarzystwa, ale pies ani na krok nie odstępował Dolga. Móriemu nie bardzo podobała się myśl o psie w mieście nieprzystosowanych, wiedział jednak, że syn będzie dobrze pilnował czworonożnego przyjaciela.

Czas płynął.

Móri mógł wreszcie skoncentrować się na swoich runach.

Od czasu do czasu ktoś mu przeszkadzał, pojawiły się dwa elfy, ciągnąc z zapalem opierającego się zająca, który chrupał marchewkę na polu jakiegoś wieśniaka. Przecież wszystkich podejrzanych należało sprawdzić nieprawdaż? Móri uroczyście podziękował im za czujność, ale gdy tylko elfy zniknęły, wypuścił przejeżdżonego szaraka.

- Staraj się poprzestać na tym, co możesz znaleźć w przyrodzie, trzymaj się z dala od upraw wieśniaków - z uśmiechem mruknął do zwierzątka, które prędko pokicało. - Inaczej znów padniesz ofiarą ambitnych elfów.

Do czego on już doszedł? Miał właściwie śnić o Misie, ale to mogło stanowić pewien problem, gdyby pojawili się kolejni informatorzy. Może lepiej wprawić się w stan transu albo przynajmniej poprobować medytacji, transu nie powinno się przerywać, łatwiej przerwać medytację.

Wyjął kawałek białej skóry z nakreśloną na nim runą marzeń sennych. Dla wszelkiej pewności zabrał też ze sobą i inne runy.

Rozpalił maleńkie ognisko, rzucił w płomienie garść szaławii i zaczął wdychać jej aromat. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, trzymając w jednym ręku runę snów, a w drugim inną, bardzo potężną. Pozostałe runy ułożył w półkolu przed sobą, po drugiej stronie ogniska. Zanucił prastarą magiczną pieśń. Jego głos w cichym lesie zabrzmiał osobiście i niezwykle sugestywnie.

Misa siedziała przed wszystkimi skomplikowanymi aparatami zapłakana. Jej wielkie wrzuszające oblicze, jednoznacznie wskazujące na to, iż wywodzi się ona z bawolego ludu, naznaczyła tragiczna sytuacja, w jakiej się znalazła. Oczy, ciemne i piękne jak u zwierzęcia kopytnego, zaczerwieniły się od płaczu. Kręcone włosy, spadające na szerokie czoło i niemal zasłaniające oczy, były wilgotne i splątane. Trójpalczystymi dłońmi nieustannie ocierała łzy albo szeroki, długi nos. Czuła się taka samotna, tak bardzo osamotniona w swej decyzji, na jej barkach spoczęła wielka odpowiedzialność. Za lustrzaną szybą leżała dziewczynka, nieprzytomna już teraz z głodu i pragnienia. To Misa mogła rozpalić gasnącą iskrę życia, gdyby zaakceptowała warunki postawione jej przez porywacza. „Zdradź wszystkie tajemnice Srebrzystego Lasu, a dziewczynka

będzie żyła, inaczej... To ty ją zabijesz, ty będziesz odpowiedzialna za jej śmierć. Jeśli pozwolisz jej umrzeć, staniesz się jej morderczynią”.

Tajemnice Srebrzystego Lasu... Wielkie laboratoria Obcych... Gdyby wpadły w ręce złego człowieka, nie przygotowanego do obsługi tak skomplikowanej aparatury, mogłoby to oznaczać prawdziwą katastrofę.

Misa doskonale wiedziała, do czego ten zły człowiek zamierza wykorzystać wielkie dzieło Obcych. Powiedziano jej to. Dwie rzeczy były najważniejsze: zdobyć władzę nad Królestwem Światła, a potem dostać się do zewnętrznego świata. A na koniec władza nad całą Ziemią.

Misa, biorąca udział w pracach w Srebrzystym Lesie, zdawała sobie sprawę, że to absolutnie nierealne. Niestety, ten, kto ją porwał, nie dawał sobie przemówić do rozsądku. Misa była świadoma, że jeśli zdradzi tajemnicę wielkiego projektu, tragedia dotknie nie tylko Królestwo Światła. Już prawie udało im się znaleźć rozwiązanie, jak uratować nieszczęsny świat na powierzchni Ziemi i mieszkającą tam ludzkość. Wciąż brakowało jednak kilku szczegółów. Pojedynczy człowiek z miasta nieprzystosowanych nie powinien obracać wniwecz całego projektu tylko dlatego, że żąda tego jego mania wielkości.

Misa podniosła głowę. Co to takiego? Zorientowała się, że coś się dzieje.

Czyżby ktoś ją wzywał? To niemożliwe, odebrano jej wszelkie możliwości nawiązania kontaktu z kimkolwiek poza jej więzieniem. Nie miała żadnych aparatów podsłuchowych, które mogłaby wykorzystać, żadnych nadajników. Dysponowała wprawdzie tego rodzaju urządzeniami, lecz możliwość ich zastosowania była bardzo ograniczona. Nadawały się tylko i wyłącznie do zbierania danych dotyczących tajemnicy i prowadzenia eksperymentów, zleconych jej przez porywacza.

Coś jednak niewątpliwie się działo, wyczuwała jakąś niezwykle pieśń skierowaną właśnie do niej.

Czyżby to czarnoksiężnik Móri? Osobliwe dźwięki przypominają jego zaklęcia, wywodzą się z zamierzchłej przeszłości, nic podobnego już chyba w świecie nie istnieje.

Tak, to on ją wzywa, usiłuje odnaleźć.

Ach, co zrobić, by ją usłyszał? Jak się z nim skomunikować, przecież ona nie posiada żadnych nadprzyrodzonych zdolności?

Może któreś z urządzeń? Może uda jej się wysłać jakąś wiadomość? Już wcześniej próbowała, bez powodzenia, ale teraz czuła, że ma z nim kontakt. Czy mogła podłączyć Móriego do któregoś z aparatów? Gorączkowo przesuwiała dłońmi po urządzeniach, myślała tak, że wprost trzeszczało jej w mózgu, wspaniałym niezwykle mózgu, tak bardzo przewyższającym ludzki umysł.

Wszystko jednak, co miała przed sobą, okazało się niewystarczające.

Ale Misa nie doceniła zdolności Móriego.

„Móri, wysłuchaj mnie”, prosiła zrozpaczona, „Móri, ja nie potrafię przesyłać myśli, ale proszę, wysłuchaj mnie, pomóż mi wydostać się z tego więzienia”.

Odetchnęła głęboko, rzeczywiście nie bardzo jej się udawało, niemniej jednak Móri był doskonałym odbiorcą przekazów telepatycznych, raz nawet zdołał przechwycić myśl małego żuka, miałby więc nie słyszeć Misy?

Misa otrzymała nowe sygnały.

„Słyszę cię, gdzie jesteś?”

Niech będzie, co ma być, postanowiła dalej prowadzić ten niezwykle dialog.

„Nie wiem, Móri, jestem zamknięta w sterylnym pomieszczeniu, nie mam pojęcia, do czego go używano, mam przed sobą mnóstwo urządzeń, ale nie chcę ich wykorzystywać, pomóż nam, Móri, dziewczynka umrze, jeśli nie będę posłuszna”.

„Dziewczynka? Czy ona jest tam z tobą?”

„W sąsiednim pokoju, nie widzi mnie, dzieli nas gruba szklana tafla, ona umiera, nie dostanie nic do jedzenia ani do picia, dopóki nie zdradzę wszystkich informacji o tajnym programie Obcych, a tego zrobić nie mogę, bo cały świat czeka zagłada”.

„Cóż za dylemat!”, dotarły do niej myśli Móriego. „Nie potrafisz zgadnąć, gdzie się znajdujesz?”

„Nie, uśpili mnie, obudziłam się w tym miejscu”.

„Jacy oni?”

„Nie widziałam ich, zaszli mnie od tyłu”.

Drgnęła.

„Zaczekaj, ktoś idzie, nie mogę wysłać ci dalszych, myśli, muszę skoncentrować się na tym, by chronić dziewczynkę”.

„No tak, oczywiście, ale powiedziałaś «oni», to znaczy, że to więcej niż jedna osoba?”

„Właściwie nic o tym nie wiem, po prostu tak powiedziałam, widziałam tylko jednego człowieka owiniętego w...”

Kontakt się urwał, Móri przesłał jeszcze tylko myśli, które miały uspokoić i dodać sił nieszczęsnej Misie.

Zdał potem relację z tej rozmowy Ramowi, tym razem już w bardziej konwencjonalny sposób, wykorzystując jeden z doskonałych aparatów do komunikacji, jakimi posługiwano się w Królestwie Światła. Potem mógł już tylko czekać na wiadomości.

Uzmysłowił sobie, że pod koniec prowadzonej w myślach rozmowy, akurat w momencie, gdy kontakt się urywał, usłyszał jeszcze żałosne wołanie Misy: „Nie znikaj, ratuj nas”, błagała.

Nie, nie zniknę, nie ustąpię, dopóki nie odnajdę jej i Weroniki, małej córeczki burmistrza!

Kolejne grupy wysłanników przybywały z powrotem. Nie, zaginionych nie ma w stolicy ani w Zachodnich Łąkach, ani we Wschodniej Rzece czy w Sadze, ani też w żadnym mieście w całym kraju. Tsi-Tsungga ustalił, że nie mogły zostać ukryte w Starej Twierdzy lub w jej pobliżu, elfy nie odnalazły ich w lasach i nigdzie w żadnym miejscu nie wyczuto ich wibracji. Duchy Móriego i przodkowie Ludzi Lodu przynieśli wieści, że nie ma ich także w należącej do Obcych północnej krainie.

Krótko mówiąc, Misa i Weronika mogły znajdować się wyłącznie w jednym miejscu: w mieście nieprzystosowanych.

Móri i Ram podziękowali swym znakomitym współpracownikom, prosząc, by dalej mieli oczy i uszy otwarte, bo przecież zaginione mogły zostać gdzieś przetransportowane.

Cień cały czas był zamyślony.

- Złe moce poruszają się po naszym pięknym królestwie, Móri, wszyscy musimy mieć się na baczności i strzec słabych przed szaleńcami.

- Masz na myśli coś konkretnego?

- Nie - odparł Cięń przeciągle. - Wiem jedynie, że niebezpieczeństwo się czai*

- Rozumiem, będziemy ostrożni.

Nikt nie miał ochoty opuszczać lasu, wielka gromada została, aby móc porozmawiać i przyjść z pomocą Móriemu, Lanjelinowi, Ramowi i Marcowi.

Wspólnie spędzone chwile bardzo ich też cieszyły.

16

Punkt zwrotny nastąpił dzięki interwencji z nieoczekiwanej strony.

Powrócili do okropnego miasta, w którym wszyscy czuli się źle, i skierowali w stronę ratusza.

Dolgo westchnął:

- W każdym razie wiemy, gdzie nie musimy szukać, czy można nazwać to jakimś postępem?

- Na pewno łatwiej byłoby szukać Misy i dziewczynki poza miastem nieprzystosowanych

- przyznał Ram. - No nic, musimy sprawdzić wszystko od początku, a mam wrażenie, że przeczesaliśmy już miasto jak najdokładniej.

- Jakies miejsce, gdzie do Misy można dotrzeć wyłącznie za pośrednictwem galdrów Móriego - powtarzał zamyślony Marco. - Musi się znajdować w jakimś nadzwyczajnym odosobnieniu.

Z naprzeciwka nadciągnął Heinrich Reuss.

- Ach, to wy, kochani przyjaciele! - zawołał już z daleka.

- Ten człowiek ma jakieś problemy - westchnął Ram, kiedy Reuss uczeplił się Dolga. - Czy nie ma w waszej rodzinie kogoś z bardziej współczesnej epoki, kto mógłby z nim porozmawiać?

- Nataniel - odparł Marco po chwili namysłu. - Sądzę, że Nataniel jest najbardziej odpowiedni. A może powinien porozmawiać również z jeszcze jedną osobą z tego miasta?

- Wiem, kogo masz na myśli - prędko zapewnił Ram. - Ale jeszcze nie teraz. Wyjaśnijmy najpierw te straszne zbrodnicze historie. Dowiedzmy się, kto się za tym kryje. Przecież nienawiść do kobiet nie usprawiedliwia napaści ani morderstw dokonanych na kobietach. Chociaż nienawiść to chyba zbyt mocne słowo, jeśli chodzi o tych dwóch, których mamy na myśli.

Heinrich Reuss dołączył do grupy, okazało się bowiem nagle, że ma jakąś pilną sprawę w ratuszu. Słowa lały się z jego ust niczym wodospad, rozmawiał z Dolgiem, który w odpowiedzi tylko łagodnie się uśmiechał. Dolgo był na tyle mądry, że zwolnił kroku razem ze swym gadatliwym towarzyszem, tak aby przynajmniej inni mogli swobodnie wymieniać myśli.

- Znaleźliście kulę, która trafiła Jaskariego? - dopytywał się Jori, ogromnie dumny z tego, że wraz z Armasem został dopuszczony do grupy ekspertów.

- Owszem - odparł Ram. - Pochodziła z pistoletu służbowego, który zwykle znajduje się w ratuszu. Teraz niestety zniknął.

- To znaczy, że każdy mógł go pożyczyć?

- Tylko ci, którzy wiedzieli, gdzie leżał, a takich osób jest niewiele.

Jori się nie poddawał.

- A ten, który zastrzelił Johna, dyrektora personalnego? Znaleźliście chyba złoczyńcę w ratuszu?

Ram, którego rysy twarzy wskazywały na lemuriańskie pochodzenie, zmarszczył wysokie czoło.

- Z budynku jest kilka wyjść, nie zdążyliśmy zamknąć wszystkich. W dodatku w środku przebywało wielu urzędników, przesłuchaliśmy ich oczywiście, niestety bez rezultatu. Nie odnaleźliśmy też broni, z pewnością tej samej, z której strzelano do Jaskariego, chociaż przeczesaliśmy cały ratusz.

- Gdybyśmy tylko mogli odkryć jakiś schemat - denerwował się Armas, przystojny potomek Obcych. - Ale on wciąż pozostaje niewiadomą.

- Tak, ponieważ mamy do czynienia z dwoma przestępstwami - oznajmił Ram. - Tak nam się przynajmniej wydaje.

Jori usiłował wlać im w serca trochę otuchy.

- W każdym razie cieszę się z jednej rzeczy, którą powiedział Móri.

- Tak?

- Z tego, że osoba, która przetrzymuje Misę, owija się w coś, bo to znaczy, że się przed nią ukrywa.

- Może ich być dwóch.

- To niczego nie zmienia. Właśnie ten szczegół wskazuje, że nie chcą, aby zobaczyła ich oblicza, żeby dowiedziała się, z kim ma do czynienia. I w takim razie dla Misy jest jakaś nadzieja.

Zatrzymali się.

- Masz rację, Jori - skinął głową Marco. - Gdyby nie dbali o ukrycie swoich twarzy, oznaczałoby to, że i tak mają zamiar ją zabić, kiedy już będzie po wszystkim.

- Dobrze pomyślane, Jori - pochwalił go Ram.

Znów ruszyli. Z daleka ujrzeli burmistrza i jego żonę, którzy właśnie wyszli z ratusza i wsiadali do samochodu. Ram zawołał do nich i zatrzymał ich ruchem ręki.

- Ja myślałem o czymś innym - włączył się do rozmowy Armas. - Ta surowa dama, burmistrzowa, odniosłem wrażenie, że bardzo nie lubi Johna, może to ona...?

- Zastrzeliła go? No cóż, to stara historia, nie wiem kto i co zrobił, poszeptywano jednak, że ona miała na niego oko, a on ją odrzucił. Inni uważają, że było przeciwnie, że to on się do niej zalecał. Nie wiem, która wersja jest prawdziwa, a poza tym, jak mówiłem, to wszystko wydarzyło się dawno temu.

- Takie rzeczy potrafią długo nie dawać spokoju - stwierdził Marco.

Doszli już do burmistrzostwa, którzy wyraźnie postarzelili się ze strachu i rozpacz, wywołanych przeżyciami ostatnich dni.

- Nieszczęścia zawsze chodzą parami - przywitał ich burmistrz z goryczą. - Na powierzchni ziemi wykonują kolejne próby jądrowe.

- Tak, słyszałem o tym - powiedział Ram. - Czyste szaleństwo!

- Właśnie. Ale my tutaj w mieście jesteśmy całkowicie ubezpieczeni od poczynań idiotów, nic nie może wyrządzić nam krzywdy. Ja i moi ludzie zadbaliliśmy już o to. A jak wasze dochodzenie? Coś nowego? - spytał cicho. Jego sympatyczna twarz nosiła znamiona troski.

- Sądzymy, że już wkrótce się przejaśni - ostrożnie powiedział Ram, wciąż bowiem wszyscy mieszkańcy miasta byli podejrzani i nie należało ujawniać zbyt wielu informacji.

- W każdym razie jaśniej patrzemy na sprawę zaginięcia waszej córki i Misy z rodu Madragów.

Burmistrzowa kurczowo złapała go za ramię.

- Odnaleźliście Weronikę? Gdzie? Gdzie ona jest?

- Proszę zachować spokój - Ram usiłował pocieszać ich, nie zdradzając przy tym za wiele. - Nie odnaleźliśmy jej jeszcze, ale okrążamy już miejsce, gdzie są przetrzymywane. Przynajmniej Misa żyje i, jak przypuszczam, dziewczynka również. Z piersi rodziców wyrwało się westchnienie ulgi.

- Co możemy zrobić? - spytał burmistrz drżącym głosem. - Uczynimy wszystko, absolutnie wszystko co w naszej mocy, by uratować córkę. Nie zmrzyłem oka od czasu jej zniknięcia i moja żona też nie spała.

Kobieta potwierdziła słowa męża.

- Szukaliśmy jej wszędzie, dosłownie wszędzie, sądzę, że nie ma jej już w mieście. Właśnie, że jest, pomyślał Jori, ale na głos nie powiedział nic, skoro Ram nic nie wyjawiał. Ostrożność, przede wszystkim ostrożność, rodzice dziewczynki mogli przekazać informacje osobom, do których nie powinno dotrzeć, ile wie grupa dochodzeniowa.

Ram rzekł z pewnym wahaniem:

- Przypuszczam, że to najpewniej Móri je odnajdzie.

Nieostrożne słowa, zganiał go w duchu Jori.

- Móri? Czarnoksiężnik? - zdziwili się burmistrzostwo chórem. - Gdzie on wobec tego jest, dlaczego nie ma go razem z wami?

Ram uśmiechnął się półgębkiem.

- Wcale nie musi tutaj być, Móri posługuje się niekonwencjonalnymi metodami.

- Ale gdzie jest? - dopytywała się burmistrzowa.

Nie zdradzaj tego, błagał Jori w duchu, i Ram wysłuchał jego prośby bez względu na to, czy umiał czytać w myślach, czy też nie.

- Szczerze mówiąc, gdzie przebywa akurat teraz, nie wiem.

O, dobrze to wiesz, cieszył się Jori, jest przecież w przepięknym lesie elfów. Ram ciągnął:

- Ale kiedy będzie wiedział coś więcej, natychmiast się z nami skontaktuje.

- Bardzo chcielibyśmy z nim porozmawiać, musimy wiedzieć, musimy sami szukać w bardziej konstruktywny sposób, takie poruszanie się na oślep, po omacku, doprowadza nas oboje do szaleństwa.

- Dobrze to rozumiemy - rzekł Ram ze współczuciem. - Akurat teraz możecie nam pomóc, musimy obejrzeć plany miasta, dlatego właśnie idziemy do ratusza.

- Dobrze, wejdźcie, odwiozę tylko żonę do domu, wrócę do was za kilka minut - powiedział burmistrz.

Pożegnali się i ruszyli po schodach ratusza, a samochód zniknął za rogiem. Dokoła panowała kompletna cisza, przypomniało im to, że znajdują się w mieście, którego mieszkańcy żyją w ciągłym lęku, chowają się przed złem.

Dlatego wszyscy drgnęli przestraszeni, kiedy gdzieś z tyłu rozległo się wołanie.

Od strony rynku biegła ku nim znajoma postać. Nie spodziewali się, że przyniesie ona rozwiązanie przynajmniej jednej zagadki.

Spostrzegli, że postać wymachuje czymś, co trzyma w ręku.

- Indra? - zdumiał się Jori. - Nie przypuszczałem, że zechce znów postawić swą leniwą nogę w tym mieście.

A Armas mu zawtórował:

- Coś szczególnego musiało ją do tego skłonić.

Przekłęta wielka, przysadzista krowa, w tych jej głupich bydlęcych oczach na nowo zapłonęła nadzieja. Co ona sobie myśli, że zdoła uratować i dziewczynkę, i swoją nędzną skórę? Przekłęci Madragowie, na co nam oni, skoro nie chcą współpracować? Ma obiecane złote góry, byle tylko uchyliła rąbka wielkiej tajemnicy Obcych. Ale nie, uparta i zawzięta jak wół. Cha, cha, ale mi się udał dowcip, takie określenie w stosunku do niej!

O czym ona teraz myśli? Naprawdę jest taka niewrażliwa, że zechce narażać życie Weroniki tylko dlatego, żeby mi się sprzeciwić? Nie mogę jej zrozumieć, przekłęta Madrażka! W ten sposób dalej się nie posunę, muszę przystąpić do bardziej radykalnych działań.

Ulice całkiem opustoszały, wydarzenia ostatnich dni wzbudziły strach w mieszkańcach miasta, niektórzy chcieli się od razu wyprowadzić, Strażnicy jednak kategorycznie tego zabraniali, życzyli sobie, aby wszyscy podejrzani zgromadzeni byli w jednym miejscu. Dziewczyny uliczne przeżywały złe dni, siedziały w swoich domach za firankami i trzęsły się ze strachu, nikogo nie wpuszczały za próg.

Mieszkancki najstarszych dzielnic zamknęły drzwi do swoich domów na solidne kłódki.

Mężatki bały się zostawać same z własnymi mężami. Wszyscy podejrzewali wszystkich. Nikt nie myślał o biednej Misie i Weronice, strach budził wielokrotny morderca.

On sam nie mógł zaznać spokoju. Taka izolacja wszystko mu utrudniała, potrzeba już w nim krzyczała, nie chciał zaspokajać się w samotności, to byłoby poniżej, jego godności, musiał mieć kobietę, musiał doznać tej nieznośnej ekstazy, jaka ogarniała go, gdy śmiertelnie przerażona wpatrywała się w jego twarz, a życie wyciekało z niej pod uściskiem jego mocnych dłoni.

Doris...

Doris znów go oszukała, Doris obcięła włosy i stała się kimś innym. I tak zamierzał ją zabić za to, co mu zrobiła. Może znów byłaby sobą, gdyby zakrył czymś jej ohydne krótkie włosy. Twarz pasowała, to naprawdę jego niewierna żona nareszcie przybyła.

Tak, oczywiście, że to Doris, po prostu usiłuje się przed nim ukryć, boi się, rzecz jasna, jego zemsty i gniewu, ponieważ go zdradziła, i dlatego się ostrzygła, po to, by myślał, że jest kimś innym.

Tak, oczywiście, tak właśnie jest, wiedziała, że kochał jej złocistobrazowe włosy, i sądziła, że nie będzie już jej chciał, kiedy je obetnie.

Jego myśli zataczały błędne koło, sam za bardzo za nimi nie nadążał, najważniejsze, że już ją ma. Wiedział teraz, jaką chytrą grę z nim prowadzi.

Dostanie za swoje, tym razem podwójnie, bo podwójnie usiłowała go oszukać. Jego zemsta będzie straszna. Biorąc ją, wykrzyczy jej w twarz swą nienawiść, pistoletem rozerwie ją od dołu, zagrozi, że zastrzeli ją przez podbrzusze i...

Te myśli podnieciły go do tego stopnia, że poczuł wilgoć w spodniach, a kiedy usiłował wytrzeć je ręką, zawadził o członek i z jękiem musiał dać ujście burzy. Do diabła!

Wycieńczony rozkoszował się myślą, jak to będzie, gdy naprawdę położy się na Doris. Poderwał się, wydawało mu się, że usłyszał kogoś w pobliżu. Co to by było, gdyby ktoś go tak zastał ze spodniami spuszczoneymi do kolan i błyszczącą plamą pod stopami.

Niegodne oficera i dżentelmena.

Musiał pozbyć się naboju, wszystkich z wyjątkiem jednego, ukrył go w bucie i już miał od niego odciski. Zachował go dla Doris.

Nikt już nie mógł mu przeszkodzić. Młodego chłopaka, który znał jego przeszłość, wyekspediował tam, gdzie jego miejsce, do świata zmarłych. Dla tego, kto stanie na drodze najprzystojniejszemu oficerowi w pułku, nie było miejsca na ziemi.

Naładował zabrany z ratusza pistolet. Oddał z niego dwa strzały, jeden do tego głupka Jaskariego, drugi na dachu.

Nikt już o nim nie wiedział.

Mógł spokojnie szukać Doris.

- Co się stało, Indro? - uśmiechnął się Armas. - Masz okropnie triumfującą minę.

Dziewczyna nie mogła złapać tchu. No cóż, kiedy ktoś woli leżenie na kanapie od zajęć ruchowych, nietrudno stracić kondycję.

- Co ty tam masz? - dopytywał się Marco. - Zdjęcia?

Indra pokręciła głową. Przełknęła ślinę, w ustach czuła smak krwi.

- Jedno zdjęcie - wydusiła z siebie. - Zczekajcie, muszę złapać oddech.

- Czy jest w nim coś szczególnego? - pytał Ram.

Indra z mocą pokiwała głową. Odzyskawszy wreszcie normalne tempo oddechu, zdołała wydusić z siebie coś rozsądnego.

- Pamiętacie, jak fotografowaliśmy się na mostku? Pierwszego dnia?

- No tak - Jori wciąż nie wiedział, o co chodzi. - Masz na myśli ten sielankowy mostek?

Kiedy ty i Elena ścigałyście się o to, która z was jest gorszym fotografem?

- Tak, tak, raz pstryknęłyśmy z zakrytym obiektywem, a drugi raz przejechał akurat tamtędy jakiś samochód.

- Tak, pamiętam - powiedział Armas. - Czy to znaczy, że końcowy efekt okazał się taki dobry, że musiałaś przywlec się aż tutaj, żeby nam go pokazać?

- Nie, nie.

Dolgo zdążył wreszcie pozbyć się Heinricha Reussa i dołączył do przyjaciół.

- Co robicie?

- Spójrzcie! - Indra podetknęła zdjęcie pod nos Ramowi i Marcowi. - Przyjrzyjcie się uważnie tej fotografii.

Przyglądać starali się wszyscy.

- Jakiś samochód przejeżdża? - dziwił się Ram.

- Patrzcie w okna samochodu.

Przez chwilę wpatrywali się w zdjęcie.

- Mój ty świecie - jęknął Armas, który zaglądał im przez ramię.

- To przecież Weronika! - wykrzyknął Ram.

- Właśnie, siedzi sobie w jakimś samochodzie - pokiwała głową Indra. - A to było zaledwie kilka minut po tym, jak zniknęła z domu swojej ciotki.

- Rozumiem. - Ram nie posiadał się ze zdumienia. - Pewna jesteś co do pory?

- Najzupełniej - odparła Indra. - Popatrzyliśmy akurat na zegarek, żeby sprawdzić, czy mamy czas na jeszcze jedno zdjęcie, a według raportu dziewczynka już wcześniej została uprowadzona.

- Widzicie, w którym kierunku jedzie? - pytał Jori.

- Oczywiście - rzekł Marco. - Dziecko siedzi sobie na tylnym siedzeniu, nie mając pojęcia, co je czeka.

Ram opuścił fotografię.

- Jeśli masz rację, Indro, a przypuszczam, że tak jest, to co ona, na miłość boską, robi w tym samochodzie?

17

W swoim domu w Sadze Elena siedziała przed odbiornikiem telewizyjnym, usiłując śledzić intrygę na ekranie. Nie bardzo jej to wychodziło, ciągle musiała zaczynać od nowa, orientować się, kto jest kto i dlaczego robi to, co robi. Jej myśli błądziły zupełnie gdzie indziej.

Jaskari wrócił już ze szpitala do domu, nie musiała więc na pocieszenie głaskać go po głowie. Dawał sobie radę sam. Cała pozostała młodzież wyruszyła wypełniać zadanie, tylko ona musiała tkwić w domu, wszyscy twierdzili, że wciąż jest zagrożona.

Tutaj? Tak daleko od miasta nieprzystosowanych?

Serce jej się ścisnęło, Johna już nie było. Nie mogła oderwać się od tej nieznośnie pięknej historii miłosnej, pierwszej w życiu, którą śmierć tak brutalnie przerwała, zanim na dobre zdążyła się rozpocząć. Znowu łzy popłynęły jej z oczu. John... Cudowny John o ciemnych oczach, tak ją oczarował. Nigdy go już nie zobaczy. Elena pociągnęła nosem i wytarła go w serwetkę, którą miała pod ręką. Właśnie skończyła jedzony w samotności posiłek. Bo chociaż jej dusza została poszarpana na kawałki, jeść ciągle mogła.

Nie miała już sił dłużej zastanawiać się nad zagadkami z miasta nieprzystosowanych, pragnęła teraz jedynie pielęgnować zranione serce. Chyba to jej wolno? Wiadomości telewizyjne informowały o próbach jądrowych na powierzchni Ziemi i o tym, że zarejestrowano je nawet tutaj, ale daleko od Królestwa Światła. Ona w każdym razie nie odczuła żadnych drgań ziemi czy podłogi.

Dom urządziła według własnego gustu, jej zdaniem było tu bardzo ładnie, Indra też ją pochwaliła. Dom Indry cechowało na pewno większe podobieństwo do zewnętrznego świata, lecz i w nim nie brakowało elementów charakterystycznych dla tutejszego życia. Wszyscy młodzi mieli oddzielne domy, oprócz trzech najmłodszych: Sassy, Siski i Berengarii, dziewczęta wciąż mieszkaly z rodzinami, ale i one miały wyprowadzić się do własnych domostw, kiedy dorosną.

Dom Eleny położony był nieco na skraju, nie za bardzo, po prostu jako ostatni na zboczach. Najbliżej mieszkał Jaskari, ale odwiedzał ją tak rzadko, jak tylko się dało. Zawsze twierdził, że Elena jest beznadziejna, dopiero teraz, kiedy obcięła włosy, poświęcał jej od czasu do czasu pełne uznania spojrzenie albo komplement.

Myśl o Jaskarim i jego wiecznej wyższości nie była jej wcale przyjemna. Już lepiej myśleć o Johnie.

Albo o Tsi?

- Nie, na Boga, o nim myśleć nie chcę, to zbyt skomplikowane - powiedziała głośno i przeraził ją dźwięk własnego głosu.

Już nigdy więcej nie zobaczy Johna. Jak to zniesie?

„Czas leczy wszystkie rany”, twierdzi jakieś głupie przysłowie. Wcale tak nie jest, nigdy nie zapomnę Johna, dobrze o tym wiem. On był miłością mego życia. „We wszystkim jest jakiś sens”, mówi inne głupawe przysłowie. Jak można twierdzić coś tak idiotycznego? To zakłada istnienie Boga, który kieruje wszystkim według własnego widzimisię, kompletnie nie zwracając uwagi na cierpienia, jakich przysparza ludziom. „Potraktuj to jako próbę”, powiadają wierzący. Okrutna próba, doprawdy.

Ludzie przybywający z zewnątrz przywiedli ze sobą wiarę w Boga, a właściwie rozmaitych bogów w zależności od tego, skąd pochodzili.

Elena urodziła się w Królestwie Światła, w którym nie istniała wiara w Boga, tu najważniejsza była Wielka Światłość, składająca się z miłości, czuwająca nad wszystkimi i chroniąca ode złego. Nikt nie uprawiał kultu Światła, szanowano je jednak i poważano, starając się zachowywać jak najprzystojniej. Może właśnie po to, by kultywować religię, tak wielu przeniosło się do miasta nieprzystosowanych?

Myśli Eleny błądziły to tu, to tam, a telewizor gadał dla nie słyszających uszu i pokazywał obraz dla nie widzących oczu.

Na schodach ratusza w mieście nieprzystosowanych grupka przyjaciół stała wpatrzona w fotografię, zdruzgotana myślą, co też może to oznaczać.

- Indro, zrobiliście jeszcze jakieś zdjęcia? - spytał wreszcie Marco.

Dziewczyna zmieszana się. Jak gdyby skupienie przychodziło jej ze zbyt wielkim wysiłkiem.

- No, jeszcze to z przysłoniętym obiektywem, ale ono jest bardzo ciemne, żeby nie powiedzieć wprost, że czarne.

- A może później?

- Później? Nie pamiętam, może przy magazynie z fajerwerkami też jeszcze coś fotografowaliśmy.

Marco zniecierpliwiony pokręcił swą skończone piękną głową.

- Chodzi mi o to samo miejsce, co na tym zdjęciu.

- Neeee - rzekła z wahaniem. - Ależ tak, do diaska, zrobiliśmy to udane, chociaż czy na pewno takie dobre? Jori wygląda na nim jak ogłupiały kurczak.

- Daj spokój z Jorim. Masz je przy sobie?

- Oczywiście, że mam. - Indra zaczęła grzebać w swojej torebce, którą czasami nazywała Wielką Otchłanią, ponieważ mieściły się w niej najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, a czasami Młotem, bo z powodu wszystkich tych rzeczy torba stawała się tak ciężka, że próba ukradzenia jej groziła śmiercią. Zwłaszcza gdyby Indra zdecydowała się użyć jej w swojej obronie.

- No tak, zabierałam je ze sobą... Macie... Trzymajcie. - Włożyła Marcowi w ręce kolorowe kosmetyki, notesiki kalendarzyki i mnóstwo innych rzeczy.

- O, jest i koperta. - Indra zaczęła przeglądać zdjęcia, a Marco dyskretnie odłożył wszystkie jej drobiazgi do torby.

- No jest. Jori, wyglądasz jak wariat, jak mogłeś tak złożyć usta w ciup!
 Jori przez chwilę podziwiał własny portret ze śmiechem, po czym podał fotografię Marcowi.

- To tutaj zostało zrobione w zaledwie kilka sekund po tamtym z samochodem, prawda? - pytał Marco.

Wszyscy młodzi, którzy wówczas przy tym byli, potwierdzili.

- Przypatrz się temu samochodowi, Ram - powiedział podsuwając Strażnikowi zdjęcie. - Widać go zaledwie kawałek, ale myślę, że się zatrzymał.

- Tak, pod ratuszem - przyznał Ram. - Daleko w końcu ulicy, można tam dostrzec schody do ratusza.

- Wchodzimy do środka - nakazał Dolgo.

- Nic dziwnego, że dziewczynka siedzi na swoim siedzeniu tak spokojnie - mruknął Armas do Indry, która przyłączyła się do nich, chociaż na pewno nie należała do grupy dochodzeniowej. - Indro, rzeczywiście się popisałaś.

- Prawda?

- Jeśli mamy rację, to naszej Weronice nic nie grozi - mruknął Ram, kiedy zatrzymali się przed biurem szefa policji.

Grubas z trudem podniósł się z krzesła. Szerokiego i wygodnego, tak by wielki tyłek właściciela nie utknął między poręczami.

- Czy coś się stało?

Ram powiedział wprost:

- Przypuszczamy, że dziewczynka, Weronika, wraz z Misą przebywają tutaj w ratuszu.

- To nie do pomyślenia, przeszukaliśmy wszystko od podłogi po strychy.

- Wobec tego musimy szukać od nowa. A jeśli nic nam z tego nie wyjdzie, jeszcze raz.

- Ale przecież nie ma...

Urwał, bo do pokoju wszedł burmistrz.

- I co z tymi planami? - spytał jowialny mężczyzna. - Znaleźliście je sami, czy też potrzebujecie mojej pomocy?

- Niepotrzebne nam już są plany - krótko odrzekł Ram. - Pańska córka najprawdopodobniej znajduje się gdzieś w ratuszu.

Burmistrz pobrał.

- To nie do pomyślenia - powiedział, dokładnie tymi samymi słowami, co poprzednio szef policji. - Jak może się znajdować tutaj?

- Sądzę, że pan sam najlepiej zna odpowiedź na to pytanie.

Ram podał mu obie fotografie.

- Zrobiono je jedna po drugiej, wkrótce potem, jak Weronika zniknęła z domu pańskiej szwagierki, położonego nieco dalej z tej strony, z której nadjeżdża samochód.

- Ależ to przecież mój samochód - stwierdził zdumiony burmistrz.

- No właśnie. Nie widać, kto siedzi za kierownicą, ale dziewczynka jest spokojna i beztraska. Nic dziwnego, jedzie wszak samochodem taty, na kierownicy widać rękę, nasi eksperci zapewne potrafią powiększyć szczegóły, tak by dało się stwierdzić, czy to męska ręka, czy kobieca. Czy dowiemy się wreszcie, gdzie jest mała?

- Nie ma chyba biura, którego by nie przeszukano.

- Tutaj chodzi o dwa pomieszczenia, Misa przebywa w pokoju obok dziewczynki, rozdziela je szyba, która od strony Weroniki jest lustrem.

- Skąd wiecie to wszystko?

- Od Móriego - odparł Ram tajemniczo.

- Od Móriego? Czy on potrafi widzieć przez ściany?

- Czarnoksiężnik taki jak on potrafi sporo zobaczyć. No cóż, zaczynamy!

Rozpoczęli przeszukiwanie ratusza, wszystkie piętra od piwnic po strychy. Przyłączyło się do nich jeszcze kilka osób, Generał, szef policji, który jeździł windą, kiedy inni szli schodami, siostra burmistrzowej, pracująca w jednym z biur na pół etatu. Teraz, kiedy znaleźli się już tak blisko jej biologicznej córki, znać po niej było jakąś gorączkowość. Pojawił się także rewizor o szczupłej lisiej twarzy. Wszyscy kategorycznie zaprzeczali, by kogokolwiek dało się tu ukryć, w dodatku w dwóch przylegających do siebie pokojach? Nie do pomyślenia.

Przeszukawszy cały budynek, powrócili do punktu wyjścia, bez żadnego rezultatu.

- Tak jak mówiłem, fałszywa nadzieja - westchnął burmistrz, - Żałuję, że ją obudziliście, rozczarowanie później jest po dwakroć dotkliwie.

- Przykro nam. Teraz należy omówić dokładnie pana poczynania w dniu, kiedy zniknęła dziewczynka. Musimy potwierdzić, że to nie pan jechał wtedy tym samochodem. Proszę wezwać żonę.

- Nie, znów tylko się zdenerwuje.

- To rozkaz.

Burmistrz zatelefonował do domu. Pozostawało im czekać.

W Jorim obudziła się pewna myśl.

- Panie burmistrzu... Wspominał pan wcześniej o wybuchach atomowych na powierzchni Ziemi.

- Co takiego? One na pewno nie mają nic wspólnego ze zniknięciem Weroniki.

- Być może właśnie tak. Napomknął pan, że wy tutaj, w mieście nieprzystosowanych, jesteście dobrze chronieni. Co pan chciał przez to powiedzieć?

Pozostali zaczęli się już domyślać, do czego zmierza młody Jori, i patrzyli na niego z uznaniem. Chłopak musiał porządnie wziąć się w garść, by nie za bardzo wczuć się w rolę genialnego detektywa.

Burmistrz także się rozjaśnił, ostrożnie, jakby wciąż nie miał odwagi żywić nadziei.

- Młody chłopcze, chyba rzeczywiście coś wymyśliłeś! Że też wcześniej nie pomyślałem o schronach! Ale właściwie ja się nimi już nie zajmuję, więc...

Ram przerwał mu, jego głos brzmiał teraz ostro:

- Proszę nam powiedzieć, czy schrony znajdują się pod całym miastem?

- No tak, w każdym razie pod większością dzielnic.

- I są także w ratuszu?

- Tak, mamy własne bunkry. Ale ja się tym nie zajmuję, komuż to ja właściwie dałem klucz z kodem? - spytał zwracając się do szefa policji, który sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał zemdleć ze strachu. - Czy nie tobie? Co się z tobą dzieje, chory jesteś?

Ten fakt nie uszedł uwagi Rama. Strażnik rzucił się na szefa policji niczym jastrzęb, tamten odepchnął go od siebie obiema rękami.

- Nie, nie, to nie ja mam kod, miał go John.

- John, dyrektor personalny? Przecież on już nie żyje.

- Tak - zająknął się szef policji i ulgę, wynikającą z tego faktu, zauważyli wszyscy zebrani.

W pokoju zapanowała nieprzyjemna, zagęszczona atmosfera. Ram przenosił wzrok z jednej osoby na drugą, bez cienia zaufania do któregokolwiek z mężczyzn.

- Ale chyba ktoś poza dyrektorem personalnym musiał mieć dostęp do schronów?

W milczeniu pokręcono głowami.

Weszła żona burmistrza, rzucając mężowi pytające spojrzenie. Jej siostra włączyła się do rozmowy ze łzami w oczach. Przemawiała do szwagra:

- Mój drogi, staraj się sobie przypomnieć, czy kodu nie ma gdzieś jeszcze. Musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, dla dobra Weroniki.

- Uwierz mi, zrobię wszystko dla naszej córki, ale nie mam dostępu do żadnych schronów.

Ram westchnął ciężko.

- Dolgo, wezwij swego ojca.

Jego towarzysze rozjaśnili się.

- Czarnoksiężnik - szepnęła Indra w uniesieniu. - On potrafi otwierać zamki jak zatrzaski.

Komendant policji straszliwie poblądł i zachwiał się na nogach.

On zaraz dostanie zawału, pomyślała Indra, ale mężczyzna wciąż stał.

Dziewczyna zmierzyła wzrokiem wszystkich zamieszanych w sprawę. Burmistrz i jego żona sprawiali wrażenie rozdartych między rozpaczą a nadzieją, siostrze burmistrzowej łzy płynęły z oczu niepowstrzymanym strumieniem. Generał, którego funkcji nikt właściwie nie znał, stał niczym dowódca na polu bitwy z niezgłębionym wyrazem twarzy, rewizor jak zwykle skrył myśli za lisią miną.

- Czy John nie mógł zostawić kodu gdzieś w swoim biurze? - nieśmiało podsunęła siostra burmistrzowej.

Ram odparł:

- Nasi ludzie przejrzeni każdy najdrobniejszy kąt po jego śmierci, starając się dociec przyczyny, dla której go zgładzono. Zapewniam, że kod czy jakakolwiek inna kombinacja natychmiast wzbudziłaby ich zainteresowanie. Musiał go mieć w swoim portfelu, kiedy wpadł do rzeki. No cóż, panie komendancie... Pan powinien przynajmniej wiedzieć, gdzie znajdują się schrony.

- Szczerze mówiąc, nie. Drzwi zamykają się całkiem niewidocznie.

- Ale schrony tak czy inaczej są w piwnicach?

- Tak... tak mi się wydaje, ale do otwarcia niezbędny jest kod.

Dolgo poprosił o uwagę.

- Nie muszę wzywać ojca, mówi, że jest właśnie w drodze do ratusza, ponieważ ani on, ani nasi przyjaciele nie mogą nic więcej zrobić, dopóki zaginione znajdują się w tym mieście.

- Doskonale - ucieszył się Ram.

Wezwał kilku Strażników, przybyli jednocześnie z Mórím, którego prędko zaznajomiono z sytuacją. Całą grupą skierowano się do piwnicy. Indra szła na samym końcu, zdusiwszy pospiesznie myśl, że właściwie nie powinna im towarzyszyć. Ponieważ jednak nikt jej stąd nie wyganiał... Starła się być jak najmniej widoczna.

- Myślicie, że to John mógł zamknąć tutaj Misę i Weronikę? - usłyszała głos Joriego. - To by znaczyło, że już dość długo pozostają bez dozoru.

- Nie, nie - odpowiedział mu Ram. - Nie uważamy, aby on był temu winien. Znamy natomiast odpowiedź, dlaczego musiał zginąć... Wiedział, kto ma kod, kto zabrał go albo pożyczył.

- To wygląda dość prawdopodobnie - kiwnął głową Jori.

Zdaniem Indry nie brzmiało to wcale logicznie, nie śmiała jednak nic mówić, wolała nie budzić zainteresowania swoją osobą.

John zapewne był niewinny, ale ktoś w tej grupie strasznie nakłamał. Kto?

Marco zatrzymał się.

- Wyczuwam strach gdzieś w pobliżu - rzekł z powagą. - Przypuszczam, że obie zaginione są niedaleko.

Siostra burmistrzowej złożyła ręce przed szwagrem:

- Przypomnij sobie ten kod - błagała. - Na miłość boską, naprawdę go nie pamiętasz? Chwila wahania, niepewne uciekające spojrzenie. W którą stronę umykało?

- Nie - odparł z zasmuconym, współczującym uśmiechem. - Uwierz mi, moja droga, gdybym mógł, natychmiast otworzyłbym te schrony.

Indra mu uwierzyła, sprawiał wrażenie, że mówi całkiem szczerze.

Szwagierka burmistrza jakby nagle skurczyła się w sobie, burmistrzowa natomiast nie dawała po sobie poznać żadnych uczuć. Indra wiedziała jednak, że ta dama rzadko ujawnia, co dzieje się w jej wnętrzu.

A może właśnie uroda wystarcza już za wszystko, mężczyznom podoba się taka kobieta? Może ów chłód w jakiś sposób ich pociąga? Budzi zainteresowanie, fascynuje? Może mężczyźni pragną doświadczać, jak taka lodowa pani rozgrzewa się pod ich wpływem?

Myśli Indry znów umknęły gdzieś w bok. Przyglądała się stojącej nieruchomo grupie, wyczuwała zagęszczoną atmosferę, poczuła, jak sama bardzo jest przejęta. Dziewczynki, Weroniki, nie знаła, mogła tylko jej współczuć, Misa natomiast była przyjaciółką, jedną z najlepszych przyjaciółek, jakie może mieć człowiek. Myśl o tym, że mała Misa cierpi, ścisnęła ją za serce niczym obręcz. Tak, Indra naprawdę pomyślała o Misie „mała”, bo Madrażka wzruszała ją jak nikt inny na świecie, taka niezgrabna, taka dobroduszna i miła. Do diaska, znów z oczu popłynęły jej łzy. To niedopuszczalne w tym zbiorowisku twardzieli.

18

- Nie - rzekł Móri, patrząc na gładką stalową ścianę, pod którą podprowadził ich Marco. - Moje runy otwierające zamki na nic się tutaj nie dadzą, tu przecież nie ma zamka, nie ma klucza, nie widać nawet drzwi.

Nadzieja na odnalezienie zaginionych u tych, którzy ją żywili, opadła.

Nie wszyscy chyba tego pragnęli.

- Ale one muszą być za tą ścianą - powiedział Marco z przekonaniem.

- Bez wątpienia - przytaknął Dolgo. - To dlatego żaden z nas nie zdołał nawiązać z nimi kontaktu. Kompletnie odizolowany schron, otoczony materiałami przez które nasze telepatyczne zdolności nie są w stanie przeniknąć.

Ram zgadzał się z nimi.

- Ale Móri potrafił - stwierdził. - Jego runiczne zaklęcia dotarły do Misy. Czy ona tam jest, Móri?

- Teraz tego nie wiem - odparł z wahaniem czarnoksiężnik. - Nie jestem już w transie. W jaki sposób dostaniemy się do środka?

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć.

- Co właściwie znajduje się za tą ścianą? - zapytał Armas.

Burmistrz odwrócił się do niego, na jego twarzy znać było ogromne zmęczenie.

- Kilka wybetonowanych pomieszczeń, a w betonie jest jeszcze silniej izolujący materiał. Kiedyś trzymaliśmy w tych pomieszczeniach kłopotliwych więźniów.

- W Królestwie Światła nie wolno przetrzymywać więźniów - ostro zauważył Ram.

- Wiemy o tym, czasami jednak w tym mieście okazywało się to konieczne.

Po minie Rama poznali, że to rozumiał.

- Wybaczcie, że się w to mieszam - wtrącił Jori. - Czy również przesłuchiwalicie tu więźniów?

- Owszem, zdarzało się, szef policji może odpowiedzieć na to pytanie.

Oczy wszystkich zwróciły się na bliskiego omdlenia mężczyznę.

Jori spytał:

- Wykorzystywaliście specjalne okna, tak zwane lustra weneckie, by ktoś mógł stać za szybą i oglądać przesłuchanie?

- Tak, to się zgadza.

- Wobec tego twoja wizja była prawdziwa, Móri - stwierdził Jori, zwracając się z zadowoleniem do czarnoksiężnika.

- Mam wrażenie, że w tym chłopaku tkwi dobry materiał na śledczego - mruknął Ram do Marca, który na znak zgody skinął głową.

- Ale to do niczego nas nie doprowadzi. - Siostra burmistrzowej dreptała z niecierpliwości. - Musimy się tam dostać.

Marco podniósł głowę.

- Myślę, że we trzech z Mórim i Dolgiem spróbujemy, prawda? Armas może się do nas przyłączyć, on też jest obdarzony szczególną mocą. A wy, pozostali, cofnijcie się, proszę, o kilka kroków. Nie wiemy, co stanie się z tą ścianą, może nic, a może coś nieoczekiwanego.

Trzej obdarzeni niezwykłą mocą mężczyźni natychmiast się przygotowali. Armas nie posiadał się z dumy, że zaproszono go do współdziałania. Nie bardzo wprawdzie wiedział, co będą robić, ale gotów był na wszystko.

- Weź mnie za rękę, Armasie - rzekł Marco łagodnie. - Tamci dwaj sami sobie poradzą. I skup się po prostu na myśli, że drzwi mają się otworzyć. Trudność polega na tym, że nie wiemy, w jaki sposób ani w którym miejscu ma się to stać, dlatego też nie możemy się skoncentrować na konkretnym punkcie w ścianie. Musimy po prostu pragnąć, żeby się w ogóle otworzyły, i mieć przy tym nadzieję, że nie rozpadną się na kawałki - dodał nie bez gorzkości.

Armas, syn Obcego, żywiący dla Marca z Ludzi Lodu, księcia Czarnych Sal, bezgraniczny podziw, powiedział, że wszystko rozumie. Do końca jednak nie był o tym przekonany.

- Chwileczkę - wtrąciła Indra; świadoma, że wszyscy już ją widzieli i nikt nie protestował przeciwko jej obecności. - Czy nie powinniśmy sprawdzić, czy ktoś nie ma przy sobie kombinacji z kodem?

Ram uśmiechnął się.

- Naprawdę sądzisz, że ten, kto nie chce, aby drzwi się otwały, byłby na tyle głupi, by przynieść tu kod? Na pewno jest dobrze schowany, chyba że zabrał go dyrektor John, ale w to wątpię.

- A ci, którzy zbudowali te lochy?

- Odnalezienie ich trwałoby zbyt długo, obawiam się, że dziewczynce zostało już niewiele czasu. Z tego, co mówił Móri, wynikało, że od dawna jest już bez jedzenia i bez picia. Indra długo na niego patrzyła, odpowiedział na jej zamyślane spojrzenie. Przecież nie tak dawno twierdził, że dziewczynce nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ponieważ została uprowadzona samochodem jej własnego ojca.

Weronikę wykorzystywano być może jako środek nacisku na Misę, takie właśnie pytanie tkwiło w spojrzeniach, które wymienili Ram i Indra. Misa widywała przecież dziewczynkę tylko od czasu do czasu. Weronika mogła dostawać jedzenie kiedy indziej. Tak czy inaczej obie należało uwolnić, sytuacja Misy musiała być absolutnie nieznośna.

Po krótkiej przerwie, spowodowanej wystąpieniem Indry, czterej mężczyźni mogli rozpocząć seans. Wszyscy wiedzieli, że potrafią wpływać swoimi magicznymi siłami

zarówno na ludzi i zwierzęta, jak i na przyrodę, ale stalowe drzwi? Dodatkowo wzmocnione? Czy pozwolą na to, by ktokolwiek nimi manipulował? Móri i Dolgo zwrócili wnętrza dłoni do ściany. Marco trzymający Armasa za rękę nie był w stanie tego zrobić, mógł jedynie skupić myśli na pokonaniu zamknięcia, zniszczeniu kodu.

Czarnoksiężnik i jego syn zaczęli monotonicznie odmawiać zaklęcia. Potężne galdry z pradawnych czasów, kiedy to człowiek stał znacznie bliżej przyrody i znał część jej tajemnic, kiedy jeszcze zdawano sobie sprawę, że w każdej najdrobniejszej roślince kryją się niezwykle siły i że w ziemi, która obróciła się w kamień, tkwi życie, schowane teraz przed ludzkimi oczami. Wszystko to, o czym my już zapomnieliśmy, wciąż pozostaje żywe u ludów żyjących w bliskich związkach z przyrodą. Móri i jego syn znali wiele tych tajemnic, wiedza o nich zachowała się w magicznych pieśniach.

Ale czy ich moc dotrze również do nowych wynalazków, jakimi są na przykład potężne wzmocnienia z rozmaitych metali, minerałów i sztucznych tworzyw? Wkrótce mieli się o tym przekonać.

Móri i Dolgo zdawali sobie sprawę, że w myślach muszą zwracać się bezpośrednio do poszczególnych składników, z których zbudowano drzwi, zaklinać, by usłuchały ich rozkazów i poddały się.

Marco miał inne mocne strony, nie były to umiejętności wyuczone, jak w przypadku obu czarnoksiężników, odziedziczył je po ojcu. Przekazywał teraz część swej siły Armasowi, synowi Obcego, a niewielu wiedziało, co naprawdę potrafią Obcy. Wciąż pozostawali tajemniczym ludem, przybyłym z jakiegoś niewiadomego miejsca, by pomóc ludziom na Ziemi w walce z ich własną głupotą.

W piwnicach ratusza panowała wielka cisza. Ci, którzy nie uczestniczyli w otwieraniu drzwi, cofnęli się pod przeciwległą ścianę, starając się za wszelką cenę nie zakłócać koncentracji czterech mężczyzn. Na pewno niejednym z obecnych wątpił w ich możliwości, niektórzy z pogardą odnosili się do ich paranormalnych zdolności, ktoś zapewne miał też nadzieję, że się im nie powiedzie.

Ale Indra i Jori ślepo im ufali, rozjaśnionymi oczyma wpatrywali się w swoich bohaterów i mieli pewność że poradzą sobie z tym, jak by się wydawało, niemożliwym do wykonania zadaniem.

Armas poczuł niezwykłą moc płynącą z ręki Marca. Wypełniła go, wyostrzyła mu się zdolność myślenia, ogarnął wielki spokój. Minęło kilka minut, podczas których słycać było tylko osobliwe zaklęcia Móriego i Dolga.

I nagle... Nagle zorientował się, że wzbiera w nim jego własna moc, wznosi się od czubków palców do głowy, w jednej chwili olśniło go, co należy uczynić.

Marco popatrzył na niego z boku.

- No proszę, ujawniło się w tobie to, co dotychczas leżało uśpione, nie przerywaj.

Armas na moment znieruchomiał, a potem, uwolniwszy dłoń z dłoni Marca, podszedł do stalowych drzwi. Dał znak Móriemu i Dolgowi, aby także się zbliżyli. Marco sam za nim pospieszył.

Młody Armas, przewyższający wzrostem wszystkich zebranych tutaj, przesunął dłonią po ścianie. Smukłe palce, które w miarę jak dorastał, upodabniały się do sześciokątnych

palców Obcych, lekko muskały metal. Z pytaniem w oczach popatrzył na trzech pozostałych.

Zachęcająco pokiwali głowami.

Armas starał się ukryć swoją niepewność. Co będzie, jeśli jego intuicja okaże się zawodna, jeśli zniweczy ich szansę?

Ale czy to naprawdę tylko intuicja wskazała mu akurat tę część ściany? Uczucie, jakie się w nim odezwało, było na to jakby zbyt mocne, to była świadomość, absolutna pewność, a kiedy usiłował myśleć inaczej, za nic mu to nie wychodziło.

Ludzie odznaczający się paranormalnymi zdolnościami, zwłaszcza zdolnością jasnowidzenia, natychmiast rozpoznaliby doznania Armasa. Mowa tutaj o niezłomnej pewności, której należy zaufać, wiedzą o tym wszyscy obdarzeni zdolnością odczytywania przyszłości lub odnajdywania zaginionych ludzi i zwierząt.

Armas nabrał powietrza w płuca.

- To tutaj. Móri i Dolgo, skupcie swoją czarnoksięską moc na tym miejscu.

- Doskonale, Armasie - cicho pochwalił go Marco.

Młody chłopak prędko odegnał niepokojącą myśl, że Marco sam by sobie z tym poradził i tylko pomógł mu ujawnić jego ukryte zdolności. Teraz musieli działać wspólnie, wszyscy czterej.

Móri i Dolgo podeszli bliżej. Móri przycisnął jedną z run w punkcie wskazanym przez Armasa i obaj wyszeptali coś, czego nikt inny nie zrozumiał. Marco wciąż czekał.

Ze ściany dobiegł jakiś cichy odgłos, żaden trzask, po prostu delikatnie zadźwięczał metal.

Jak gdyby jakiś zamek niechętnie ustępował, ale tylko trochę.

Potem zapadła cisza. Ściana odpowiedziała na ich atak, wciąż jednak się nie poddawała.

I wtedy do akcji włączył się Marco. W kompletnie nieznanym języku wydał jakiś krótki rozkaz. Ponieważ jednak oni rozumieli wszystkie języki, zorientowali się, że przemawia do różnych metali. Armas rozpoznał nazwy niektórych pierwiastków, o których uczył się w szkole, i zaraz Marco umilkł.

Bez najmniejszego szmeru ściana podzieliła się na dwie części w miejscu, gdzie przedtem nie widać było żadnego spojenia. Obie połowy rozsunęły się. Nastąpiło to tak, jak przy użyciu elektronicznego kodu.

Złamali kod. Armas odnalazł właściwe miejsce, czarnoksiężnicy osłabili zamknięcie, a Marco dokończył dzieła. Schrony zostały otwarte.

Szef policji osunął się na podłogę.

Strażnicy zatroszczyli się o to, by nikt nie mógł się wymknąć podczas trwania seansu, ale Indra kątem oka zarejestrowała bezradne spojrzenia, jakieś dziwaczne miotanie się, które teraz ustało. Nie wiedziała jednak, kto próbował się stąd wydostać.

Udało im się ocucić szefa policji. Poprosił, by pozwolono mu wrócić do biura i odpocząć, nie zgodzono się jednak na to. Usiadł na jakiejś skrzynce i zasłonił twarz rękami, przedstawiał sobą obraz totalnej beznadziei. Zdaniem Indry sprawiał wrażenie, że płacze.

Z wahaniem weszli do pierwszego wielkiego pomieszczenia, stały tu między innymi półki pełne książek i papierów i wielki stół na kółkach, który bardzo nie pasował do wnętrza.

- Przypuszczam, że na nim właśnie przywieziono Misę - orzekł Ram. - Inaczej nie bardzo sobie wyobrażam, w jaki sposób ją tutaj przetransportowano, w dodatku zdaje się nieprzytomną. Czy istnieje bezpośrednio wejście do piwnicy?

Burmistrz potwierdził ten fakt. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego, a zarazem zasmuconego, jakby nic nie rozumiał.

Strażnicy zajęli się badaniem zawartości półek. Jeden z nich zatrzymał się przy jakichś papierach.

- Nie za dobrze to wygląda - oznajmił złowieszczo. - Co to ma znaczyć, panie komendancie?

Otyły mężczyzna tylko pokręcił głową, nie odsuwając nawet rąk od twarzy.

Inny Strażnik stanął z dokumentem w dłoni.

- Mam wrażenie, że pachnie tu korupcją. Firmy, które nie istnieją albo cieszą się dziwnymi przywilejami...

Ram badawczo przyjrzał się postaci skulonej na skrzynce.

- Zajmiemy się tym później, teraz chodzi o uwięzione. Proszę otworzyć następne drzwi. Do wyboru mieli dwoje. Na chybił trafił wybrali jedno.

Wewnątrz siedziała Misa. Z lękiem patrzyła na wejście w oczekiwaniu na przybycie swego dręczyciela. Na widok Rama i Móriego podniosła się z krzykiem, czarnoksiężnik objął ją, na ile starczyło mu ramion. Kochana Misa nie była sylfida, w dodatku skuwały ją kajdany.

- Czy to prawda? - pytała niepewnie. - Czy jestem wolna?

- Teraz wszystko już będzie dobrze, Miso - zapewnił Móri.

Nie powiedział, że wiele jeszcze pozostaje do wyjaśnienia.

- Dziewczynka - zaniepokoiła się Misa. - Musimy się spieszyć, ona umiera. Ach, jakże się cieszę, że przyszliście. Nie wiedziałam, co robić, chcieli mnie zmusić, żeby...

- Wiemy, Miso, ale potrzeba nam kilku informacji od ciebie.

- Najpierw dziewczynka, najmilsi.

- Tak, oczywiście, ale nie przypuszczamy, aby groziło jej jakieś niebezpieczeństwo.

Tego Misa nie mogła zrozumieć. Marco w tym czasie przyłożył swe ciemne, o idealnym kształcie dłonie do łańcuchów wiążących jej stopy, pod jego dotykiem same się otwały. Zobaczyli, w jak bardzo prymitywnych warunkach ją więziono. Jedynie aparatura przed nią była w nienagannym stanie. Misa miała związane także ręce, w taki jednak sposób, by mogła, gdyby zechciała, obsługiwać urządzenia, a warunki higieniczne były poniżej wszelkiej krytyki. Indrze serce ścisnęło się ze współczucia dla tej wspaniałej istoty, ponieważ wszyscy ludzie zorientowali się, jakich upokorzeń musiała tu doznać.

Cóż za nikczemnik zmusił ją do tego, pomyślała Indra.

Uwolnwszy Misę, przeszli do drugiego pomieszczenia.

Na wyścielanej ławie leżała dziewczynka, z pozoru bez życia. Powinien być teraz z nami lekarz, pomyślała Indra, na przykład Jaskari, on jednak tymczasem wyłączony był z gry.

Wprowadzie stwierdzono, że jest zdrowy, ale wciąż zalecano mu spokój.

Gdzieś z tyłu zapanowało poruszenie. Strażnicy powstrzymali kogoś, kto usiłował uciec, ale Indra nie zdołała zobaczyć, kto to może być. Dziewczyna jednak pomyliła się: nikt nie

podjął wcale próby ucieczki, przeciwnie, burmistrzostwo i siostra żony burmistrza na wyścigi starali się przedostać do Weroniki. Powstrzymano ich siłą.

Dolgo spokojnie podszedł do dziewczynki, delikatnie dotknął jej szyi.

- Żyje, ale sprawia wrażenie głęboko uspianej.

- To dlatego nie mogłem nawiązać z nią kontaktu, została znieczulona.

- Prawdopodobnie miała dzisiaj zostać pokazana Misie - doszedł do wniosku Ram.

Wyjaśnili Misie, że Weronice nigdy nie groziło niebezpieczeństwo, Misa na własne oczy ujrzała teraz jedzenie i zabawki, znajdujące się w pomieszczeniu, pozostające jednak poza jej polem widzenia. Zrozumieli, że Weronikę pokazywano jej przez szybę tylko wtedy, gdy dziewczynka spała lub też znajdowała się pod działaniem usypiających środków. Cóż za bezlitosne, okrutne poczynania wobec dobrego Madraga, który wszystkim tak dobrze życzy! Misa jednak wytrzymała, nie zdradziła żadnych informacji o tajnym laboratorium Obcych w Srebrzystym Lesie, ale musiała przyznać, że w ostatnich dniach zaczęła się załamywać, chodziło wszak o życie niewinnego dziecka, a Weronika wyglądała już na bardzo wycieńczoną.

Większość zebranych stała wzdłuż ścian nieruchomo niczym słupy soli, ze wzrokiem wbitym w leżącą na ławie dziewczynkę. Indra czytała w tych spojrzeniach lęk, ale czego dotyczył? Bali się, że dziewczynka umrze, czy może odwrotnie?

W tej chwili dziewczynka się poruszyła. Zebrani jednogłośnie westchnęli.

Mała otworzyła oczy. Oszołomiona rozejrzała się dokoła, tyle nieznamomych twarzy.

Ale jedną poznała.

- Tata, tak długo mnie nie było, niepokoileś się o mnie?

Ojciec nie był jednak w stanie odpowiedzieć, wzruszonym spojrzeniem spytał Rama, czy wolno mu podejść do córki. Ram zezwolił, Weronika usiadła na łóżku

Poznała też rewizora, nazwała go wujkiem i uśmiechnęła się do niego. Do zapłakanej ciotki drepczącej w miejscu z niecierpliwością uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a na Generała nie zwróciła żadnej uwagi, widocznie nie znała go tak dobrze. Szefa policji z nimi nie było, pilnował go jeden ze Strażników w zewnętrznym pomieszczeniu.

Dostrzegła wreszcie matkę, żonę burmistrza, stojącą nieco z tyłu za innymi.

- Cześć, mamó - powiedziała do niej i wyciągnęła ręce. Kobieta podeszła do dziewczynki, objęła ją i szepnęła coś do ucha.

- Nie, mamó, nic nie powiem - odszepnęła Weronika. - Ale czy mogę już wrócić do domu? Okropnie nudno być tutaj tak długo.

Szept Weroniki był bardzo wyraźny, wszyscy go usłyszeli.

19

- Ależ moja droga - zwrócił się wstrząśnięty burmistrz do żony.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Milcz! Wszystko to twoja wina!

- Moja wina? O co ci chodzi?

Jasne się stało, iż zrozumiała, że córka ją zdradziła. Nie starała się nawet ukryć swoich zamiarów.

- Jak mogła pani narażać własne dziecko na coś podobnego? - dziwił się Móri.

- Nie rozmawiam z ludźmi niższego gatunku. Żaden z was nic nie jest wart, szarlatani, czarodzieje, plebejusze, którzy nie wiadomo, jakim cudem się wywyższyli. Ja wywodzę się ze szlachty, nigdy nie powinnam była wychodzić za mąż poniżej swego stanu. - Zwrócona do męża ciągnęła: - Sądziłam, że tkwi w tobie potencjał na coś wielkiego, ale to przez cały czas ja musiałam walczyć, pomagać ci przeć do przodu, zdobywać coraz wyższe stanowiska jeszcze w świecie na Ziemi. A potem... Kiedy spadło na nas nieszczęście i trafiliśmy do tej przerażającej dziury we wnętrzu Ziemi... Ach, jakże się męczyłam! Okazałeś się najtrudniejszym do kierowania mężczyzną, jakiego można sobie wyobrazić. Nigdy niczego nie rozumiałeś. Nie widziałeś, jakie możliwości otwierają się przed nami. Zwycięstwo, władza, tu w tej krainie i tam w cudownym świecie na zewnątrz, gdzie można awansować, nie tak jak tutaj, gdzie wszystko pozostaje pod kontrolą jakichś pokrak!

- Ani Obcy, ani Madragowie, ani Lemurowie nie są pokrakami - gwałtownie zaprotestowała Indra. - Mają szlachetne usposobienie, czego nie da się powiedzieć o tobie, żalosa karierowiczko. I nie mów nic o swym rzekomo szlacheckim pochodzeniu. Mamy tutaj prawdziwego księcia, Marca z Ludzi Lodu, nie jesteś nawet godna lizać mu sznurówek.

Rozgniewana Indra nie zauważyła nawet, że pomieszała ze sobą dwa powiedzenia, ale nikt na to nie zareagował. Większość w duchu pochwaliła ją za ten występ. Burmistrzowa nie zaszczyciła jej jednak nawet słowem. Posłała tylko dziewczynie zabójcze spojrzenie, ale Indra nie takie rzeczy potrafiła znieść.

Burmistrz rzekł oskarżycielskim tonem:

- Skąd zdobyłaś kod dostępu do schronów? O ile dobrze zrozumiałem, dysponował nim John.

- Nie miałam żadnych problemów ze zdobyciem klucza - odparła pogardliwie.

Wszyscy natychmiast zaczęli się zastanawiać, czy zdobyła go przez łóżko.

- Dziwka! - mruknęła Indra.

Tym razem burmistrzowa zareagowała. Policzki jej zapłonęły, gotowa była z pazurami rzucić się na dziewczynę. Jej siostra stanęła między nimi.

- Zawsze cierpiałaś na manię wielkości. Masz zbyt wysokie mniemanie o sobie samej, tylko dlatego, że los obdarzył cię urodą i wspaniałym drzewem genealogicznym. Ale to drzewo jest również moje i świadomość tego wcale nie uderzyła mi do głowy.

Burmistrz oświadczył:

- Od dawna już myślałem o tym, by z tobą zerwać i stworzyć Weronice dom, na jaki zasługuje. Szkoda nam jednak było ciebie.

- Szkoda wam było mnie? - krzyknęła głośno burmistrzowa. - Wam? Którzy macie tylko kurze mózdzki i niczego w życiu nie osiągniecie. Wszystko, co zdobyłeś, zawdzięczasz wyłącznie mnie.

- Co takiego, na przykład?

Nie odpowiedziała wprost na jego pytanie.

- Nigdy chyba nie myślałeś, że pozwolę ci zachować władzę! To ja z nas dwojga jestem silniejsza, ale kobieta górująca nad mężczyzną budzi podejrzenia wśród ludzi.

Postanowiłam więc, że ty rozpoczniesz, ale potem, rzecz jasna, ja miałam przejąć

dowództwo, zostać władczynią Królestwa Światła, a później całego świata To się przecież samo przez się rozumie. Nie przypuszczałam tylko, że mam do czynienia z takim żalonym mięczakiem.

Burmistrz na sekundę przymknął oczy.

- Największym błędem, jaki popełniłem w życiu, było wybranie niewłaściwej siostry. Zbyt późno się zorientowałem. Potem ja i twoja siostra zakochaliśmy się w sobie. Uważam jednak teraz, że powinniśmy zaoszczędzić Weronice dalszych twoich wybuchów i niedyskrecji. Zajmie się tobą Ram, i od tej pory porozumiewać się będziemy wyłącznie przez mojego adwokata.

Ram zakuł burmistrzowa w kajdanki, kobieta z wyniosłą miną usiłowała się od nich uwolnić, ale to okazało się niemożliwe.

- Jedyne, czego nie mogę pojąć - zwrócił się do niej Ram - to w jaki sposób zdołała pani sprowadzić tu Misę. Miso, czy zostałaś zwabiona do miasta?

- Nie, zmierzałam do domu Marca w Sadze, lecz akurat kiedy miałam wysiąść z gondoli, ktoś zaatakował mnie od tyłu i zrobił mi zastrzyk w kark, natychmiast straciłam przytomność i ocknęłam się dopiero tutaj. Musiałam zostać przewieziona w gondoli.

Ram zwrócił się do burmistrzowej:

- Mówiła pani, że dostała kod od dyrektora personalnego, Johna. Czy on miał coś wspólnego z tą sprawą?

Z tonu jej głosu wprost biła pogarda.

- John? Nigdy nic mnie nie łączyło z tym młokosem. Oczywiście nic nie wiedział, potrafię sobie dobrać przyjaciół w moim guście.

Indra nie zdołała utrzymać języka za zębami:

- W takim razie pani przyjaciele mają zły gust.

Burmistrzowa, pobiełała na twarzy, poprowadzono schodami z piwnicy.

- Strażniku! Proszę, by oszczędzono mi kontaktów z nieokrzesanymi indywiduami, takimi jak ta bezczelna młoda dama!

- Zaraz oszczędzimy Indrze pani obecności - odciął się Ram.

Jori głośno zachichotał.

Burmistrz osobiście wyniósł córkę, którą jego szwagierka trzymała za rękę.

Móri zatelefonował do Eleny. Chciał jej coś powiedzieć, ale postanowił zachować to na koniec.

Elena ujrzała jego surową, a jednocześnie życzliwą twarz w wideotelefonie.

Pokrewieństwo, jakie ich łączyło, było dość skomplikowane: Móri poślubił Tiril, córkę jej przybranej babki. Móri i Elena mówili sobie po imieniu, bardzo im to odpowiadało.

- Przyznała się? - zapytała Elena, kiedy zdał jej relację z ostatnich wydarzeń.

- Nie wprost - odparł Móri. - Ale wszystko i tak wyszło na jaw. Eksplozja w składzie była jej dziełem, operacją mylącą przeciwnika. Chodziło o to, aby nikt nie widział, że uprowadza własną córkę.

- Opowiadaj! Muszę znać wszystkie szczegóły. Widzisz, ja ją przez cały czas podejrzewałam.

- Naprawdę? Mnie się wydawało, że jej wina jest aż zanadto oczywista, sądziłem więc, że musi się za tym kryć ktoś jeszcze. Okazało się jednak inaczej.

Kiedy zebrali się wszyscy w biurze burmistrza, Indra wspomniała, że wpadło jej kiedyś w ucho zdanie wypowiedziane przez siostrę burmistrzowej do szwagra: „Nasze ukochane dziecko” albo coś w tym rodzaju, tak mówiła o Weronice. Indra zaczęła więc przypuszczać, że to burmistrz jest ojcem dziecka szwagierki, i rzeczywiście okazało się to prawdą. Burmistrzowa nigdy nie dbała o Weronikę, ale dzięki dziecku obraz rodziny prezentował się znacznie lepiej.

Elena przerwała mu urażona:

- Ale co z niego za gadzina, skoro wciąż pozostaje w małżeństwie ze swoją żoną, zamiast poślubić o ileż sympatyczniejszą matkę dziecka? No, ale lepiej jest chyba być miłym potworem niż okropną jędzą.

Okazało się jednak, że żona trzymała go w garści. Teraz Móri powiedział o tym Elenie. Burmistrz zamieszany był także w korupcyjne afery szefa policji, a burmistrzowa za nic nie chciała rozstać się z mężem, bo pragnęła piąć się po szczeblach kariery, zostać głową Królestwa Światła, a później podbić także zewnętrzny świat.

- To brzmi bardzo mało realnie - zauważyła Elena.

- Oczywiście. Niewątpliwie ta kobieta cierpi na manię wielkości, megalomanię. Wydawało jej się, że wszystko jej się uda, dlatego też i dziecko tak dobrze pasowało do jej planów. Jest jednak już w więzieniu i sprawę można uznać za zakończoną. Można powiedzieć, że właściwie mieliśmy do czynienia z trzema przestępstwami, bo przecież przy okazji ujawniły się także szwindle komendanta policji.

- Ale Misa musiała się chyba zorientować, że więzi ją kobieta?

- Nie, burmistrzowa jest przecież dość wysoka, zresztą ukrywała się, nosiła kominiarkę i jakieś luźne ubrania.

- Nie bardzo wiem, co to jest kominiarka. No a głos?

- Nigdy się nie odzywała, wszystkie informacje ukazywały się na ekranie komputera. Ale mam też ci przekazać pozdrowienia, no, może nie wprost pozdrowienia, tylko wiadomość, którą chętnie ci przedstawię.

- Ogromnie jestem tego ciekawa.

- Jest to związane z moim przyjacielem Tsi-Tsunggą. On twierdzi, że jesteś osobą, od której bije zmysłowość.

Elena miała nadzieję, że Móri nie włączał obrazu w swoim telefonie, bo poczuła, że płonie, i to nie tylko na twarzy.

- Naprawdę Tsi tak powiedział?

- Tak, i pomyślałem sobie, że miło ci będzie to usłyszeć.

- O, tak, dziękuję, bardzo dziękuję.

Coś jeszcze przyszło jej do głowy.

- Czy mówił coś więcej? - zapytała nerwowo.

- Nie, rzucił to tylko w przelocie, nie bardzo już nawet pamiętam, w jakim kontekście.

Dzięki Bogu, że Tsi nie zdradził, co robili w lesie. Ale jaka się teraz czuła szczęśliwa! Bije od niej zmysłowość! Od niej? I powiedział to Tsi-Tsungga, który sam był niczym wulkan zmysłowości.

Ach, cudowny Tsi, szkoda, że nie może się z nim teraz zobaczyć!

Choć doskonale zdawała sobie sprawę, że oni dwoje nie są sobie przeznaczeni, słowa elfa znacznie wzmocniły jej poczucie wartości.

Móri z uśmiechem zadowolenia wyłączył wideotelefon. Pragnął dać nieszczęsnej duszy Eleny jakąś pociechę i naprawdę mu się to udało.

Nataniel odbył niezwykle trudną rozmowę z Heinrichem Reussem von Gera w domu niegdysiejszego rycerza Słońca. Ponieważ jednak Nataniel był mistrzem dyplomacji i dyskrecji, przebiegła ona względnie bezboleśnie.

Reuss westchnął.

- W Zakonie Świętego Słońca było o wiele łatwiej.

- Lepszy dostęp do mężczyzn o podobnych skłonnościach? - cicho spytał Nataniel.

- O, tak, wielu rycerzy miało takie inklinacje. Był to być może najważniejszy powód, dla którego się do nich przyłączyłem. Pogoń za władzą i honorami specjalnie mnie nie interesowała.

Nataniel wcześniej wysłuchał już opowieści Dolga o księżętach, którzy go pojмали. Dwaj rycerze wywodzili się jednak ze znacznie późniejszych czasów niż Heinrich Reuss i Dolgo chyba nigdy nie zrozumiał, że byli homoseksualistami. Ten chłopak jest naprawdę niesłychanie naiwny, pomyślał Nataniel.

Heinrich Reuss z wielką ulgą przyjął możliwość wyrzucenia z siebie swej tajemnicy w rozmowie w cztery oczy z sympatycznym Natanielem Gardem z Ludzi Lodu.

- Jesteś żonaty? - spytał go nieśmiało szlachcic.

Nataniel nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Tak, i to bardzo szczęśliwie.

Reuss odetchnął swobodnie.

- Postanowiłem przenieść się do miasta nieprzystosowanych, ponieważ wszyscy mieszkańcy pozostałej części krainy są tak okropnie doskonali. Niestety, to miasto nie jest dla mnie.

- To prawda, zasługujesz na lepszy los, Ale o Marcu i Dolgu zapomnij.

- Przecież ich nie interesują kobiety.

- Mężczyźni także nie. Zostali przeznaczeni do wyższych celów, nie są dość ziemscy, by pragnąć fizycznej miłości. Ale, drogi Heinrichu, w mieście nieprzystosowanych mieszka człowiek o podobnych skłonnościach.

- Co? Kto taki?

- Rewizor albo, jak wolisz, księgowy.

- Co takiego? Przecież on stale przestaje z kobietami.

- To kamuflaż. Owszem, chętnie pokazuje się z nimi w restauracjach, ale nic więcej z tego nie wynika.

Reuss zmarszczył nos.

- Przecież on jest taki stary i mało urodziwy.

- No cóż, jeśli mówimy o wieku...

Heinrich Reuss spuścił głowę.

- I czy naprawdę chodzi ci tylko o wygląd? - ciągnął bezlitośnie Nataniel. - O ile dobrze rozumiem, to w takim związku dwóch mężczyzn bardzo istotnym elementem jest także przyjaźń. Z twoich słów jednak wynika, że interesuje cię tania pogoń za obiektem pożądania, obdarzonym najwspanialszą urodą. Czy właśnie dlatego zainteresowałeś się zarówno Markiem, jak i Dolgiem?

Przemowa Nataniela sprawiła, że Heinrich mocno się zaczerwienił.

- Trafieś mnie prosto w serce, Natanielu. Sam słyszę, jak wstrętnie to brzmi. Kiedyś w młodości rzeczywiście kochałem pewnego mężczyznę czystą miłością, tak jak ty to przedstawiasz, ale czas w Zakonie Świętego Słońca obudził we mnie cynizm. - Wstał. - Tak, tak, spotkam się z tym rewizorem, znam go przecież, spróbuję delikatnie się do niego zbliżyć. Jeśli połączą nas przyjazne uczucia, to będę ci za to dziękował, Natanielu, Pokazałeś mi, że kroczę złą drogą, teraz już o tym wiem i wystarczy mi sama świadomość, że on jest taki jak ja.

- Doskonale - ucieszył się Nataniel.

Wspólnie opuścili dom, by przyłączyć się do Rama i jego współpracowników, wciąż jeszcze pozostających w mieście nieprzystosowanych.

Spotkali całą gromadę pod ratuszem. Przybył także Gabriel, już wczesnej włączony w dochodzenie.

Podczas gdy inni zajęci byli rozmową, Gabriel zwrócił się do Marca:

- Drogi księżę i przyjacielu, pragnę cię o coś spytać.

- Dobrze - zgodził się Marco. Odeszli kawałek dalej szarą, pozbawioną drzew ulicą.

- Ogromnie trudno jest mi poruszyć tę sprawę - rzekł Gabriel - ale ponieważ mamy mało czasu, będę mówił bez ogródek.

Marco kiwnął głową. Swym wyglądem budził niezwykły szacunek, ciemne oczy dość surowo, lecz przyjaźnie spoglądały na Gabriela.

- Wiesz, że nie mogę pogodzić się z utratą żony i syna, myślę o nich codziennie.

- Dobrze to rozumiem.

Oczy Gabriela zapłonęły błagalnie.

- Ty, który możesz tak wiele... Czy nie możesz mi ich wrócić?

Marco patrzył na niego długo, w zamyśleniu.

- Wyrwać śmierci? Nie, być może zdolny byłby do tego mój ojciec, nie wiem, ja nie mam takiej mocy, pamiętaj, że w połowie jestem człowiekiem.

- Owszem, ale człowiekiem z rodu Ludzi Lodu.

- Kochany krewniaku - Marco uśmiechnął się ze smutkiem. - Uważam, że nie powinienes pragnąć ich powrotu z objęć śmierci. Istnieje jednak jeszcze inna możliwość.

Gabriel popatrzył nań pytająco.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Chodzi mi o duchy Ludzi Lodu. Gdyby któreś z twoich najdroższych umarłych było dotkniętym bądź wybranym, to być może...

W oczach Gabriela zapłonęła nadzieja, zaraz jednak zgasła.

- Nie, Gro wprawdzie także pochodziła z Ludzi Lodu, ale była bardzo zwyczajna, ciepła i dobra, pomysłowa i miała mnóstwo poczucia humoru, ale wybrana... Nie, to niemożliwe.

Chłopiec natomiast...

Zamyślił się.

- Mój syn był bardzo refleksyjny... Mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi, miał w głowie tyle różnych myśli, może więc. Chociaż nie, to się na nic nie zda. Wiesz przecież, że w każdym pokoleniu tylko jedno dziecko nosiło w sobie owo złe czy dobre dziedzictwo, a moja córka Miranda ma na pewno szczególne zdolności.

- To prawda, ale pozwól mi pomówić z duchami Ludzi Lodu w ich dolinie, zobaczymy, co powiedzą. Jeśli twój syn jest uprawniony do przyłączenia się do gromady, to spotkasz go znów, co prawda jako ducha, ale one są tutaj bardzo materialne, prawda?

- O, tak, zupełnie jak żywe. Och, Marco, spróbuj!

- Porozmawiam z duchami.

Kiedy dołączali do innych, Gabrielowi mocno waliło serce. Czy słusznie postąpił, czy syn nie będzie miał pretensji o to, że pojawi się jako duch w zupełnie obcym świecie?

Trudno, niech będzie co ma być, żal za tymi, których utracił, doprowadzał już Gabriela niemal do szaleństwa. Jedynie córki i ich potrzeba posiadania ojca powstrzymywała go od prób przyłączenia się do Gro i syna. Wprawdzie okres najstraszniejszej, najbardziej bolesnej żałoby już minął, ale tęsknota za bliskimi pozostała i miała pozostać na zawsze. Czy postępuję egoistycznie, prosząc o przywrócenie mi syna, zastanawiał się, czy też będzie mi on dziękował, kiedy Marcowi się powiedzie?

Było to niezwykle trudne pytanie. Ponadto wiedział też, że nadprzyrodzone zdolności Ludzi Lodu bardzo osłabły od czasu, kiedy udało im się pokonać Tengela Złego i jego ciemną wodę. Ze złego dziedzictwa pozostały zaledwie mizerne resztki, jak na przykład przebłyśki intuicji Mirandy.

Ale chociaż wszystko przemawiało na niekorzyść, Gabriel wciąż żywił nadzieję.

20

Dzień miał się ku końcowi, Elena szykowała się do pójścia spać.

Stała właśnie z bluzką w połowie ściągniętą przez głowę, kiedy nagle z zewnątrz dobiegł ją jakiś dźwięk, brzęmiący niczym zduszony krzyk.

Prędko naciągnęła bluzkę z powrotem.

Otworzyła drzwi wejściowe, a właściwie delikatnie je uchyliła, nie wolno jej bowiem było wychodzić z domu.

Z małego zagajnika rozdzielającego budynki dobiegły ją kroki, od czasu do czasu ktoś jęczał „nie”, protestując z przerażeniem, to znów dochodziły straszne odgłosy ciosów, chwilami zaś zapadała grobowa cisza, a zaraz potem kolejny ruch zdradzał, że w pobliżu są ludzie.

Elena bała się wołać, inaczej zapytałaby, czy to Jaskari i czy nic mu nie grozi, stała tylko znieruchomiała w szparze w drzwiach, gotowa błyskawicznie je zatrzaskać.

Takie zachowanie przeczyło wszelkim jej zasadom.

Urodziła się, by pomagać, a nie tchórzliwie obserwować, otrzymała jednak surowe rozkazy.

Telefon? Odłożyła telefon kieszonkowy, kiedy zaczęła się rozbierać, a duży został w salonie.

Rozległo się pukanie do kuchennych drzwi.

Cicho zamknęła drzwi wejściowe i pobiegła do kuchni.

- Kto tam? - zapytała.

Zasapany szept:

- Eleno, na miłość boską, pomóż mi, oni mnie gonią, to ja, John.

John?

Jej serce wykonało niezwykły manewr, ścisnęło się i podskoczyło aż do gardła, zostawiając po sobie w piersi bolesną pustkę, jeśli to w ogóle możliwe, ale takie miała wrażenie.

Drżącymi dłońmi otworzyła zamek i wpuściła Johna do środka.

Wyglądał naprawdę strasznie. Wszystko w nim świadczyło o okropnych przeżyciach, o dniach i nocach spędzonych w lesie. Na ubraniu wciąż widać było ślady, że walczył z wirami w rzece, twarz miał zakrwawioną, a ramię przewiązane prowizorycznym bandażem.

W miejscu gdzie go postrzelono, pomyślała.

- Ależ, mój drogi - powiedziała zaskoczona. - Wejdz do środka, tu może nas ktoś zobaczyć. Chodźmy do mojej sypialni, tam są zaciągnięte zasłony.

Chwiejąc się na nogach, ruszył za nią. Kiedy szli przez pokoje, Elena patrzyła na niego jego oczami. Naprawdę tu ładnie, umiała umeblować dom. Trochę może zbyt po kobiecemu jak na męski gust, ale...

Boże, cóż za nonsensowne myśli, przecież odzyskała Johna, był ranny, a ona myśli o takich głupstwach!

- Ogromnie się cieszę, że cię widzę - wyznała, zamykając drzwi sypialni. - Myśleliśmy, że nie żyjesz.

- Bo prawie już tak było - jęknął. - Czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte?

- Tak, tak mi polecono. Nikt się tu nie dostanie. A teraz pozwól mi obejrzeć twoje rany.

- Nie, nie, są w porządku, wystarczy prysznic i coś do jedzenia.

- No tak, oczywiście.

- I nie dzwoń na razie do nikogo, nie wiadomo już w ogóle, komu można ufać.

- A moi przyjaciele?

- Do nikogo na razie. Omówmy najpierw całą sytuację, a potem potrzeba mi odpoczynku, jestem kompletnie wykończony.

- Rozumiem, jak chcesz, u mnie będziesz bezpieczny.

Przyjrzała mu się uważniej. Chłopięca grzywka, splątana i wilgotna, opadała na czoło, z oczu, patrzących zwykle tak wesoło, wзираło teraz śmiertelne zmęczenie, a usta przybrały wyraz rozpaczony, który go postarzał, czynił zeń wręcz starszego pana. Nie mógł jednak być dużo od niej starszy, oceniała go na jakieś dwadzieścia trzy lata, może troszeczkę więcej, nie umiała tego dokładnie określić.

- Co mam począć, Eleno? - szepnął zmęczony. - Co złego zrobiłem, dlaczego oni mnie ścigają?

- Nie wiem, John. Jak zdołałeś przebrnąć przez wodospad? Byłeś jednak ranny...

- Wcale nie wpadłem do wodospadu, moja miła, ten szalowiec zbliżył się do mnie, zamaskowany, nie wiem więc, kto to mógł być, strzelił, ale trafił mnie tylko lekko, więc po to, by ratować życie, rzuciłem się do rzeki.

- Z tak wysoka? - szepnęła Elena, szeroko otwierając oczy.

- Nie miałem wyboru, w dodatku wiedziałem, że jestem dobrym pływakiem, w świecie na powierzchni Ziemi zdobyłem wiele medali, ale przyszło mi stoczyć naprawdę ciężką walkę z masami wody. Znalazłem jednak kawałek lądu, szeroki zaledwie na jakieś dwa metry, poniżej krzaków koło ratusza. Siłą woli zdołałem się tam dostać i wyjść na brzeg. Oczywiście później bałem się pokazywać, nie wiedziałem przecież, komu mogę wierzyć, przekradłem się więc poza miasto. Od tamtej pory się ukrywałem, aż do chwili, kiedy dotarłem do ciebie, jedyne go człowieka, do którego mam zaufanie.

- Dziękuję - powiedziała wzruszona. - Ale jak mnie tu odnalazłeś?

- To dość proste - uśmiechnął się nieco sztywno, bo usta miał spękane. - Poszedłem do budki telefonicznej, wiedziałem przecież, jak się nazywasz, ale rzeczywiście mieszkasz daleko, i to miasto jest całkiem nowe, w ogóle go nie znałem.

- Tak, Sagę wybudowano niedawno na cześć Marca i Dolga, przenieśliśmy się tutaj wraz z całą rodziną i przyjaciółmi.

- Nie mów mi o nich - uśmiechnął się półgębkiem. - Robię się zazdrosny o wszystkich, którzy mogą radować się twoim towarzystwem, a ja sam mieszkam tak daleko. -

Rozejrzał się dokoła. - Ładnie tutaj, chciałbym opuścić miasto nieprzystosowanych, błędem z mojej strony było przeniesienie się tam. Sądziłem, że to będzie jak powrót na powierzchnię Ziemi, ale to nieprawda, zbyt dużo tam przestępców. Zaproponowano mi dobrą posadę, dlatego się przeprowadziłem, ale nie chcę tam dłużej zostać. Czy sądzisz, że mógłbym ułożyć sobie przyszłość w tym mieście?

Elena rozjaśniła się.

- Jestem tego pewna, Johnie.

W czasie kiedy brał prysznic - mężczyzna w jej łazience, jakież to fascynujące! -

przyrządziła mu coś do jedzenia. Zadzwoił telefon, zdrętwiała. Miała nadzieję, że John go nie słyszał. Odebrała tak prędko jak tylko mogła. Dzwonił Jaskari, któremu polecono pilnować Eleny. Dziewczyna z chichotem zapewniła, że miewa się naprawdę doskonale, szkoda, że Jaskari nie wie, jak bardzo dobrze, i prędko odłożyła słuchawkę, zanim zdołał zapytać o coś więcej. Chciała bowiem być całkowicie lojalna w stosunku do Johna, tym bardziej że on tak jej ufał. Kiedy gość wyszedł spod prysznicza, prezentował się czysto i świeżo, znalazł bandaż w jej apteczce, dobrze zaopatrzonej, bo przecież Elena zajmowała się pielęgniarstwem, i dość niezgrabnie sam obwiązał nim ramię.

- Powinieneś pozwolić, żebym ja to zrobiła - złażała go, ale on z uśmiechem pokręcił głową.

Elena nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przywykł do tego, by radzić sobie sam.

Powiedziała nieśmiało:

- Wiesz... Kiedy się kąpałeś, myślałam trochę o tym wszystkim i chyba już wiem, kto cię zaatakował na dachu ratusza.

Zdziwiony popatrzył na nią.

- Naprawdę?

- Tak, wcześniej wieczorem mój przyjaciel Móri zdał mi relację z wypadków. To na pewno burmistrzowa.

- Co takiego? Ona do mnie strzelała? Dlaczego miałyby to robić?

- O, to długa historia. Okazało się, że to ona przetrzymywała w niewoli Misę i małą Weronikę. A ty wiedziałeś, że ona ma kod do schronu, prawda?

John tylko patrzył na nią, niczego nie rozumiejąc.

Elena nieco się zmieszała.

- To nic nie szkodzi, John, ale Móri dał mi do zrozumienia, że ona zdobyła klucz od ciebie, idąc z tobą do łóżka.

- O czym ty, na miłość boską, mówisz? - oburzył się. - Ja miałbym iść do łóżka z tym starym babskiem? A kod? Nigdy go nie miałem, burmistrz kiedyś mi go proponował, ale podziękowałem. Musiała go zabrać od niego, nie pierwszy raz zdarza mu się o czymś zapomnieć, chyba zaczyna dopadać go skleroza.

Elena ukryła uśmiech ulgi. A więc nie spał z tą kobietą!

Kiedy już się najadł - ależ był głodny! - usiedli w salonie, żeby porozmawiać. Wszystkie zasłony już były zaciągnięte. Elena gorączkowo się zastanawiała, jak ma sobie poradzić z kwestią noclegu, czy on może spać na kanapie, czy też ona powinna się tam położyć? Jego jednak ten problem najwidoczniej nie niepokoił. Dziwnie było mieć w domu mężczyznę. Oczywiście odwiedzali ją przyjaciele, Jaskari, Jori, Armas i Oko Nocy, ale to przecież nie to samo, John był wszak ewentualnym kochankiem, jeśliby posłużyć się staroświeckim określeniem.

Elena miała wrażenie, że zaraz pęknie z radości. Cieszyło ją wspomnienie słów Tsi-Tsunggi, w nieoczekiwany sposób od razu bardziej polubiła siebie. Wiedziała, że z krótkimi włosami wygląda dużo ładniej i że oczy jej błyszczą.

Oczywiście ta sytuacja była czymś zupełnie innym niż to, co wydarzyło się w lesie elfów. Z Tsi wszystko wydawało się takie łatwe, takie proste, mogła być całkowicie sobą, on wszak jako istota przyrody zachowywał się przy niej bardzo naturalnie, gdyby wtedy zechciał, zgodziłaby się na wszystko. I ona, i Tsi wiedzieli jednak, że nie są sobie przeznaczeni.

Teraz było o wiele trudniej, John został wychowany surowiej, wyczuwała to, pragnął zachowywać się jak dżentelmen, mogło więc upłynąć sporo czasu, zanim do czegoś dojdzie. Elena była temu rada, mimo całej swej nowo nabytej pewności siebie ogromnie się bała intymnej sytuacji z mężczyzną.

O Tsi, Tsi, tak dobrze nam było, pomóż mi teraz sobie z tym poradzić.

Ale jak ziemny elf miałby ją wesprzeć? Mogła liczyć wyłącznie na siebie.

W jakiś sposób znalazła się bliżej Johna, a może raczej to on się do niej przysunął, kiedy tak siedzieli na jej ślicznej jasnej sofce. Jego ręka delikatnie spoczęła na karku dziewczyny, ucichł. Elena gorączkowo starała się znaleźć jakiś temat do rozmowy, ale w głowie miała pustkę.

Muszę wreszcie zadzwonić do kogoś i powiedzieć, że John żyje, lecz on przecież tego nie chciał, postanowił wstrzymać się do jutra.

- Widziałeś tego albo tych, którzy cię gonili? - zdołała wreszcie z siebie wydusić.

- Tylko jednego - wymamrotał, bo twarz miał już blisko jej włosów. - W dodatku dostrzegłem tylko cień, wokół twojego domu las rośnie gęsty.

Co mam mu powiedzieć o nocowaniu? tłukła jej się po głowie ciągle ta sama myśl. O, Indra poradziłaby sobie z tym jak gdyby nigdy nic, nawet Berengaria, chociaż jest taka

młoda, obróciłaby tę rozmowę w zabawę. Miranda natomiast pewnie uderzyłaby Johna za to, że jest taki natrętny.

A ja... Siedzę tutaj zakłopotana i nie jestem zdolna podjąć żadnych kroków. Jego dłonie przesuwały się w stronę mojego dekoltu, zaczyna rozpinąć mi bluzkę, ja zaś tkwię jak sparaliżowana, szepcze mi do ucha jakieś łagodne słowa, a ja nie potrafię odpowiedzieć. Przypomniało jej się podniecenie, jakie ją ogarnęło, gdy tylko Tsi-Tsungga przybliżył się do niej, nawet jej nie dotykając. John natomiast przyciskał ją mocno do siebie, miał zamiar pocałować, a ona czuła jedynie bicie własnego serca. Waliło z nieśmiałości i zakłopotania, z niczego innego.

Co, u diaska, zrobić z ręką, tą, która znalazła się pomiędzy nimi, zaraz zdrętwieje. Na miłość boską, człowieku, łajała samą siebie w duchu, przecież mu się podobasz, nareszcie jakiś mężczyzna się tobą zainteresował, odpowiedz mu więc, przecież potrafisz.

Niesprawiedliwe jednak było porównywanie go z Tsi-Tsunggą, John nie był wszak istotą przyrody, lecz zwykłym człowiekiem, nie powinna oczekiwać po sobie równie gwałtownej reakcji na jego zaloty, musi wrócić na ziemię. Powinna się cieszyć, że zajmuje się nią zwyczajny mężczyzna ludzkiego rodu. John to dobry człowiek i przecież z taką radością przyjęła fakt, że ją polubił. Do diabła z Tsi, dlaczego musiał stawać na drodze jej pierwszego w życiu romansu?

Czy ona na pewno dojrzała do tego, co się teraz dzieje?

Ale nie mogła przecież powiedzieć „nie”, to niemożliwe.

John chyba wyczuł jej niepewność, dotykał jej delikatnie, jakby miała ciało z porcelany, zachęcał spojrzeniem. Elena naprawdę się uspokoiła, chociaż w jego oczach lśnił żar, jakiego nigdy dotąd nie widziała i którego, prawdę mówiąc, się przestraszyła.

Ale taka przecież jest miłość.

Jakież to wspaniałe, wyrozumiałe człowiek, aż cieplej jej się zrobiło na sercu, poczuła się niemal bezpieczna.

Pocałował ją. Przeniknął ją ledwie wyczuwalny dreszcz rozkoszy, a więc jednak działał na nią!

- Jesteś taka śliczna - szepnął jej do ucha. - Nieodparcie piękna! Upajająca!

21

Ram i jego współpracownicy, dumni z wykonanej przez siebie pracy dedukcyjnej, stali przy swoich gondolach w mieście nieprzystosowanych. Nie mogli się rozstać. Byli tam czterej Strażnicy Rama, uradowany Jori i Indra, którą zaakceptowano już jako jedną z nich, miała wszak kilkakrotnie coś inteligentnego do dodania. Misa także czekała wraz z nimi na gondolę pozostałych Madragów, którzy mieli ją zabrać do domu. Nie zabrakło ponadto Marca, Móriego i Dolga, a także Gabriela i Nataniela, którzy się do nich przyłączyli, no i, rzecz jasna, wiernego towarzysza Dolga, Nera.

Żadne z nich nie miało serca rozstawać się z tak miłym towarzystwem. Brakowało jedynie Eleny i Jaskarięgo, a także Tsi-Tsunggi i wszystkich tajemniczych istot, które pomogły im stwierdzić, że należy się skoncentrować na mieście nieprzystosowanych.

- Powiodło nam się - co najmniej dziesiąty raz powtórzył z dumą Ram.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na lądującą gondolę. W pierwszej chwili przypuszczali, że to przyjechali Madragowie, okazało się jednak, że przybył Strażnik, który powrócił właśnie z południowej części krainy i zdał relację Ramowi. Jori aż zastrygł uszami, południe kraju wydawało mu się bowiem niezwykle tajemnicze i pragnął usłyszeć o nim jak najwięcej, niczego jednak się nie dowiedział. Tym razem także Ram okazał się wyjątkowo nieużyty i prowadził rozmowę z obcym Strażnikiem głosem zniżonym do szeptu.

Wreszcie skończyli omawiać tajemnice z południowej części, Ram opowiedział o ich dokonaniach w mieście nieprzystosowanych.

- Szef policji zostanie po prostu usunięty ze stanowiska - podsumował. - Nie wymierzamy żadnych surowszych kar za korupcję. Zostanie mu udzielona pomoc lekarska, przejdzie też kurację promieniami Słońca, nie przypuszczam, aby w głębi duszy był zły, ma po prostu słaby charakter. Gorzej przedstawia się sprawa z burmistrzową, mamy do czynienia z chorobliwą żądzą władzy, musimy dokonać filtracji.

- To znaczy dać jej jeszcze jedną szansę gdzie indziej? - spytał Strażnik.

- Właśnie.

Pytania wprost paliły młodych, nie zdążyli ich jednak zadać, bo Strażnik przybyły z południa zapytał:

- Co się stało z szaleńcem, który zeskoczył z dachu ratusza?

Po krótkiej chwili milczenia Ram spytał:

- O co ci chodzi?

- Nie widzieliście go? Nic o nim nie wiecie? To przecież straszne! Kiedy leciałem na południe, widziałem jakiegoś szaleńca, który skoczył z dachu prosto w rzekę.

- Został do tego zmuszony - odparł Ram.

- Zmuszony? Przez kogo? Na dachu był sam. Uplłynęła dość długa chwila, zanim dotarła do nich prawda.

- To był dyrektor personalny ratusza - oświadczył Ram zmienionym głosem. - John, tak go nazywają.

Strażnik nieco się zmieszał.

- Widziałem, że na dole na ulicy zebrało się sporo gapiów, sądziłem więc, że o wszystkim wiecie. Inaczej nie poleciałbym dalej, ale spieszyło mi się i...

- Nie odnaleźliśmy go - oświadczył Jori z ponurą miną.

- Obejrzałem się raz - powiedział Strażnik. - I wtedy wydało mi się, że dostrzegam jakąś głowę w wodzie przy zaroślach poniżej ratusza, ale nie mógłbym przysiąc.

- Elena - jęknęła Indra. - Zagrażało jej niebezpieczeństwo, tak przecież mówiliście.

- No tak - przyznał Ram. - Jest prototypem ofiar mordercy.

- I czuła wielką słabość do Johna.

- A Generał nie wchodzi w grę, ma alibi.

Ram wyjął z kieszeni telefon. Dowiedziawszy się o numer Eleny, zadzwonił do niej. Czekali w milczeniu, ale nikt się nie odezwał.

- Miała być w domu - westchnął zatroskany Móri. - Nie wyszłaby dobrowolnie.

Ram poprosił o numer do Jaskariego i znów zatelefonował. Tym razem ktoś odebrał.

- Jaskari? Przypuszczamy, że Elena jest w wielkim niebezpieczeństwie.

„Elena?” - usłyszeli głos Jaskariego, Ram bowiem włączył funkcję umożliwiającą wszystkim słuchanie jego głosu. - „Dzwoniłem do niej właśnie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku”.

- Czy w jej głosie nie było nic niezwykłego?

- Nie, chociaż, jak tak się dopytujesz... Była bardzo uradowana. „Szkoda, że nie wiesz...” Tak powiedziała.

Pewność uderzyła ich jak cios.

- On tam jest - szepnął przerażony Armas i już wsiadał do swojej gondoli.

- Elena nigdy nie wpuściłaby nikogo do domu - zaprotestował Móri.

- O, nie masz pojęcia, co miłość potrafi zrobić z dziewczyną - powiedziała Indra. - Ale czy Jaskari nie mówił, że morderca ma mniej więcej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, a John to przecież młody chłopak, nic tu się nie zgadza.

Wszyscy już ruszyli do swoich gondoli

- Zapominasz o Świętym Słońcu - rzekł Móri. - Jaskari spotkał szaleńca nad brzegiem rzeki przed wielu laty, John długo mógł mieszkać w stolicy, odmłodził. Ponadto należy do typu mężczyzn, którzy sprawiają wrażenie dużo młodszych, niż są w rzeczywistości

- Jaskari - słowa ledwie wydobywały się spomiędzy sztywnych warg Rama. - Słyszysz mnie? Elenę prawdopodobnie odwiedził morderca, telefon u niej milczy, tak, dyrektor personalny, idź tam jak najprędzej, a my zjawimy się tak szybko jak tylko się da. Masz rewolwer? Nie? Trudno. Przypuszczam, że on też go nie ma, pistolet pewnie wpadł do rzeki razem z nim i tam już został, dlatego, go nie znaleźliśmy.

W tym czasie nadjechali swoją wielką gondolą Madragowie i zdążyli już uściskać Misę, wszyscy czworo pragnęli teraz wyruszyć z nimi na ratunek Elenie.

Ram zastanawiał się.

- Wiem, że każdy z was chciałby pomóc, nie mogę jednak tak wielu osób narażać na niebezpieczeństwo, poza tym należy podejść pod dom Eleny niepostrzeżenie. Wy Madragowie, powinniście zabrać Misę i troskliwie się nią zająć, ma za sobą nieludsko trudny okres i reakcja może pojawić się później. Móri jest zbyt blisko spokrewniony z Eleną, nie chciałbym, aby nastąpił jakiś wybuch uczuć połączony z atakiem na zbrodniarza. Jori, Armas i Indra są za młodzi - rozejrzał się po gromadzie i podjął decyzję. - Dwaj Strażnicy oraz Marco i Dolgo, i Nero, rzecz jasna. Jedna gondola. Moja. Musieli pogodzić się z tym postanowieniem.

Zadzwoił telefon. Elena poderwała się, ale John ją przytrzymał.

- Nie odbieraj - poprosił łagodnie. Miłość dźwięcząca w jego głosie odebrała jej siły.

Rozpiął jej bluzkę i delikatnie pieścił, cichym głosem szeptał słowa, których brzmienie do Eleny nie docierało, ale to nic, i tak przecież rozumiała ich znaczenie.

Bezgranicznie onieśmielona szepnęła:

- Przecież ja cię prawie nie znam. Na pewno uznasz mnie za bardzo łatwą dziewczynę, skoro zgadzam się na to już od pierwszego razu, ale nigdy dotychczas tego nie przeżyłam, nie wiem nawet, jak powinnam się zachować, wiem tylko, że bardzo, naprawdę bardzo cię lubię.

Żar, ta gorączka w ciele, która paliła ją przy Tsi... Gdzie się podziała? Owszem, czuła jakieś chłodne pożądanie, które było raczej ciekawością, chęcią, by spełnić jego życzenie, a nie podnieceniem, pragnieniem, które wyzwolił w niej Tsi.

Na pewno wkrótce się pojawi.

Nagie zeszywniała, jak on ją nazwał, Doris?

- Ja jestem Elena - zaśmiała się nerwowo.

Popatrzył na nią, Elena przeraziła się. Co to za oczy?

- Wybacz mi - szepnął, chcąc naprawić błąd. - Powiedziałem tylko, że nie jesteś taka jak Doris, młoda dziewczyna, którą kiedyś znałem.

- Ach, tak, rozumiem.

Znów się uspokoiła, do chwili gdy ujrzała, że bandaż zsunął mu się z ramienia.

Nie jesteś wcale ranny? chciała wykrzyknąć, nie zdołała jednak, gdyż jego pieszczoty stawały się coraz bardziej natarczywe.

- Nie tak mocno, John, jestem taka niepewna - wyznała.

Szarpał na niej ubranie, odruchowo broniła się przed tym, coraz mniej jej się to wszystko podobało, w ogóle przestało jej się podobać.

I wtedy nagle on wrzasnął:

- Dlaczego obcięłaś włosy, Doris? Dlaczego, u wszystkich diabłów, to zrobiłaś? Tylko wulgarne kobiety noszą krótkie włosy, sufrażystki i emancypantki.

Cóż to za staroświeckie określenia? I dlaczego tak się rozgniewał, przecież ona naprawdę nie jest Doris.

Elena usiłowała się wyrwać, ale ręce Johna przytrzymały ją jak w imadle,

- Przeklęta dziwka! - wrzasnął. Wyjął coś i położył na stole.

Elena, zerknąwszy w bok, przerażona zobaczyła, co to jest: nabój.

- Nie - jęknęła, chociaż już wcześniej zaczęła się domyślać, co się właściwie dzieje. - Zostaw mnie, puść!

Na moment zdołała się wyzwolić z jego uścisku, podbiegła do drzwi, ale on szarpnął ją od tyłu i cisnął na podłogę jak rękawiczkę.

Elena nie zdawała sobie sprawy, że potrafi być taka silna. Mówi się jednak, że kiedy przychodzi co do czego, w człowieku budzą się niezwykle siły, i sama się teraz o tym przekonała. John musiał się bardzo starać, by ją przytrzymać, twarz wykrzywiła mu wściekłość, z sykiem obrzucał ją obelgami, w kąciku ust pojawiła się piana.

Normalny mężczyzna w takiej sytuacji utraciłby całą potencję, ale nie on. Opór Eleny tylko go podniecał, jedną ręką odpiął pasek, panował teraz nad nią, gotów, by ją wziąć, popełnił jednak błąd, zaciskając dłonie na jej szyi za wcześnie, sądził, że wszystko idzie jak należy, pomylił się. Przez swoje własne krzyki i jego przekleństwa oraz wyzwiska Elena usłyszała walenie do drzwi.

Dodało jej to sił na tyle, by wsunąć kolano między jego nogi i resztką sił pchnąć je w górę. Zacisk na szyi potwornie dusił, w głowie czuła już dudnienie.

John wrzasnął z bólu i na moment ją puścił, nie zamierzał jednak się poddawać. Elenie w uszach huczało, gdzieś z daleka dobiegł ją jakiś dźwięczny odgłos, później wszystko zmieniło się w ciemność.

Przytomność wracała jej powoli, przed oczami rozpościerała się mgła, prędko jednak zorientowała się, że tuż koło niej toczy się walka.

Jaskari?

Kochany stary Jaskari, wymierzał cios Johnowi, którego poczynania hamowały spuszczone do kolan spodnie. Na miłość boską, nie zdążył chyba...?

Nie, wciąż miała bieliznę na sobie, żałośnie podartą, ale nie w najbardziej strategicznych miejscach. Dzięki Bogu, nie zniosłaby, gdyby zdążył to zrobić. Nie czuła wcale żalu za straconą historią miłosną, przeciwnie, cieszyła się, że nie zdążyła się naprawdę w nim zakochać. Połechtana została tylko jej próżność.

John wyciągnął nóż.

Jaskari, uważaj! chciała zawołać, ale z gardła wydobyło jej się tylko rzęzenie.

I... na miłość boską, John wciąż miał erekcję, jakież to ohydne! Z obrzydzeniem odwróciła głowę. Nie chciała na to patrzeć, nie chciała oglądać intymnych części jego ciała. Mdłości ogarniały ją na myśl, że tak bardzo ją pociągał, nie mogła pojąć, jak to się wszystko ze sobą łączy, jak to możliwe, żeby właśnie on był mordercą. Na odpowiedź jednak jeszcze miała poczekać. Teraz musiała zająć się czym innym, John tańczył w koło z nożem w dłoni i nagle jego stopy dotknęły jej ramienia. Zebrała siły, mocno zacisnęła rękę na jego nogach i pociągnęła. Upadł na podłogę z członkiem bezwładnie zwisającym na bok, Jaskari rzucił się na niego.

Przez chwilę wyglądało na to, że wszystko już skończy się dobrze, lecz nagle Jaskari zaniósł się krzykiem, bo nóż ranił go w rękę. John poderwał się i jednym wściekłym ruchem naciągnął spodnie, Jaskari, oszołomiony bólem, na jakiś czas był wyłączony z gry. Elena znów została sama z szaleńcem.

Jego zamiary nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Rozdrażniony do ostateczności zapomniał już o planowanym gwałcie, z kieszeni spodni wypadł mu pistolet, Elena kopniakiem posłała go pod kanapę. John najwidoczniej zapomniał wcześniej, że ma przy sobie broń, bo wrzasnął teraz z gniewu i nienawiści. Bezgranicznie upokorzony, ci dwoje widzieli go nagiego, odartego z wszelkiej godności, musieli umrzeć, oboje.

Oczywiście powinien najpierw rzucić się na Jaskarię, tak podpowiadał rozsądek, John jednak nie był w stanie słuchać głosu rozsądku, kompletnie oszalał, zamierzył się na Elenę, będącą przyczyną jego upokorzenia. Dziewczyna jeszcze raz zdołała mu się wywinąć, ale on się nie poddawał.

Teraz to już koniec, myślała Elena. Zobaczyła, że Jaskari z wysiłkiem podnosi się na kolana, żeby pospieszyć jej z pomocą, lecz nie doszedł jeszcze do siebie po ciosie zadany w ramię.

Umrę, zginę, zginiemy oboje, pomyślała Elena i zakryła twarz dłońmi.

Ale cios nie spadł, zamiast niego rozległ się tupot wielu stóp.

John dostrzegł niebezpieczeństwo i wyskoczył przez okno, tłukąc szybę. Wielu ruszyło w pościg za nim.

Ktoś jednak został: Ram, Marco i Dolgo.

- Jaskari - jęknęła Elena. - On jest ranny.

Marco klęczał przy jej wiernym przyjacielu.

- Pokaż, masz przeciętą tętnicę, pozwól mnie się tym zająć.

Elena już chciała szukać apteczki, lecz Dolgo tylko pokręcił głową. Popatrzyła na dłonie Marca, zamykające się na ręku Jaskariego. Krew rytmicznie tryskająca przestała płynąć, palce Marca uczyniły kilka delikatnych ruchów wokół rany i jej brzegi się zamknęły. Wreszcie na skórze nie pozostał żaden najmniejszy nawet ślad.

- O rety! - westchnął Jaskari.

Marco podniósł głowę.

- Jak się czujesz, Eleno?

Dziewczyna spróbowała się uśmiechnąć, bez powodzenia.

- No, jeśli w równie łatwy sposób potrafisz naprawie moje ubranie... Szczerze mówiąc, prędko dochodzę do siebie. Nie mam też żadnej rany na duszy, bo nigdy tak naprawdę nic do niego nie czułam, po prostu mi imponował, a teraz jestem przede wszystkim zła. Porządnie wkurzona zachowaniem tego nikczemnika, mam nadzieję, Ram, że twoi ludzie go złapią.

- Mają rozkaz wziąć go żywcem - burknął Ram. - Tak łatwo się z tego nie wywinie.

Co się z nim stanie? chciała spytać, uznała jednak, że może lepiej to przemilczeć. Może nie warto wiedzieć?

Napotkała życzliwy, współczujący wzrok Dolga, ten człowiek ma takie czyste spojrzenie, takie, takie...

Do diaska, zaraz się rozplaczę. Jaskari, gdzie twoja szeroka pierś?

Była tuż przy niej, gotowa przyjąć wszystkie wylane przez nią łzy.

22

Przybyły pozostałe gondole, pojawili się przyjaciele, Usłyszeli tragiczną historię. Wszyscy przeżyli szok.

- Nie możesz dzisiaj w nocy zostać sama, Eleno - oświadczyła Indra. - Zostanę z tobą.

- Nie, nie - zaprotestował natychmiast Jaskari. - Tego łajdaka wciąż jeszcze nie odnaleziono, Elena potrzebuje męskiego oparcia.

- Zamierzałem zostawić tutaj dwóch Strażników - zakomunikował Ram.

- To wcale niepotrzebne - rzekł Jaskari. - Bylebym tylko miał rewolwer.

Ram i Indra wymienili porozumiewawcze spojrzenia, które nie uszły uwagi Eleny, wewnątrz się zarumieniła.

- Poradzę sobie sama.

- Wcale nie - pokręcił głową Ram. - Zgoda, Jaskari, masz tutaj rewolwer, tylko nie strzelaj na oślep, sprawdź najpierw, w kogo celujesz, sporo ludzi krąży tu dziś po nocy.

- Szkoda, że nie ma Nera - westchnęła Indra. - On świetnie umie wywęszyć wroga.

Bezbłędnie oddziela ziarno od plew.

Dolg powiedział im, że Nero niecierpliwie czeka w gondoli, nie chciał zabierać ukochanego przyjaciela na spotkanie z rozwścieczonym mordercą. Wyszedł po psa.

- Będę naprawdę dobrze strzeżona - ucieszyła się Elena.

- Być może nie przed wszystkim - zauważyła Indra głosem słodkim jak miód.

Jaskari kopnął ją w kostkę.

Zostali sami, Jaskari, Elena i Nero.

- No dobrze, co teraz będziemy robić? - zapytała dziewczyna. - Grać w pokera?

Jaskari nie odpowiedział, sprawdził, czy dom jest „zamknięty na cztery spusty”. To znaczy włączył mechanizm sprawiający, że dom stał się dźwiękoszczelny i zaciemniony od zewnątrz. Niemożliwe, by ktoś wdarł się do środka.

Miłym uczuciem było patrzeć, jak to robi.

Jaskari wrócił.

- Eleno... Czy ty się w nim zakochałaś?

- Ależ skąd - odparła cierpko. - Zafascynował mnie tym, że sprawiał wrażenie, iż mu się podobam, ale nawet to nie było prawdą. Do diaska, nic nie czułam, kiedy mnie całował.

- Dlaczego więc mu na to pozwoliłaś?

- Tak trudno mi mówić „nie”, rozumiesz to chyba?

- Wcale tego nie rozumiem - zaprzeczył Jaskari z goryczą. - Czy to znaczy, że jeśli jakkolwiek facet będzie cię chciał pocałować, nie odmówisz mu, po prostu z uprzejmości?

Ostatnie słowo wykrzyczał.

- Tego... nie wiem. John był dla mnie bardzo miły.

Jaskari jęknął, a potem przez chwilę milczał.

Stali w kuchni, sprząтали ze stołu szklanki i filiżanki po licznych gościach, Nero leżał przy drzwiach wejściowych tak jak poprosił go Dolgo. Elena myślała o tym, że John musiał być w lesie sam i tylko udawał ściganego.

- A zatem gdybym ja próbował cię pocałować, to byś nie protestowała? - dopytywał się Jaskari natarczywie.

Ojej, serce podskoczyło jej w piersi na samą myśl.

- Nie wygłupiaj się - prychnęła ze śmiechem. - Między nami do takich rzeczy nie dojdzie.

Dlaczegoż, u diabła, miałbyś to robić?

- Może dlatego, że miałbym po prostu ochotę. Ale za skarby nie chciałbym, żebyś ty mi się pozwoliła całować tylko dlatego, że trudno ci mówić „nie”. W takim razie wolę raczej całkiem zrezygnować.

Elena poczuła, że znajduje się na niepewnym gruncie. Wstawiała do szafki swoje najlepsze szklanki, w których podała napoje Ramowi i jego Strażnikom, i słyszała, jak delikatnie uderzają o siebie w jej drżących dłoniach. Zauważyła niepewnie:

- Ale walczyłam z nim, kiedy sprawy posunęły się za daleko, naprawdę.

Jaskari zastanowił się.

- Owszem, kiedy zrozumiałaś, że jest mordercą.

- No... nie. Już wcześniej czułam do niego niechęć. Przytrzymałam bluzkę.

- To imponujące - zauważył złośliwie. - No cóż, punkt dla ciebie.

Elena kompletnie nieprzemyślanie wyznała:

- To było całkiem co innego niż z Tsi.

Jaskari odwrócił się i popatrzył na nią wielkimi oczami.

- Byłaś z Tsi?

- Nie, nie - próbowała się usprawiedliwiać. - Nie w takim sensie jak myślisz. Chciałam powiedzieć, że w jego obecności wyczuwam bijącą z niego zmysłowość, a z Johnem wcale tak nie było, chociaż bardzo się starałam.

Och, użyła tego samego wyrażenia, jakim posłużyli się Móri i Tsi, mówiąc o niej.

Ciekawe, co na ten temat sądzi Jaskari?

Oczywiście on nie wyczuwał nic takiego w jej obecności, byli sobie jedynie „miłymi wrogami”.

Jaskari odłożył ścierkę, którą wycierał filizanki, ujął głowę dziewczyny w dłonie, pogładził kciukami po skroniach i popatrzył na nią ze współczuciem.

- Eleno, Eleno, gdzieś ty się taka uchowała? Co się z tobą stało, że jesteś taka uległa?

Tak przekłęcie, tak głupio uległa wszystkim?

Elena nie była w stanie patrzeć mu w oczy, spuściła wzrok.

- Matka zawsze mi powtarzała: jeśli będziesz dobra i posłuszna, wszyscy będą cię lubić.

Jaskari westchnął, puścił ją - niestety, zorientowała się Elena - i objąwszy za ramiona poprowadził do salonu.

- Twoja matka miała niesłuchanie ciężkie dzieciństwo, podobnie jak wuj Rafael, całe ich życie polegało na rym, żeby być dobrym i posłusznym, aż do czasu gdy zabrali ich do siebie twoi dziadkowie, Theresa i Erling. To jednak, co przeżywa się w najwcześniejszym dzieciństwie, często potrafi głęboko utkwąć w człowieku. Danielle pragnęła wyłącznie twego dobra, ogromnie się o ciebie bała, nie chciała, by ktokolwiek cię zranił, w ten sposób pragnęła cię chronić, nauczyć bycia grzeczną, i dobrą dziewczynką, to niestety teraz wychodzi.

- Czym skorupka za młodu nasiąknie... - uśmiechnęła się drżąco, gdy usadowili się na jej jasnej sofce, na której przedtem siedziała z Johnem. Teraz wszystko wydawało się jakies inne. - Ojciec wychowywał mnie podobnie. „Nigdy nikogo nie rań, bez względu na to, co robisz”, tak brzmiało jego credo.

- Twój ojciec, Leonard, to dobry człowiek, Eleno. Pamiętaj jednak, że ożenił się o niebo wyżej ponad stan. Znalazł się w niezwykle trudnej sytuacji, z którą jednak dobrze sobie poradził. Mimo to potrafię sobie wyobrazić, że podświadomie wbijał ci do głowy pokorę i troskę o innych, a ty z tym przesadziłaś.

Elena z rezygnacją pokiwała głową. Płacz rozsadzał jej piersi.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego ty zawsze tak źle o mnie myślisz?

- Przecież wcale tak nie jest.

- Staram się we wszystkim ci nadszpeciwać, ale ty zawsze prychasz na mnie, bez względu na to, jak bardzo się wysilam.

- Przecież właśnie dlatego pry cham. Dlatego, że jesteś nieznośnie uległa i słaba.

Przecież ja absolutnie nic o tobie nie wiem, bo zawsze mówisz tak jak inni. Gdzie twoja wola, twoje opinie? Chciałbym zobaczyć prawdziwą Elenę, nie rozumiesz tego?

Podobnie jak za sprawą nożyczek Indry z tych zarosli wyrzała twoja twarz, tak samo ja chciałbym dotrzeć do twojej duszy, ale tego niestety nie da się uczynić w tak radykalny sposób jak obcięcie włosów.

- Przepraszam - szepnęła nieśmiało, a Jaskari słysząc to jeszcze raz jęknął z rezygnacją. Znow ujął jej twarz w dłonie. Aż dziwne, jak wielką sprawiło jej to przyjemność.

- Od dawna się tobą zachwygam, Eleno. Powinnaś to zauważyć, i fakt, że w obciętych włosach wyglądasz o wiele ładniej, nie ma z tym nic wspólnego. Wcześniej także mi się podobałaś, masz w sobie dużą siłę przyciągania...

Proszę, proszę, a więc i on także, ach, jak cudownie!

- Ale, moja mała stokrotko, nie mam zamiaru starać się o ciebie, jeśli wolno mi użyć takiego staromodnego określenia. Boję się, bo nigdy nie można mieć pewności, kiedy mówisz o czymś z głębi serca, a kiedy po prostu ulegasz moim pragnieniom. O, nie, kochana, sama będziesz musiała do mnie przyjść, jeśli kiedykolwiek się mną zainteresujesz.

Przecież już tak jest, chciała powiedzieć Elena, rozumiała jednak, że i tak by jej nie uwierzył. Zwłaszcza że w tym tygodniu był już i Tsi-Tsungga, i John.

Jaskari ciągnął:

- Będziesz mogła przyjść i błagać mnie na kolanach, no prawie, aż tak brutalny nie jestem, ale musisz wiedzieć, czego chcesz, i ja muszę wiedzieć, że mówisz to naprawdę szczerze. Dopóki tak się nie stanie, pozostaniemy przyjaciółmi. Nie będę się więcej na ciebie irytował, ale zacznę cię przywoływać do porządku, jeśli powrócisz do swych obyczajów zahukanej dziewczynki. Wiem, że podejmuję ryzyko, iż zakochasz się w kim innym, kto być może obdarzy cię banalnym komplementem, ale muszę spróbować. Czy to dla ciebie jasne?

- Tak jest, generale - uśmiechnęła się Elena. - Cieszę się, że mi to wszystko powiedziałeś, być może dzięki temu popatrzę na siebie i na świat z właściwszej perspektywy. Ażeby pokazać ci, że czegoś się nauczyłam, postanawiam, że ty będziesz spał na kanapie, a ja w sypialni.

- Tak powinno to brzmieć - rzekł z zadowoleniem Jaskari. - Musisz domagać się swoich praw.

Przez cały czas nie odsuwał rąk od jej głowy. Nagle pochylił się i ją pocałował. Delikatnie, czule i długo. Kiedy wreszcie ją puścił, Elena westchnęła.

- Ojej, poczułam to, naprawdę, całą sobą.

Jaskari nie musiał mówić, że i na nim pocałunek zrobił wrażenie. Jego zakłopotana twarz jaśniała.

- To bardzo dobrze - wydusił z siebie. - A teraz dobranoc, zostawię Nera na straży przy drzwiach twojej sypialni, żeby przypadkiem coś nie strzeliło mi do głowy.

Kiedy każde oddzielnie rozbierało się do snu, zadzwonił telefon. Na życzenie Eleny odebrał go Jaskari.

Dzwonił Ram z informacją, że złapali Johna. Miał teraz dostać „nową szansę”, jak wyraził się Ram.

- Czy to właśnie nazywacie filtracją? - dopytywał się Jaskari.

Ram zwlekał z odpowiedzią.

- W pewnych przypadkach tak, mamy różne rodzaje filtracji, w zależności od tego, na co zasłużyła dana osoba

- „Nowa szansa” to jedna z ostrzejszych kar, prawda?

- Rzeczywiście, tak można powiedzieć.

Jaskari zakończył rozmowę. Położyli się spać w oddzielnych pokojach, z Nerem pełniącym rolę czujnej przegrody.

John przyglądał się swoim Strażnikom z nie skrywaną pogardą.

Jak dalece można okazać się głupim?

Mieli wszak możliwość wtrącenia go do więzienia, zgładzenia czy też wymyślenia jakiejś strasznej kary. Zamiast tego chcieli dać mu nową szansę, jak się wyrazili.

I rzeczywiście zamierzał ją wykorzystać, co oni sobie wyobrażają?

Miał znaleźć się poza Królestwem Światła, słyszał oczywiście, że tam jest niebezpiecznie, mieszkają dzikie plemiona, a z oddali, od strony Czarnych Gór, dochodzą krzyki. Ale upiorne dźwięki na pewno są tylko ułudą.

Nie znali podpułkownika Johna, potrafił zapanować nad całym pułkiem, czymże w porównaniu z tym są jacyś prymitywni dzicy? Zapanuję nad nimi, wydając odpowiednie rozkazy, a potem oni wskażą mi powrotną drogę na powierzchnię Ziemi.

Strażnicy przyczyniają się w zasadzie do spełnienia jego pragnień, wróci do Doris, która nareszcie poniesie zasłużoną karę. Ona i jej kochanek.

Zwycięstwo będzie słodkie, myślał John, nie zastanawiając się, że upłynęło już ponad sto lat.

Stanęli przy murze. Kilkoma ruchami ręki i prostymi słowami Strażnicy otwarli niewidzialne drzwi. Szkoda, że ludzie nie mają pojęcia, że w tym miejscu jest przejście. On już teraz wie, to dobrze, na wypadek gdyby chciał tam wrócić, to jednak mało prawdopodobne.

Znalazł się na zewnątrz, drzwi zamknęły się za nim bez słowa pożegnania czy życzenia powodzenia. On także się nie odezwał, dlaczego zresztą miałby coś mówić, skoro w Królestwie Światła tak niegodziwie go potraktowano? Jego, podpułkownika!

Podpułkownik radził sobie w Ciemności przez dziesięć minut, potem wyszedł wprost na potwory. Co to takiego? Jak rozmawiać z tymi tutaj? Nie mógł się z nimi porozumieć, w ogóle go nie słuchały, wiele też powiedzieć nie zdążył, otoczyły go ze wszystkich stron. Dzika bestia, niepodobna ani do człowieka, ani do zwierzęcia, wbiła mu kły w ramię i wyszarpała kawałek ciała, Był to sygnał do ogólnej walki o smaczne kąski.

Początkowo oburzony, później śmiertelnie przerażony krzyk Johna prędko umilkł.

23

Marco zabrał ze sobą Móriego, który kilkakrotnie odwiedził Dolinę Cieni Śmierci, i razem wyruszyli w rejon, gdzie przebywały zarówno duchy Ludzi Lodu, jak i duchy Móriego. Mieszkały bardzo luksusowo, w jasnych, przestronnych siedzibach, sprawiających wrażenie, że unoszą się nad ziemią, w bujnie zielonej dolinie, pełnej kwiecica, jakiego nigdy dotąd nie widzieli.

- To prawda, władcy tej krainy pięknie nas przyjęli - rzekł z uśmiechem Tengel Dobry, gdy spotkali się w przypominającym park gaju. - Wspaniale nam się tutaj żyje.

Na spotkanie stawili się wszyscy, Móri z radością witał swych przyjaciół, Nauczyciela, Ducha Zgasłych Nadziei, do którego nie pasowało już takie imię, Nidhogga, panie wody i powietrza, Zwierzę, Pustkę, a także swego ojca Hraundrangi-Móriego. Wszystkie duchy zapewniały go, że wspaniale im się żyje z przodkami Ludzi Lodu.

- Ale co was tu sprowadza? - spytał Heike, olbrzym.

Jak się wytłumaczyć?

- To ważna sprawa - odpowiedział Marco i przedstawił im prośbę Gabriela.

Duchy przez chwilę zastanawiały się w milczeniu.

Przyznały, że sprawa jest trudna.

- Młody Gabriel bardzo nam pomógł tym, że spisał całą naszą historię - przypomniała Sol z Ludzi Lodu.

- Wiele wycierpiał - dodał Marco.

Tengel Dobry spojrział na niego dość ostro.

- Podobnie jak inni, którzy utracili najbliższych, zwłaszcza ci, którym zmarło dziecko. Ci wszyscy ludzie nie mogą odzyskać swych ukochanych.

- Oczywiście, to rozumiałe - przyznał Marco. - Ale Gabriel pochodzi z Ludzi Lodu i jego syn także. Czy nie ma żadnej możliwości, abyście przyjęli chłopca do waszej gromady? Zastanawiali się przez chwilę.

- Jak on ma na imię? - spytała Villemo.

- Ojej - zafrasował się Marco. - Zapomniałem spytać.

- Ja się o to dowiedziałem - oświadczył Móri. - Musimy przecież znać jego imię, skoro mamy go wezwać. Chłopiec nazywa się Filip.

Marco zauważył, że mówią „nazywa się”, nie „nazywał”. Czyżby więc już zaakceptowali prośbę? Zapłonęła iskierka nadziei.

- Musimy poznać jego nadprzyrodzone zdolności - zauważyła Halkatla. - Wiedzieć, co potrafi, ile z dziedzictwa Ludzi Lodu mu się dostało.

- Z tego, co mówił Gabriel, wynikało, że raczej niewiele, już raczej jego siostra Miranda została obdarzona pewnymi zdolnościami.

- Wobec tego może się to okazać trudne - stwierdził Mar. - Podczas naszych podróży nigdy go nie widzieliśmy. Obawiam się, że jest zwykłym śmiertelnikiem.

Nadzieje Marca zgasły, a przecież tak bardzo chciał pomóc Gabrielowi.

- Nataniel także się za nim wstawia - powiedział ostrożnie.

Twarze duchów w jednej chwili się rozjaśniły.

- Ach, Nataniel - westchnęła Ingrid, rudowłosa czarownica. - Uratował nas wszystkich, on i ty, Marco.

Tengel Dobry wstał.

- Uczynimy, co w naszej mocy, by odnaleźć chłopca. Ja sam będę wam towarzyszył w wyprawie, ja i moja siostrzenica Sol. Czarnoksiężnik powinien wyruszyć z nami, lecz on musi się pilnować, śmierć go szuka, wywinął się z jej uścisków już kilkakrotnie.

- Ale tutaj w Królestwie Światła jest chyba bezpieczny? - zdziwił się Marco.

- Opuścimy je, nie udamy się do zewnętrznego świata, lecz w inny wymiar, do królestwa zmarłych.

- No tak, to rozumiałe.

Tengel Dobry dodał:

- Dobrze by było, gdyby przyłączyli się do nas przyjaciele Móriego. Nidhogg, który zna podziemia, i Nadzieja, będąca niegdyś Duchem Zgasłych Nadziei, mogą nam się przydać. Oni, a także nasz potężny Ulvhedin.

Wszyscy przyklasnęli jego propozycji. W dolince w pięknym parku cała grupa zasiadła regularnym kręgiem na trawie, ze skrzyżowanymi nogami, z wyprostowanymi plecami i rękami na kolanach. Przypominali pogrążony w kontemplacji japoński dwór. Zwierzę w ciszy ułożyło się przy duchach, łeb oparło na łapach, spod gęstych brwi błyskały ślepie.

Marco i Móri znaleźli się w tym kręgu, po jednej stronie mieli Tengela Dobrego, Sol i Ulvhedina, po drugiej czekał już Nidhogg i Nadzieja, piękny teraz duch, który niegdyś budził grozę swym widokiem, ale było to w czasach, gdy uosabiał stracone złudzenia. Święte Słońce w Królestwie Światła oczyściło go i uleczyło okaleczone ciało.

Marco zdawał sobie sprawę, że jeśli młody Filip okazałby się zwykłym człowiekiem, nigdy nie zdołają wyrwać go z objęć Śmierci.

Przymknął oczy jak pozostali i skupił się na seansie. On i Móri, i wszyscy ich towarzysze mieli przenieść się w inny wymiar. Nikt nie wiedział, czy im się uda.

Ktoś zapalił jakieś korzenne kadzidło. Bardzo mocny zapach, choć świdrował w nosie, był przyjemny. Zwierzę gwałtownie zaczęło kichać, jak to jest w zwyczaju zwierząt, są wszak o wiele wrażliwsze od ludzi.

Marco myślał podobnie jak Gabriel. Czy słusznie postępujemy? Czy chłopiec tego chce? Czy też próby przywołania go tutaj to egoizm ze strony ojca?

Poczuł nagle, że się unosi, w rzeczywistości wcale tak nie było, miał tylko takie wrażenie, niezwykle silne, usłyszał, że Móri niemal przestał oddychać, i wiedział już, że przyjaciel przeżywa to samo.

Potem ciało jakby zmieniło się w kamień, jakby zostało zmuszone do pozostania w pozycji siedzącej. On sam natomiast, jego dusza czy też świadomość, która sprawiała teraz wrażenie czegoś bardzo konkretnego, wzniosła się nad ziemię i w wielkim pędzie pognęła w górę. Wokół zapanował chłód i chyba próżnia. Dalej poczuł, że porusza się poziomo, opada, coraz głębiej i głębiej, dookoła otaczały go dźwięki, wycie wicherów, wiedział, że znalazł się niezmiernie daleko od pięknej doliny w parku duchów.

Wreszcie pęd ustał.

Wówczas odważył się otworzyć oczy.

Siedział tak samo jak wtedy, gdy wszystko się zaczęło. Móri obok, także z otwartymi oczami, był też przy nich Nidhogg i troje przedstawicieli Ludzi Lodu. Popatrzyli na siebie. Wszystko inne zniknęło. Znajdowali się na ciemnym pustkowiu, na którego krańcach rysowały się szczyty gór.

- Nie ma tu groty przeklętych czarnoksiężników - mruknął Móri - ani też żałobnego chóru, na szczęście.

- Poznajesz to miejsce? - spytał Tengel Dobry.

- Tak, to Łąki Śmierci, mam nadzieję, że Anioł Śmierci nie przybędzie osobiście, bo wtedy mnie zabierze, tym razem nie mogę liczyć na żadne odroczenie.

- Nie powinienem był prosić, byś się wybrał z nami - rzekł Marco z żalem.

- Znam te łąki, mogę wam pomóc.

Wstali i rozejrzeli się dokoła.

Niebo nad nimi miało barwę antracytu i było gęste tak, że zdawało się sklepieniem. Wiatr zawodził żałośnie w gałęziach kilku samotnych wykrzywionych drzew, pozbawionych liści. Wokół panował półmrok.

Jakże tu pusto.

- Gdzie mamy szukać? - spytała Sol z Ludzi Lodu.

Móri przesunął wzrokiem po horyzoncie, w oddali dostrzegł w skałach łukowate wyżłobienie, przypominające wrota.

- Tam - oznajmił krótko.

Nie musieli iść, unosili się nad ziemią z dużą prędkością i wkrótce już tam dotarli. W skale widniała grotka, poszli nią. Światła nie było, ale też i go nie potrzebowali, widzieli w ciemności. Móri prowadził ich pewnie, kiedy korytarz się dzielił, zawsze wiedział, w którą stronę powinni skręcić.

Wkrótce stanęli przed kolejną bramą i Móri się zatrzymał.

- Moje zadanie dobiegło już końca, dalej iść nie mogę. Pochwyci mnie Anioł Śmierci. Nidhoggu, ty ich poprowadź, dopóki będziesz mógł, potem dowodzenie przejmie kto inny. Pożegnali się z nim, przysiadł pod wrotami, weszli do środka.

Znaleźli się w niezwykłym otoczeniu. Pełno tu było przegniłych drzew, gałęzi czy też korzeni, nie wiedzieli co to jest.

Nidhogg powiódł ich przez mokradła, chwilę wahał się przed ścianą z wieloma zamkniętymi drzwiami i wreszcie wybrał jedno.

- W tym miejscu moja droga się kończy, ty przejmij prowadzenie, Tengelu z Ludzi Lodu. I niech Uivhedin czuwa nad tobą, jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

Zostawili Nidhogga i przeszli przez drzwi. Tam w oddali ujrzeli Anioła Śmierci.

Znaleźli się teraz wśród zmarłych. Widzieli cienie ludzi żyjących i zmarłych na Ziemi, poruszały się w ciemności, spoglądały na nadchodzących, lecz się nie zbliżały.

- To ci, którzy jeszcze nie dotarli na miejsce - cicho powiedziała Nadzieja. - Ich czas nadejdzie, lecz jeszcze nie teraz.

Tengel poruszał się wśród zwisających z góry szaroczarnych welonów, chwilami migaly mu przed oczami twarze pełne agresji, gotowe do ataku, lecz obecność Ulvhedina sprawiała, że nie śmiały podejść bliżej, Tengel zrozumiał, że to ludzie, którzy zmarnowali swe życie na ziemi, życzyli zła innym, a wszystko, co najlepsze, zgarniali dla siebie.

Cieszył się, kiedy gromada ludzka się przeredziła, a przed nimi otworzyła się przestrzeń. Anioł Śmierci pochylił się z odrobiną ironii.

Ukazały się jakieś schody.

- Zaczekam tam na górze, gdzie nic nie może do mnie dotrzeć - oświadczył Tengel, a Ulvhedin usiadł przy nim. - Wy idźcie dalej, będziesz miał przy sobie Sol z Ludzi Lodu i Nadzieję. Marco, twoja kolej, by szukać drogi.

Marco skinął głową. We troje dotarli do szczytu schodów i znów ukazały się jakieś wrota. Popatrzyli na siebie.

- Otwórzcie je - rzekła Nadzieja z otuchą w głosie. - Jestem z wami, a od czasu, gdy znalazłam się w Królestwie Światła, moja moc, niezłomna moc nadziei, ogromnie wzrosła.

Unieśli sztabę i podwoje się rozsunęły. Światło, ciepłe i silne, a zarazem łagodnie złociste, spowiło ich bezgraniczną miłością.

- Wielka Światłość - szepnął Marco. - Od niej pochodzi Święte Słońce, jesteśmy u celu.

- Mogłabym tu zostać - oznajmiła Sol. - Pewnie jednak nie mamy czasu. Kogo możemy pytać?

- Nie wiem - odparł Marco. - Z tego co zrozumiałem, Wielka Światłość jest wyłącznie miłością, niczym innym. To to samo, co ludzie nazywają Bogiem czy Allachem, niebem, Walhallą, nirwaną i tysiącem innych określeń. Nie da się z nim porozmawiać.

- Pewien jesteś? - spytała Sol. - Dlaczego by nie dało się przemówić do Światła? Przyłożyła rękę do ust i zawołała z całym szacunkiem, jaki tylko potrafiła okazać: - O ty, Najświętsze Światło, które jesteś samą tylko miłością i dobrocią, wysłuchaj naszej prośby, lub odrzuć ją, jeśli uznasz za zbyt zuchwałą!

Doskonale, Sol, pochwaliła ją w duchu Nadzieja. Nie знаła tej kobiety, słyszała tylko pogłoski o szalonej czarownicy z rodu Ludzi Lodu, nie zawsze pochlebne. Teraz jednak zaskoczyła ją, przypomniała sobie, że Sol była również istotą o gorącym sercu, która musiała się zmagać ze złym dziedzictwem.

- Jesteśmy z Ludzi Lodu! - zawołała Sol. - Prosimy, aby nasz potomek i krewniak z nowszych czasów, Filip Gard z Ludzi Lodu, syn Gabriela, tego, który spisał dzieje naszego rodu, mógł przyłączyć się do nas, nie jako człowiek powracający pod postacią upióra, bo tego byśmy nie chcieli, lecz jeśli jest właściwą osobą z nieszczęsnego rodu Ludzi Lodu, jeśli spełnia wszelkie niezbędne wymogi, to pozwól, by przybył do nas jako duch, jakimi i my jesteśmy, i zamieszkał wraz z nami w Królestwie Światła, bo jego ojciec ogromnie za nim tęskni.

Z niepewną miną odwróciła się do towarzyszy.

- Och, to było okropnie długie zdanie. Sądzicie, że Światłość zdoła się w nim wyrozumieć?

Marco uśmiechnął się z czułością.

- Na pewno. A nam pozostaje teraz tylko czekać.

Nastał poranek Gabriel wyszedł na werandę, jak zwykle jego serce przepełniła radość na widok łąk i willowych dzielnic Sagi. Żałował teraz, że zwierzył się ze swego szaleńczego pragnienia Marcowi, i miał nadzieję, że przyjaciel nie podejmie żadnych starań. Odzyskać syna, który wpadł już w objęcia Śmierci? Jak mógł być taki zuchwały? Gdy tylko zobaczy się z Markiem, Cofnie swoją prośbę.

Jak jasno nagle się zrobiło! Niezwykle jasno, wprost oślepiła go poranna zorza. Zwykle tak nie było, w tej krainie panowało łagodne światło, nigdy nie dokuczliwe dla oczu. A teraz nie widział już nic, światło płonęło z coraz większą intensywnością. Gabriel opuścił dłonie, którymi musiał zasłonić oczy.

Ujrzał coś... nad horyzontem. Coś zbliżało się wśród tego palącego złocistego światła. Ludzie? Poruszający się przez przestworza, w każdym razie nad ziemią. Czy to złudzenie, czy też...

Wysoka, strzelista sylwetka Marca, i Sol z Ludzi Lodu, i Tengel Dobry, i jeszcze ktoś, Móri... Ale ta mała postać, która porusza się pierwsza, podobna jest do...

Z piersi Gabriela wyrwał się szloch. Nie był zdolny zawołać, choć tak bardzo tego pragnął.

- Ojczy! To Filip.

W następnej chwili już tulił chłopca w ramionach, czuł jego ciało, chociaż wiedział, że Filip jest tylko duchem, one jednak, kiedy zechcą, potrafią być bardzo namacalne.

Przyjaciele tłoczyli się wokół niego, na wyścigi opowiadając o swej wyprawie, lecz Gabriel ich nie słyszał. Wprawdzie Filip miał zamieszkać w dolinie duchów, to jednak był tutaj, w cudownym Królestwie Światła.